

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Kto może wymienić Bidena? • Ewa
Kuryluk: a po co ptaki śpiewają • Czy
żyjemy w dyktaturze własnych genów?
- Kosiniak-Kamysz. Jaki to tygrysek?
 - Golf millenialsów jest szybszy i eko



**WYSOKIE
OBCASY**
Bożena Keff
Nie mam
potrzeby wiary



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Myśliwi
chcą się
zmienić
Będą strzelać
więcej

FOT. SHUTTERSTOCK

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Depresja
komika**

Wszystkie stany
Pawła Koślika ▶ 34

FOT. ELIZA KRAKÓWKA



**Tragiczny czyn
Leona Czolgosza**

Dlaczego Polak strzelił
do prezydenta ▶ 40

**100 lat temu
w Paryżu**

Pierwsze igrzyska
Polaków ▶ 44

**Przyszła pora
na śmierć**

Ostatni dzień Adama
Czerniakowa ▶ 46

Agnieszka
Kublik

Podśluchałam eleganckie emerytki

Gdy po dwóch latach wojny i tysiącach zabitych słyszę, że Ukraińcy mają za swoje, zastanawiam się nad ludzką kondycją. Zwłaszcza gdy takie słowa padają z ust urokliwych staruszek. Ale po kolei.

Jadę pociągiem z Białegostoku do Warszawy. Moje sąsiadki to dwie panie, na oko po ponad 80 lat. Modnie obcięte siwe włosy, markowe okulary. Jedna cała na białą, druga w błękitach, raczej nie z chińskiego marketu. Rozmowne, elokwentne, w świetnej formie, i jak na wiek, i jak na żar lejący się z nieba.

Wspólnie przeglądają internet w komórce jednej z nich. Trafiają na informacje o Ukrainie. Staruszka Biała: Mam dość tych Ukraińców – rzuca zniescierpliwionym tonem.

Nie wiem, co konkretnie czytają, ale wszystkie serwisy, portale i Google Discovery na pierwszych miejscach mają relacje o be-sialskim ataku Putina na Ochmatdet, największy – 670 małych

pacjentów i około 1000 lekarzy i pielęgniarek – dziecięcy szpital w Kijowie.

Zginęła młodziutka lekarka, Switłana Łukjańczuk, nefrolożka, chore dzieci musiały ukrywać się w piwnicy, gdy ratownicy i cywile usuwali gruzy, Rosjanie znowu zaatakowali.

Staruszka Błękitna: Dobrze im tak. Biała: Mają za swoje.

Jestem tak zdumiona, że nie pytam, o czym konkretnie rozmawiają. Nie wyglądają na osoby, którym brakuje wyobraźni czy bez jakiegokolwiek wiedzy o świecie. Nie muszą znać liczb, na przykład tych z lutego, o 31 tys. zabitych cywilów i 31 tys. (Amerykanie podają liczbę dwa razy większą) żołnierzy. Ale na pewno widziały zdjęcia i filmy – jeśli nie z Kijowa, to z Buczy czy z Mariupola. Miasta wyglądające tak swojsko, jak Kraków, jak podmiejskie willowe sypialnie Warszawy, jak Białystok.

Tymczasem panie skrolują się dalej i płynnie przechodzą do Donalda Trumpa po próbie zamachu: „to Bóg go uratował”. Jak mogą posądzać Boga, że trzyma z kłamcą, przemocowcem, hipokrytą, który kobiety traktuje jak narzędzie jednorazowej przyjemności?

Chyba doskrolowały się do newsów z Polski. Staruszka Biała: Ten Tusk mógłby już odejść. Błękitna: Zemsta go nakręca, tylko zemsta, mówię ci. Stale tylko o Jarku Kaczyński gada. Biała: Bóg da, Bóg da...

Sprawa się nieco wyjaśnia po kilku godzinach podróży. Biała wyznaje koleżance, że ledwo zdążyła na pociąg, tak zaogłądała się w TV Republice. To właśnie tu przeniesli się najwięksi propagandziści TVPiS. A badanie CBOS pokazuje, że wyborcy PiS po zmianie władzy w mediach publicznych przełączyli się z TVP na TV Republika. Czyli interesuje ich świat z punktu widzenia „Jarka Kaczyńskiego”. Jeszcze nieco ponad rok temu 70 proc. wyborców prawicy czerpało wiedzę o sytuacji w Polsce i na świecie z TVP oraz 0 proc. z Republiki. Dziś TVP ogląda 28 proc. wyborców PiS, Polsat – 24 proc. Republikę już 20 procent. ●

Andrzej rysuje



Życie na wojnie Spaleni słońcem



FOT. REUTERS/VALENTYN OGIRENKO

W rozpalonym Kijowie kobieta z psem chłodziła się pod zraszaczem. A w Drohobyczu przy 35 stopniach w słońcu przyjemny chłód zapewniają schrony. Na XI Festiwalu Bruno Schulza 2024 posłużyły jako miejsce spotkania z poezją.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

42QG5BE

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 20-21.07.2024 r.

Monciak kontra Krupówki



Pluszowa foczka kontra owieczka. Oscypek czy rybka. Gdzie są wyższe ceny – nad morzem czy w górach? Sprawdzamy.

Czytaj ► Trojmiasto.
wyborcza.pl

Wzruszenia rodzinne Jak cały świat pokochał niebieskiego psa

Fanami psa Blueya są m.in. Ryan Gosling, Natalie Portman, Billy Joel, który swojej córce urządził urodzinową imprezę w temacie „Bluey” właśnie.

Joe Brumm stworzył jedną z najwspanialszych animacji nie tylko dla dzieci. Australijczyk czerpał inspirację z własnego życia. Jest ojcem dwóch córek, w dzieciństwie sam miał psy, wreszcie wychowywał się z dwójką braci.

„Kiedy przyszło do pisania serialu, kluczowe okazały się moje zabawy z córkami, na których spędzaliśmy całe poranki. One pracowały w kawiarni, której ja byłem klientem, innym razem były lekarzami, a ja pacjentem, albo rodzicami, którzy mają położyć spać swoje dziecko – czyli mnie” – opowiadał brytyjskiemu „Independent”. – Te zabawy często rozwijały się w zaskakujący sposób, bo dziewczynki nie do końca wiedziały, jak działa kawiarnia, wymyślały więc własne zasady, a nawet słowa.

To było tak, jakbyś wchodził do kawiarni ze skeczu Monty’ego Pythona.

Skończył animację na Griffith University w Brisbane i wyruszył za ocean. Tam pracował przy tworzeniu brytyjskich kreskówek dla dzieci, m.in. „Charlie and Lola” oraz słynnej „Świnki Peppy”.



FOT. DISNEY+

„Bardzo lubię »Świnkę Peppę«. Chciałem zrobić taką Peppę, tylko w wersji australijskiej” – opowiadał. Wtedy z zakamarków wspomnień wyłoniła się Bluey, czyli jego pies z dzieciństwa. Brumm, wciąż korzystając z rodzinnych doświadczeń, rozbudowywał rodzinę. Kluczową, obok dwóch siostr, postać taty Bandita (w polskiej wersji to Bandzi) pomógł mu stworzyć jego starszy brat Adam, archeolog. To on wymyślił postać profesora Fleagle’a, także psa, który był archeologiem właśnie i lubił „wykopywać kości”. Brat trzeci, najmłodszy, Dan użycza głosu Prądkowi, wujkowi Bluey i bratu Bandziego, a kilka innych postaci drugoplanowych mówi głosem Suzy, żony Joeego.

Miejscowy magazyn „TV Week” szybko stwierdził, że „serial skradł australijskie serca”. Chwilę później Disney+ nabył prawa do pokazywania „Bluey” i tak psie siostry przekroczyły ocenę i trafiły do USA i Europy. Z podobnym efektem, co w Australii. ● **Andrzej Kulasek**

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Polak się zbroi

Łukasz, biznesmen z Warszawy, nie chce zdradzić, jaką broń ma w sejfie: – Daje mi ona spokój, że kiedy zobaczę na ulicy człowieka z bronią, to nie spanikuję. W przypadku wojny też będę do przodu. Na koniec 2023 roku mieliśmy 844 tys. sztuk zarejestrowanej broni i 324 tys. wydanych pozwoleń.

O cywilach z bronią pisze Marcin Wójcik



Czy już dziś rozstrzygają się wybory prezydenckie

Jeszcze mamy rok, coś się wymyśli

Tusk ma dwa problemy: aborcję i poślą Romanowskiego – ale też trzy atuty:

Andrzeja Dudę, Romana Giertycha i wakacje.

Wielowieyska



Premier ma na głowie dwa problemy: pierwszy to klęska w głosowaniu nad ustawą depenalizacyjną. Drugi: decyzja sądu, który odrzucił wniosek prokuratury o areszt dla byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego.

Po decyzji sądu PiS, ale także wielu komentatorów, ogłosiło wielką kompromitację prokuratury. Posypały się postulaty, by zdymisjonować kogo się da, na czele z ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem. Prokuratura faktycznie powinna przewidzieć, że sąd uzna, iż Romanowskiego chroni immunitet jako członka Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy i wystąpić o jego uchylenie. Co więcej, ani Bodnar, ani prokurator krajowy Dariusz Korneluk nie odpowiedzieli przekonująco na pytanie: dlaczego zamiast zamawiać ekspertyzy prawne w sprawie immunitetu, prokuratura o tę kwestię nie zapytała władz Zgromadzenia Parlamentarnego RE.

Decyzja sądu to dotkliwa porażka prokuratorów. Faktem jest także, iż interpretacje profesorów prawa dotyczące tego immunitetu są bardzo różne. Patrząc na te analizy, można uznać, że sędzia mógł spokojnie orzec coś innego. Ale sąd zinterpretował prawo tak, że immunitet działa. I ta decyzja jest obowiązująca.

A jeszcze w zeszłym tygodniu Przemysław Czarnek w Sejmie ogłosił spisek: Bodnar już wyznaczył sędziego z Iustitii, który będzie orzekał o areszcie i na pewno wsadzi Romanowskiego za kraty. Zabawne, jak Suwerenna Polska zachwyca się regulacjami europejskimi, na które wcześniej pluła regularnie. – Skarżą się na Polskę za granicą, zdraycy – rzec by można, używając ich niedawnej retoryki.

Zapewne sprawa aresztu będzie miała ciąg dalszy, np. zajmie się nią sąd wyższej instancji. Jednak cała awantura wydaje się wyolbrzymiona. Sąd odrzucił wniosek o areszt i tyle. Ale nie z powodu słabych dowodów winy polityka. Dlatego w sprawie Romanowskiego istotne jest to, co się zdarzy w ciągu następnych miesięcy, a mianowicie czy prokuratura napisze taki akt oskarżenia, który przekona sąd, i czy Romanowski zostanie skazany. Przypomnę, że prokuratura pod nadzorem Ziobry masowo stawiała zarzuty urzędnikom poprzedniego rządu PO-PSL, lecz sprawy ciągnęły się jak guma od majtek i nawet po ośmiu latach korowodów akty oskarżenia nie powstawały.

Rozumiem, że dominuje przekonanie o potędze PR-u i symbolach: „mieli wsadzić do więzienia byłego wiceministra i nic”, ale ważny będzie wyrok sądu, przesądzający (lub nie) o wi-

nie. Gdyby teraz Tusk zdecydował się na jakieś szybkie dymisje, popełniłby błąd. Politycy powinni tę sprawę zostawić prokuraturze, która – nawet jeśli popełnia błędy – działa już na własny rachunek.

Wiele wskazuje, że Tusk właśnie taką obrał drogę, bo na platformie X napisał: „Sceny jak z gangsterskiego filmu. Podejrzany wychodzi z aresztu dzięki prawnym kruczkom, zasłaniając się wątpliwym immunitetem. Na stróża prawa spada lawina krytyki, publiczność jest rozczarowana. W walce z przestępczością zdarzają się i takie momenty. Ale jedenaście zarzutów, w tym udział w zorganizowanej grupie przestępczej, nie znikają. To nie jest koniec filmu. Państwo prawa ma same zalety, oprócz jednej: nie jest proste i tak jak w gangsterskich filmach, zli też potrafią to wykorzystać. Ale tylko na krótki czas. Prokuratura dobrze wykonała swoją robotę, gromadząc rzetelne dowody”.

Bodnar zorganizował konferencję prasową i odpowiadał na wszystkie pytania dziennikarzy (w tym z TV Republika). Podkreślał, że prokuratorzy zajmują się dwudziestoma sprawami, w których można podejrzewać nadużycia za rządu PiS. Nie widać było, by szykował się do dymisji.

Proponuję, aby nie nie popędzać prokuratury w żadnej z tych spraw. Niech śledztwa będą prowadzone sprawnie, ale spokojnie, aby w przyszłości unikać takich błędów.

Bodnar nie zachowuje się jak polityk PiS i nie tropi rodziców czy dziadków sędzi, która podjęła decyzję w sprawie Romanowskiego. Gdyby prokuraturą generalną rządził Ziobro, to na bank mielibyśmy nagonkę na sąd. Ulga, że te czasy już minęły.

Drugi problem Tuska to depenalizacja aborcji. Ustawa przepadła w Sejmie, zabrakło czterech głosów. Tusk odpuścił i teraz ma tylko rok na to, by naprawić ten polityczny błąd. Czy ma już plan?

Od początku tej kadencji było wiadomo, że liberalizacja nie ma większości w Sejmie. Lewica i KO mogły się ludzić, że kilku posłów PSL nie przyjdzie na głosowanie, może więcej osób się wstrzyma od głosu i uda się ustawę przepchnąć. Była taka możliwość, ponieważ na sali nie było aż czterestu posłów PiS.

Według moich rozmówców z kręgów rządowych premier był niezadowolony po tym głosowaniu, bo politycy sejmowi z KO wprowadzili go w błąd co do szacowanej liczby głosów przeciwnych w PSL. Uważał, że depenalizacja ma szansę, dlatego zamieścił słynny wpis: „Będziemy głosować za depenalizacją aborcji. Będziemy głosować za związkami partnerskimi jako projektem rządowym, chociaż nie wszystkim udało mi się przekonać. Kończymy dyskusję, czas na decyzję”. No i decyzja w pierwszej sprawie jest na „nie”. A KO obiecywała przed wyborami, że zrobi wszystko, aby zmienić obecny stan prawny.

Ludowcy twierdzą, że przestrzegali, iż u nich spora grupa nie poprze

depenalizacji. Nie można wykluczyć, że PSL teraz stawia się Tuskowi i chce coś ugrać w zamian, bo premier będzie musiał osobiście zaangażować się w negocjacje.

Czego może chcieć PSL? Innej ustawy depenalizacyjnej, bo tę uważa za zwyczajną legalizację aborcji do 12. tygodnia: skoro nie ma żadnej kary, to znaczy, że można przerywać ciążę bez przeszkód. A poza tym chce, by Tusk ustąpił w wielu sprawach personalnych dotyczących obsady instytucji państwowych i spółek skarbu państwa. Ludowcy mieli poczucie, że premier zdominował Trzecią Drogą, że lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz jest zbyt uległy, więc teraz się postawili. Nie można wykluczyć, że dziś rozpoczną się negocjacje, najpierw wysłanników, a potem samych liderów, nad całym pakietem rozwiązań, którymi koalicja musi się zająć.

Włącznie z ustawą o związkach partnerskich. PSL będzie chciał pokazać, że trzeba się z nim liczyć, choć formalnie będzie powtarzał, że każdy poseł głosuje zgodnie z sumieniem. A Tusk będzie tłumaczył ludowcom, że jeśli kandydat rządzących przegra wybory prezydenckie przez brak decyzyjności Koalicji 15 Października,

Premier w sprawie aborcji najpewniej przyjmie narrację: członkinie nadzwyczajnej komisji sejmowej miały za zadanie znaleźć opcję, którą poprze większość sejmowa. A my faceci na razie się nie wtrącaliśmy

to i ludowcy na tym potężnie stracą. Gdyż polityk PiS w Pałacu Prezydenckim, aby dowieść, że cała ekipa rządząca nic nie może, będzie wetował prawie wszystko. Dlatego w interesie całej koalicji rządzącej jest to, by jakaś zmiana w sprawie aborcji przeszła, bo to zwiększa szanse na zwycięstwo w wyścigu prezydenckim.

Natomiast niezałatwiona sprawa aborcji zdemobilizuje część młodego oraz wielkomiejskiego elektoratu, który wyjątkowo licznie poszedł do wyborów i zagłosował przeciwko PiS. Lecz jeśli cokolwiek „na lewo” od stanu obecnego w sprawie aborcji pojawi się na biurku Andrzeja Dudy, prezydent to zawetuje, a kandydat KO dostanie wiatru w żagle i zmobilizuje młodych do głosowania.

Premier najpewniej przyjmie następującą strategię i narrację: cztery projekty poszły do nadzwyczajnej komisji sejmowej i jej członkinie miały za zadanie znaleźć opcję, którą poprze większość sejmowa. A my faceci na razie się nie wtrącaliśmy. A nuż się uda, a nuż posłowie PSL zatrzasną się w łazience. Ale oni nie chcieli się

tam zatrzasać, więc pora na jakieś porozumienie liderów Koalicji 15 Października.

Ale bardziej niż w sprawie aborcji sukces Tuska jest prawdopodobny w sprawie związków partnerskich. Dla konserwatystów aborcja to zagadnienie związane z życiem ludzkim. Związki partnerskie to osobna kategoria. Może nawet Roman Giertych za nimi zagłosuje, argumentując, że z punktu widzenia konserwatysty związki partnerskie są lepsze niż życie młodych na kocią łapę. No i głównie będą je zawierać pary heteroseksualne, a że przy okazji będą też homoseksualne, co to komu szkodzi?

Natomiast w sprawie aborcji Giertych pozostanie nieugięty. Wyborcy mogą się czuć oszukani, bo opowieści jego i Tuska przed wyborami zdawały się sugerować, że nie będzie łamał dyscypliny klubowej. Dla Tuska to problem wizerunkowy: jeden głos niczego nie załatwia, szczególnie wobec postawy PSL, ale obecny premier wiele razy powtarzał w kampanii, że wszyscy mają głosować w sprawie aborcji zgodnie z dyscypliną klubową.

Tusk ukarał Giertycha zawieszeniem w prawach członka klubu parlamentarnego i pozbawieniem stanowiska wiceszefa klubu. Ale Giertycha nie odsunie, bo spełnia bardzo pożyteczną rolę z punktu widzenia KO. Odpowiada na emocje najbardziej antypisowskiej części wyborców, która domaga się rozliczeń. Akcja Giertycha z serią konferencji Tomasza Mraza, który odsłaniał kulisy afery Funduszu Sprawiedliwości, przyniosła KO w kampanii europejskiej duże zyski.

Na krótką metę Giertych też się przydaje: decyzja o jego zawieszeniu da trochę oddechu ministrowi Bodnarowi, którego Giertych wciąż popędza do rozliczeń. Istnieje napięcie między tymi politykami.

Po decyzji sądu w sprawie aresztu dla Romanowskiego sytuacja się trochę odwróciła: to Bodnar znalazł się w trudnej sytuacji, a Giertych triumfalnie ogłosił na platformie X „kompromitację” prokuratury. Ale potem zamieszczał bardziej wstrząsające wpisy. Czy dlatego, że myśli, jak wybrnąć z zawieszenia?

I czy dlatego zgłasza się na ochotnika, że będzie negocjował z PSL taką ustawę o depenalizacji, którą ludowcy byliby skłonni przelknąć: ograniczamy odpowiedzialność za pomocnictwo w aborcji wobec osób bliskich, dajemy gwarancje lekarzom, że nie będą ścigani przez prokuraturę, jeśli zdecydują się na przeprowadzenie aborcji w sytuacjach niejednoznacznych jeśli chodzi o zdrowie kobiety. Tak, jak lubi wyobrażony elektorat: wykazujemy się zdrowym rozsądkiem i ludzkim podejściem, ale nie legalizujemy.

Na szczęście dla KO i Tuska obie wpadki zdarzyły się w lecie, gdy wielu Polaków woli myśleć o wakacjach niż o polityce, a do wyborów prezydenckich pozostał rok, więc jest czas na odrobienie politycznych strat. ●

Dominika Wielowieyska



FOT. GETTY IMAGES

UKRYJCIE SELFIE Z ZABITYM JELENIEM

Najpierw należy udowodnić swoją codzienną pracą, że łowiectwo jest niezbędne dla ochrony zasobów przyrody, a dopiero gdy zyskamy szersze poparcie społeczne, można rozważać modyfikacje istniejącego modelu łowiectwa. Zaczniemy więc zmiany od siebie”.

Powyższe słowa znajdujemy we wstępie do opublikowanego przez PZŁ pod koniec kwietnia dokumentu „Strategia zrównoważonego łowiectwa w Polsce do roku 2030 z perspektywą do roku 2035”. Można jednak mieć wątpliwości co do szczerości tych intencji, bo myśliwi chcą reformować, raczej nie uwzględniając głosów społecznej krytyki.

Bardzo ciekawa jest analiza SWOT zawarta w strategii. Jej nazwa pochodzi od angielskich słów Strengths, Weaknesses, Opportunities oraz Threats – a jej celem jest określenie mocnych i słabych stron PZŁ, a także szans i zagrożeń, jakie stoją przed myśliwską organizacją.

Trudno omówić wszystkie wyniki, bo analiza liczy 42 punkty, a rekomendacje strategii mają punktów aż 70, przy czym wiele jest środowiskowych, a więc interesujących głównie dla myśliwych. Zwróćmy uwagę na te, które są wrażliwe społecznie, a jednocześnie pokazują, jak sami postrzegają się myśliwi.

Autorzy dokumentu – prof. Dariusz J. Gwiazdowicz (biolog z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, przewodniczący Komisji Naukowej Naczelnej Rady Łowieckiej), dr Szymon Hatlas (prawnik, ekspert od bezpieczeństwa) i dr Mikołaj Jakubowski (nauki leśne) – podkreślają, że silną stroną PZŁ są „dobry poziom świadomości procesów zachodzących w przyrodzie i współzależności ekologicznych” oraz „silne zaplecze intelektualne w środowisku myśliwskim”.

To o tyle ciekawe, że niepolujący przyrodnicy często mają mocno krytyczny stosunek do naukowej jakości łowiectwa. Jednym z nich jest prof. Rafał Kowalczyk z Instytutu Biologii Ssaków PAN. Zdaniem badacza – i, dodajmy, by-

łego myśliwego – polskie łowiectwo ma dość niski poziom merytoryczny. Wynika to z tego, że myśliwi na ogół nie są przyrodnikami, a ich kontakt z wiedzą przyrodniczą ogranicza się do nieaktualizowanych informacji zdobytych podczas kursu łowieckiego. – Ale problem jest również w tym, że w Polsce prawie nie mamy ekologów łowieckich, którzy zajmowaliby się badaniami dotyczącymi populacji gatunków łownych

Powrót dzieci na polowania, łowy z łukiem, odstrzał wilków, łosi i bobrów.

Jak Polski Związek Łowiecki chce reformować łowiectwo

i przekazywali tę wiedzę myśliwym – mówił w 2021 r. „Wyborczej” prof. Kowalczyk.

Przynajmniej do pewnego stopnia zdaje się to potwierdzać strategia PZŁ, która w części poświęconej słabościom wskazuje na brak aktualizacji programów, materiałów edukacyjnych i egzaminacyjnych dla myśliwych.

Jakie zagrożenia stojące przed łowiectwem dostrzega strategia? Autorzy boleją nad upolitycznieniem łowiectwa i ograniczaniem samorządności. Jego przyczyny i winowajców raport pomija, więc dopowiedzmy, że jednego i drugiego dokonały rządy PiS. Myśliwi byli oczkiem w głowie zwłaszcza ministra środowiska Jana Szyszki, jednego z najstarszych, jeszcze od czasów Porozumienia Centrum, druhów politycznych Jarosława Kaczyńskiego, a jednocześnie rząd Zjednoczonej Prawicy, z zasady niechętny wszelkiej samorządności, wybór Łowczego Krajowego przekazał ministerstwu.

Myśliwych martwią też „ekoterroryzm”, ruchy antyłowieckie oraz „ideologizacja ochrony przyrody”. W tekście strategii próżno szukać definicji tego, czym miałby być w Polsce terrorizm ekologiczny w odniesieniu do łowiectwa.

Natomiast jeśli chodzi o zideologizowanie ochrony przyrody, to na stronie 16 przeczytamy, że chodzi o ideologię propagującą prawa zwierząt, a to jest „szczególnie niepokojące w odniesieniu do zwierząt dziko żyjących”, ponieważ „humanizacja zwierząt” wraz z naukami humanistycznymi sprawiają, że „dzikie zwierzęta są postrzegane w kategoriach ludzkich (moralność, pojęcie dobra i zła), a nie w kategoriach przyrodniczych, gdzie procesy zachodzą w sposób niezależny od woli człowieka”.

Tymczasem u podstaw zmiany stosunku do zwierząt na bardziej podmiotowy stoi twarda nauka. Odkrycia z obszaru psychologii zwierząt czy etologii pokazały nam, że zwierzęta są w stanie odczuwać ból,

cierpieć, a do tego niektóre gatunki cechuje samoświadomość i zaawansowane, podobne do ludzkich, zdolności poznawcze. W tej sytuacji raczej nie powinno dziwić, że humanistyka, w szczególności etyka, wyciąga z tego wszystkiego wnioski dla moralności.

Co zdaniem myśliwych jest dziś szansą dla łowiectwa w Polsce? PZŁ może „wzmocnić system odporności państwa” m.in. poprzez współpracę z wojskiem. Ma to być jeden ze sposobów na budowanie pozytywnego wizerunku myśliwych w oczach Polek i Polaków, bo z tym jest – jak sami przyznają w analizie SWOT – problem ze względu na „negatywny wizerunek i stereotypy, brak akceptacji społecznej dla łowiectwa”.

I zapewne w tym kontekście należy postrzegać podpisanie 5 czerwca porozumienia o współpracy między PZŁ a Ministerstwem Obrony Narodowej. O jego szczegóły „Wyborcza” zapytała resort obrony, ale są one dość ogólne. W skrócie, Związek ma m.in. działać na rzecz popularyzowania wiedzy na temat obronności państwa, planowana jest też organizacja szkoleń z udziałem myśliwych, żołnierzy i pracowników MON. Natomiast ministerstwo nie zakłada wspierania finansowego PZŁ.

– Chcemy wykorzystać, zagospodarować umiejętności myśliwych, którzy mają przeszkolenie i pozwolenie na broń. Często posiadają nie jeden rodzaj broni, nie jedno przeszkolenie, ale dziesiątki lat doświadczenia – mówił podczas ceremonii podpisania porozumienia minister Władysław Kosiniak-Kamysz.

Na to porozumienie należy patrzeć też w kontekście bardziej politycznym. Niewątpliwie to ukłon Kosiniaka-Kamysza w stronę myśliwych, o których w przeszłości wypowiadał się z sympatią – i którzy są znaczącą grupą społecznego odniesienia w bardziej tradycjonalistycznej tzw. Polsce powiatowej. Czyli tam, gdzie przez osiem lat odwieczne wpływy ludowców podgryzał PiS.

Z kolei PZŁ zyskuje potężnego sojusznika w rządzie, ponieważ relacje między organizacją a wiceministrem klimatu i środowiska Mikołajem Dorożalą z Polski2050 Holowni, niegdyś związanym z Lewicą, w którego gestii jest tzw. konserwacja przyrody, są – delikatnie rzecz ujmując – napięte.

A jak PZŁ widzi reformę łowiectwa w Polsce? Też inaczej niż w kontekście do strzelania do zwierząt interpretuje to słowo większość obywateli, w sondażach

ROBERT JURSZO

wypowiadających się mniej lub bardziej zdecydowanie przeciwko polowaniom.

Związek chce przywrócenia możliwości uczestnictwa dzieci w polowaniach. Mowa o tzw. uczestnictwie biernym, kiedy dziecko jedynie jest obecne przy polowaniu. Zdaniem PZŁ zakaz został wprowadzony z przyczyn ideologicznych, a do tego jest niezgodny z konstytucją, bo wchodzi w kompetencje wychowawcze rodziców.

Zdaniem mec. Karoliny Kuszlewicz, znanej adwokatkii zaangażowanej w prawo ochrony zwierząt i przyrody, taka interpretacja jest nie do przyjęcia.

„Art. 48 ust. 1 Konstytucji stanowi co prawda, że rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniemii, ale w dalszej jego części wyznaczone są granice tego prawa, np. poprzez stopień dojrzałości dziecka, jego wolność sumienia oraz przekonania. Władza rodzicielska nie ma zatem charakteru bezwzględnegoo, zaś państwo powinno reagować tam, gdzie istnieje obawa, że prawa dziecka mogą być naruszane. I tak właśnie jest w przypadku zakazu zabierania dzieci na polowania” – pisała prawniczka na łamach „Wyborczej”.

Tymczasem myśliwi zdają się mieć wręcz nadzieję na coś więcej niż tylko bierny udział dzieci. „Co więcej, w wielu krajach dopuszczalne jest czynne wykonywanie polowania przez dzieci. We Francji od 15. roku życia, w USA, w takich stanach jak Arizona, Maine czy Idaho, już od 10. roku życia można aktywnie polować” – czytamy w strategii.

PZŁ chce też zalegalizowania polowań z łukiem. Autorzy strategii powołują się na „doświadczenia innych krajów”, zgodnie z którymi „lucznictwo jest bardziej akceptowalną społecznie formą wykonywania polowania niż polowanie z bronią palną, gdyż w odróżnieniu od myślistwa z użyciem broni palnej lucznik musi wykazać się większą tężyzną i zmysłem podchodzenia zwierzyny”. W domyśle myśliwi liczą, że społeczeństwo uzna to za względne wyrównanie szans i pod tekstami o myślistwie będzie nieco mniej komentarzy w duchu „niech jeden z drugim zmierzą się z wilkiem i dzikiem bez ambony, goreteksu i karabinu snajperskiego z noktowizorem”.

Dokument podaje też inny argument: lucznictwo jest wykorzystywane w innych krajach jako lepsze narzędzie eliminacji dzikich zwierząt w miastach, gdzie użycie broni palnej jest ograniczone względami bezpieczeństwa.

Głównym miejscem „realizacji” polowań z łukiem miałyby być OHZ, czyli ośrodki hodowli zwierzyny – specjalne obwody łowieckie, w których PZŁ organizuje również komercyjne polowania. Można więc przypuszczać, że motywacją tej propozycji jest również ekonomiczna. Dziś polscy myśliwi muszą jeździć za granicę – najbliżej do Słowacji, Bułgarii lub na Węgry – by postrzelać z łuku do zwierząt.

Na marginesie dodam, że „Wyborcza” zapytała PZŁ o obecne przychody z organizacji polowań w OHZ. Rzecznik Wacław Matysek odpisał nam, że Związek nie ma obowiązku podawać takich informacji opinii publicznej, ponieważ „struktura PZŁ zapewnia poufność przedmiotowych informacji, a dostęp do nich mają wyłącznie upoważnieni pracownicy”. „Ponadto wskazać należy, że informacja co do przychodów z polowań z Ośrodków Hodowli Zwierzyny mogą zostać wykorzystane przez podmioty prowadzące działalność o charakterze konkurencyjnym” – napisał Matysek.

Pomysł wprowadzenia do Polski polowań z łukiem nie jest całkowicie nowy – projekt zmiany prawa łowieckiego w tym względzie pojawił się w 2018 roku. Ówczesne kierownictwo resortu środowiska przekazało go do konsultacji wybranym podmiotom, ale nie opublikowano projektu w Rządowym Centrum Legislacji. Organizacje ekologiczne alarmowały, że to ukrywanie prac legislacyjnych przed społeczeństwem. Sprawa nie wyszła poza konsultacje.

PZŁ chciałby również poszerzenia listy zwierząt, do których myśliwi mogliby strzelać. W pierwszej kolejności – do wilków, które obecnie są ściśle chronione. Zdaniem Związku zarządzanie tym gatunkiem powinno być oparte o prostą zasadę: „tam, gdzie populacja jest przegęszczona, a szkody i zagrożenia dla ludzi przekraczają dopuszczalny poziom – dokonuje się planowej redukcji”. Strategia nie dopowiada jednak, kto miałby decydować o tym, jaki jest ów „dopuszczalny” poziom i jak miałby on zostać ustalony.

Choć w strategii PZŁ podkreśla, że dysponuje „grupą wybitnych specjalistów”, którzy mogliby być członkami grupy eksperckiej zarządzania populacją tego

drapieżnika, to nie wymienia nazwisk. Strategia nie odnosi się też do powszechnej w środowisku przyrodników krytyki odstrzału wilka – bo dotychczasowe badania sugerują, że odstrzał może pogłębiać problem ze szkodami powodowanymi przez wilków, a nie go rozwiązywać. Choćby dlatego, że może prowadzić do rozpadu wilczych grup rodzinnych i samotne zwierzęta będą szukały łatwych ofiar wśród zwierząt gospodarskich.

Autorzy dokumentu rekomendują też rozważenie wprowadzenia odstrzałów łosi, bobrów i kormoranów. W przypadku łosi trapi ich rosnąca liczba wypadków drogowych z udziałem tych zwierząt, w przypadku bobrów i kormoranów wskazuje się na powodowane przez nie szkody gospodarcze. Przy czym myśliwym umyka, że aby im zapobiec, wymyślono inne rozwiązania niż tzw. letalne, a więc zakładające uśmiercanie.

A jeśli chodzi o nienawidzone przez rybaków i hodowców kormorany, to, jak mówił w 2022 roku w „Wyborczej” dr Szymon Bzoma, badacz tych ptaków, wybijanie ich jako metoda redukcji populacji jest „wyrzucaniem pieniędzy w błoto”. – Owszem, niekiedy lokalnie odstrzał może mieć sens, jeśli ptaki żerują w akwenie tak przekształconym przez człowieka, że ryby nie mają się w nim jak ukryć, bo, przykładowo, brzegi i dno są wybetonowane, a zwalone drzewa usunięte – mówił dr Bzoma. – Ale i tak badania z Wielkiej Brytanii pokazują, że dobrze przeprowadzone płoszenie jest tak samo efektywne jak odstrzał.

Autorzy dokumentu odnoszą się do postulatu zakazu polowań na ptaki, który od lat proponują m.in. organizacje przyrodnicze zrzeszone w koalicji Niech Żyją!, i który popiera – w badaniu z 2019 r., więc można spodziewać, że wraz z rosnącą wrażliwością społeczną odsetki jeszcze wzrosły – 67 proc. Polaków, jeśli mowa o wszystkich ptakach, i aż 94 proc. w odniesieniu do gatunków zagrożonych. Myśliwi przekonują, że strzelanie do tych zwierząt nie stanowi żadnego istotnego zagrożenia, ponieważ „stanowi tylko 2,6 procenta spośród wszystkich czynników wpływających na populacje ptaków”. Większy wpływ ma urbanizacja („w tym rekreacja w terenie”), a także gatunki inwazyjne.

Dokument przekonuje też, że zakaz polowań na ptaki byłby w gruncie rzeczy szkodliwy, ponieważ wtedy myśliwi przestaną być prawnie zobowiązani do ochrony ptasich siedlisk i stracą motywację do tego rodzaju działań. To z kolei doprowadzi do ekspansji zwierząt polujących na ptaki oraz spadku ich liczebności. Nie jest to nowa argumentacja.

– To prawda, że utrata miejsc do życia to najpoważniejszy problem ptaków i najważniejsza przyczyna spadku ich liczebności. Ale odstrzał w ramach polowań to dodatkowa śmiertelność, która może decydować o tym, czy populacja jakiegoś gatunku będzie w stanie utrzymać w jakimś miejscu liczebność na niezmiennym poziomie, czy nie – mówił w 2022 roku „Wyborczej” Przemysław Wylegała, ornitolog z Polskiego Towarzystwa Ochrony Przyrody „Salamandra”. Chodzi nie tylko o to, że ptaki giną wskutek polowania, ale również o ryzyko porzucenia legów przez przerażone zwierzęta.

Strategia rekomenduje, by PZŁ podjął działania mające na celu zakaz bądź ograniczenie zamieszczania zdjęć myśliwych z upolowanymi zwierzętami. Zaś te, które znalazły się już w mediach społecznościowych, najlepiej byłoby usunąć. Publikować powinno się raczej fotografie żywych zwierząt oraz ukazujące m.in. „piękno krajobrazu, prace w łowisku, spotkania, działania edukacyjne”.

Skąd taka propozycja? Chodzi o to, że „stereotyp zabijania niewinnych zwierząt jako głównej (jedynej) aktywności myśliwych łatwo wzbudza emocje w społeczeństwie, wywołując nierzadko poczucie niechęci”. Tymczasem to „emocjonalne i redukcyjne podejście do postrzegania łowiectwa” jest podstawą „ataków” ze strony ruchów antyłowieckich. Ale jest jeszcze jedna prawdopodobna przyczyna takiej rekomendacji. Otóż myśliwi nierzadko chwalą się upolowaniem zwierzęcia, którego upolować im nie wolno.

W marcu ubiegłego roku opisywałem przypadek myśliwego, który w filmie na YouTube pochwalił się ustrzeleniem bernikli białolicej, która nie znajduje się na liście ptaków łownych. W ostatnich latach pisałem też o myśliwej, która uwieczniła się z cyranką i o myśliwym, który zapozował z krakwą. Do tych gatunków również nie wolno strzelać, są ściśle chronione.

W świetle prawa każde takie zachowanie kwalifikuje się jako kłusownictwo. Swoją drogą strategia

w ogóle nie pochyla się nad sprawą kłusownictwa wśród myśliwych. W ostatnich latach media, w tym „Wyborcza”, rozpisywały się o przypadkach wilków czy żubrów zabijanych przez myśliwych. Skala zjawiska w łowieckim środowisku jest nieustalona – jego przedstawiciele załatwiają sprawę mantrą, że „wszędzie są czarne owce” – niemniej z tzw. nasłuchu społecznego, choćby z opowieści krążących w środowisku wynikałoby, że problem istnieje.

Przedstawiony przez PZŁ katalog kierunków zmian nijak ma się do tego, co proponują inni ważni aktorzy procesu reformy łowiectwa: Ministerstwo Klimatu i Środowiska oraz organizacje zrzeszone w koalicji Niech Żyją!

Oczekiwanie wiceministra Dorożały są raczej minimalistyczne: chce przywrócenia okresowych badań zdrowotnych i psychologicznych dla myśliwych oraz wprowadzenia moratorium na odstrzał czterech gatunków ptaków, których populacje spadają – łyski, czernicy, głowienki i cyraneczki (rekomenduje to Polski Komitet Krajowy IUCN, szacownej międzynarodowej organizacji przyrodniczej, a także Państwowa Rada Ochrony Przyrody). Jak mówił „Wyborczej” w maju, nie chce po prostu zabronić polowań na ptaki, bo zależy mu na tym, by rodzaju zmiany były wprowadzane w konsultacji ze środowiskiem myśliwych. – Liczę, że środowisko łowieckie przystanie na wyłącznie tych czterech gatunków, bo naprawdę nie ma o co kruszyć kopii. Jeśli zaś nie będzie na to zgody, to będzie dla mnie czytelny sygnał, że łowiectwo w Polsce nie chce się zmieniać – wyjaśniał.

Silną stroną PZŁ są „dobry poziom świadomości procesów zachodzących w przyrodzie i współzależności ekologicznych” oraz „silne zaplecze intelektualne w środowisku myśliwskim”

W środowisku samych myśliwych raczej brak entuzjazmu do tych reform. Łowcy od ponad dwóch miesięcy domagają się dymisji Dorożały. Napisali nawet apel w tej sprawie do premiera Tuska.

Z kolei lista 20 reform proponowanych przez koalicję Niech Żyją zawiera postulaty, które byłyby trudne do przelknięcia przez PZŁ. To nie tylko weryfikacja listy gatunków łownych czy wprowadzenie sezonów ochronnych na czas godów jeleni i saren oraz okresu prowadzenia młodych przez dziki.

To również m.in. odejście od polowań w weekendy i polowań zbiorowych. „Polowania zbiorowe szczególnie intensywnie, negatywnie oddziałują na całe ekosystemy i poważnie zakłócają równowagę przyrodniczą na dużych obszarach. Niepokojone i płoszone są nie tylko zwierzęta gatunków łownych, ale także zwierzęta objęte ochroną gatunkową, w tym zwierzęta gatunków rzadkich i zagrożonych” – czytamy w postulatach.

Dla myśliwych to zamach na tradycję – pokot, czyli układanie i podziwianie zabitej zwierzyny, a następnie integracja (przez nieprzychylnych na forach internetowych nazywana „uchlewanem się po mordestwie”) przy ognisku i środowiskowych rytuałach, wielu polujących uważa za sól tej aktywności.

W postulatach ekologów znajdujemy też pomysł zarzucenia tzw. polowań dewizowych, czyli komercyjnych łowów organizowanych dla zagranicznych turystów. Tymczasem dla wielu kół łowieckich są one istotnym źródłem pieniędzy. Koalicja chce też likwidacji OHZ, które przynoszą dochody PZŁ.

O tego rodzaju postulatach w strategii PZŁ pisze się, że „zakładają docelowo likwidację łowiectwa”, której ma służyć stopniowe wprowadzanie ograniczeń: „Z tego względu należy podejmować stanowcze działania zaradcze w przypadku prób wdrożenia tego typu idei do systemu prawnego”.

Czyli – przynajmniej na poziomie deklaracji – mamy impas. Pytanie, czy będzie go w stanie przełamać zespół ds. reformy łowiectwa powołany przez wiceministra Dorożalę, w skład którego wchodzi m.in. przedstawiciele PZŁ i koalicji Niech Żyją! Do tej pory odbyły się dwa spotkania, obecnie dyskusja obraca się przede wszystkim wokół kwestii polowań na ptaki.

Według nieoficjalnych informacji – spotkanie są zamknięte dla mediów – nie są to łatwe rozmowy. ●

Łowiectwo

Myśliwi są potrzebni

Ale mają traumę po PiS, więc zamknęli się w oblężonej twierdzy i nie chcą wyjść

tekst **Robert Jarusz** infografiki **Wawrzyniec Świącicki**

Chcą znów zabierać dzieci na polowania i wyjąć spod ścisłej ochrony wilka – to przkłady celów, które myśliwi chcą osiągnąć za sześć lat.

Polski świat łowiecki utknął w oblężonej twierdzy. Zdając sobie sprawę z narastającej społecznej niechęci wobec polowań i myśliwych, postanowił nie ulegać presji, ale walczyć o jeszcze więcej.

Istotna dla wykrystalizowania się tej postawy jest trauma 2018 roku, kiedy przez parlament przeszła duża zmiana prawa łowieckiego. To właśnie wtedy entuzjaści polowań stracili możliwość zabierania dzieci na łowy czy szkolenia psów oraz ptaków myśliwskich na żywych zwierzętach.

Dziennikarzami, opinią publiczną i aktywistami myśliwi mogli się nie przejmować.

Ale taki cios od sojusznika, konserwatywnego rządu PiS, upewnił ich, że polskie łowiectwo faktycznie staje przed śmiertelnym zagrożeniem. Tym bardziej że większość pomysłów reform pochodziła od największego wroga autorytarnej prawicy, czyli koalicji organizacji ekologicznych i przyrodniczych Niech Żyją!

Myśliwi są głęboko przekonani, że wszystkim reformatorom łowiectwa chodzi ostatecznie o całkowity zakaz polowań. Czy jest to obawa słuszna?

W świecie ruchów antyłowieckich z takim postulatem można się spotkać, ale jest on marginalny. Krytycy łowiectwa zdają sobie sprawę z tego, że czasem trzeba zastrzelić niebezpieczne dzikie zwierzę, wyeliminować jakiś gatunek inwazyjny albo zreduko-

wać populację jeleniowatych w parku narodowym. A do tego potrzebni są myśliwi.

Jednak obawa przed zmianą stylu życia paraliżuje myśliwych w dialogu z ich krytykami. Dlatego przyszłość myśliwych, ptaków czy wilków będzie zależała od tego, czy w samym tzw. środowisku znajdują się ludzie skłonni wyjść poza szanice oblężonej twierdzy i bardziej wsłuchać się w głosy społecznego sprzeciwu i nauki. O co może być trudno, bo koła łowieckie to często lokalne kluby elit biznesowo-instytucjonalno-samorządowych, niczym w krajach anglosaskich kluby golfowe, a tego typu społeczności naturalnie ciężko ku postawom zachowawczym.

W tym kontekście patrzę na zespół ds. reformy łowiectwa powołany przez wiceministra klimatu i środowiska Mikołaja

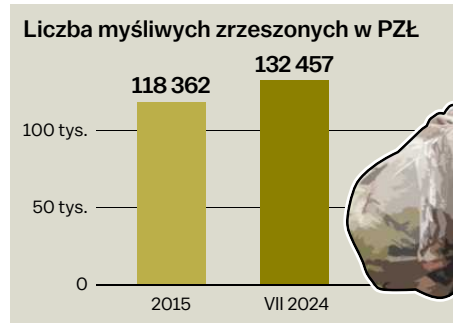
Dorożalę. W jego skład wchodzi przedstawiciele PZŁ, koalicji Niech Żyją! oraz naukowcy i naukowczynie.

Wiceminister działa racjonalnie. Chce, by w zmianach ustawowej listy gatunków łownych współuczestniczyli myśliwi, nie dlatego, że ulega presji, ale dla dobrej sprawy. Bez konsensusu musiałby taką zmianę przeprowadzić drogą rozporządzenia. Wtedy po wyborach czy przy rekonstrukcji rządu jego zmiennik mógłby przywrócić gatunki skreślone wbrew woli PZŁ, nie bacząc na oburzenie obywateli.

Pytanie, co będzie, jeśli Związek nie zgodzi się nie tylko na moratorium na wszystkie 13 gatunków ptaków z listy zwierząt łownych, ale nawet na cztery gatunki ptaków - lyskę, czernicę, głowienkę i cyraneczkę.

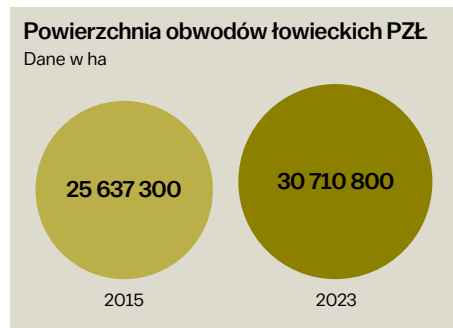
Liczba myśliwych w Polsce

Myśliwi stanowią 0,34 proc. polskiego społeczeństwa. Są to głównie mężczyźni. Na ponad 130 tys. członków Polskiego Związku Łowieckiego tylko nieco ponad 4800 to kobiety. Średnia wieku myśliwych w Polsce w 2021 r. wynosiła 52 lata.



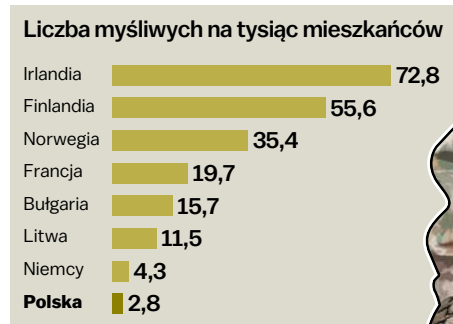
Powierzchnia obwodów łowieckich

Obwód łowiecki to obszar gruntu nie mniejszy niż 3 tys. ha, na którym istnieją warunki do łowiectwa. Większość obwodów dzierżawią koła łowieckie PZŁ. Niektóre są przeznaczone na ośrodki hodowli zwierząt prowadzone przez Lasy Państwowe.



Popularność łowiectwa

W porównaniu do innych krajów Unii Europejskiej łowiectwo w Polsce nie cieszy się popularnością w społeczeństwie. Pod względem liczby myśliwych na tysiąc mieszkańców Polska znajduje się na trzecim miejscu od końca, po krajach Beneluksu.



BRONŃ MYŚLIWSKA

Broń kulowa

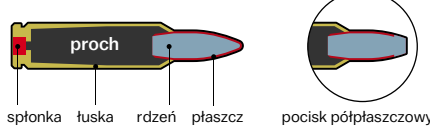
Służy do polowania na grubą zwierzynę ptową i czarną. Umożliwia oddanie precyzyjnego strzału na dużą odległość zwłaszcza przy stosowaniu lunety celowniczej.

Lufa gwintowana

Spiralne bruzdy wewnątrz lufy nadają pociskowi ruch obrotowy, co stabilizuje lot pocisku oraz zwiększa celność i zasięg broni.

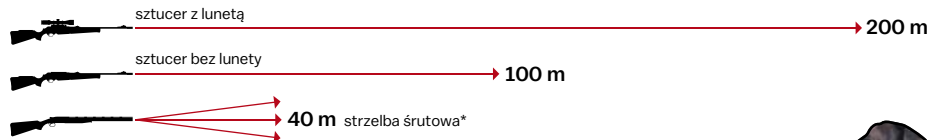
Amunicja kulowa

W myślistwie stosuje się **pociski półpłaszczowe** kalibru min. 5,6 mm. Płaszcz pocisku to zewnętrzna powłoka z plastycznego metalu (np. stali) okrywająca otwiany rdzeń kuli. Pociski półpłaszczowe mają mniejszą prędkość niż pełnopłaszczowe i w przeciwieństwie do nich nie przebijają zwierzyny na wylot, tylko w chwili uderzenia ulegają deformacji i pozostają w ciele. Pociski pełnopłaszczowe dopuszczalne są tylko przy polowaniu na duże drapieżniki.



Zasięg i celność

Kula wystrzelona ze sztucera może pokonać dystans do 5 km, jednak wraz z odległością spada jej celność. Skuteczny strzał z broni bez przyrządów optycznych można oddać z odległości ok. 100 m, z lunetą do 200 m.



PSY MYŚLIWSKIE

Instynkt łowiecki jest ewolucyjnie odziedziczoną cechą gatunkową psa. U niektórych ras jest on silniejszy, u innych słabszy. Łańcuch zachowań drapieżnych, zwany **łańcuchem łowieckim**, składa się z sekwencji zachowań: obserwacji, skradanie się, pogoni, chwytu, rozszarpania i pożarcia. W procesie selektywnej hodowli niektóre elementy łańcucha łowieckiego u określonych ras zostały wzmocnione, inne wygaszone. Zabieg ten w połączeniu z naturalnymi cechami charakterologicznymi i fizycznymi zwierząt doprowadził do powstania kilku zróżnicowanych funkcjonalnie grup współczesnych psów myśliwskich. Niektóre rasy specjalizują się tylko w jednym rodzaju zachowań (np. tropieniu rannej zwierzyny) a inne to psy wszechstronne nadające się do polowań w różnych środowiskach i na różnych jego etapach. Rasy myśliwskie to psy czujne, wrażliwe na bodźce i reaktywne, wymagające uwagi i starannego ułożenia.

*maksymalny zasięg broni łąkowej sięga do 450 m

Broń łąkowa

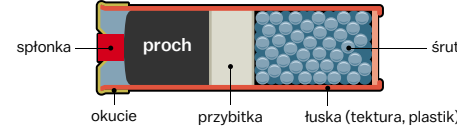
Przeznaczona jest do polowań na zwierzynę drobną. Strzela wiązką łąkową o dużym rozrzucie. Dzięki dużemu polu rażenia nie trzeba trafić idealnie w cel by został on porażony wystarczającą liczbą łąkowych. Istotna jest odległość – im większa, tym mniejsza siła i większe rozproszenie wiązki.

Lufa gładkościenna

Lufy broni łąkowej są niegwintowane. Natomiast na zasięg i skupienie wiązki łąkowej wpływa zwężenie średnicy lufy na jej końcowym odcinku (tzw. czok).

Amunicja łąkowa

Nabój zawiera łąkę w postaci ołowianych kulek. Mogą one, w zależności przeznaczenia pocisku, mieć średnicę od 1,5 mm do 4,5 mm. O skuteczności strzału decydują odległość (siła uderzenia) i równomierność pokrycia celu łąką. Zwierzyna nie pada na skutek uszkodzenia organów wewnętrznych, ale od śmiertelnego porażenia systemu nerwowego (szoku). Do wywołania takiego efektu wystarczy trafienie łąką czterema, a zająca lub lisa sześcioma łąkami właściwej wielkości.



Zasięg i rozrzut łąki

W Polsce dopuszczalna odległość, z której można oddać strzał amunicją łąkową to 40 m. Wystrzelony łąka leci z różną prędkością tworząc smugę o długości 3-5 m, rozpraszając się wraz z pokonywaną odległością.



Legawce

Są to najbardziej wszechstronne psy myśliwskie. Potrafią wytropić zwierzynę, wystawić ją (wykonać „stójkę”) i zaaportować. Świetnie polują zarówno na lądzie, jak i w wodzie. Do tej grupy zaliczają się wyżły: niemiecki, weimarski, czeski szorstkowłós; setery: angielski, irlandzki i szkocki; spaniele: francuski i pikardyjski oraz pointer.

ZWIERZĘTA ŁOWNE W POLSCE

Główne regulacje prawne związane z łowiectwem, w tym to, na jakie gatunki, kiedy i w jaki sposób można polować, określa ustawa z 1995 r. „Prawo łowieckie”. Na jej podstawie do zwierząt łownych w Polsce zalicza się:

- **Zwierzyna gruba, płowa** – łosie (od 2001 r. objęte moratorium na odstrzał), daniela, jelenie szlachetne i jelenie wschodnie oraz sarny;
- **Zwierzyna gruba, czarna** – muflony (wyłącznie w ośrodkach hodowli zwierząt) i dziki;
- **Zwierzyna drobna**, do której należą borsuki, lisy, tchórze, kuny leśne i domowe, jenoty, szopy pracze i norki amerykańskie, piżmaki, zające szaraki, dzikie króliki i szakal złocisty, oraz ptaki: bażanty, kuropatwy, kaczki krzyżówki, cyraneczki, głowienki i czernice, gęsi gęgawy, gęsi zbożowe i gęsi białoczelne, stonki, łyski, gołębie grzywacze, jarząbki.

- **Zakazany jest odstrzał wilków i rysi.** Rysie objęto ochroną ścisłą na obszarze całego kraju w 1995 r., zaś wilki w 1995 r.

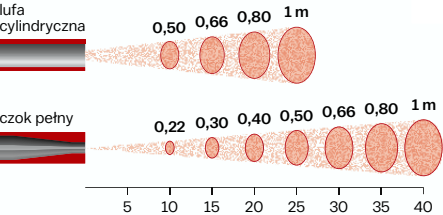
Zgodnie z prawem łowieckim **polować wolno wyłącznie na terenach obwodów łowieckich na podstawie zatwierdzonego planu hodowlano-łowieckiego**, którego częścią jest m.in. plan odstrzału zwierzyny.

Myśliwi uzasadniają konieczność polowań na różne sposoby. Podkreślają, że należy eliminować jako nieprzydatne do utrzymania populacji np. osobniki kalekie lub upośledzone. Wskazują też konieczność redukcji liczebności zwierząt ze względu na tzw. „pojemność środowiska”. Uważają również, że przez odstrzał należy sterować proporcją płci w populacjach.

Czok, czyli dławik (ang. choke)

We współczesnej broni śrutowej raczej nie spotyka się luf idealnie cylindrycznych, gdyż dają one zbyt duży rozrzut i nierównomierne pokrycie celu. Stosuje się natomiast lufy zwężane u wylotu tzw. czoki. Wielkość przewężenia wpływa na zasięg i pole rażenia wiązki śrutu.

Dystans i średnica rozproszenia wiązki śrutu w metrach

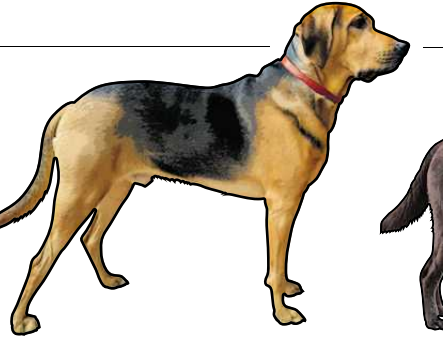


Podstawowe typy konstrukcji broni

Oprócz podziału ze względu na stosowaną amunicję broń myśliwską dzieli się ze względu na:

- sposób ładowania:
 - **broń łamana;**
 - **broń o sztywnym połączeniu luf i zamka z osadą;**
 - **broń powtarzalna** pozwala na powtórzenie strzału po ręcznym otworzeniu zamka, wyrzuceniu łuski i wprowadzeniu drugiego naboju do komory;
 - **broń samopowtarzalna** samoczynnie wyrzucają łuskę po strzale i wprowadza następny nabój.
- układ luf
 - **poziomy** (dubeltówka lub sztucer ekspres);
 - **pionowy** (nadmówka lub tzw. bok);
 - **w trójkąt** (tzw. dryling)

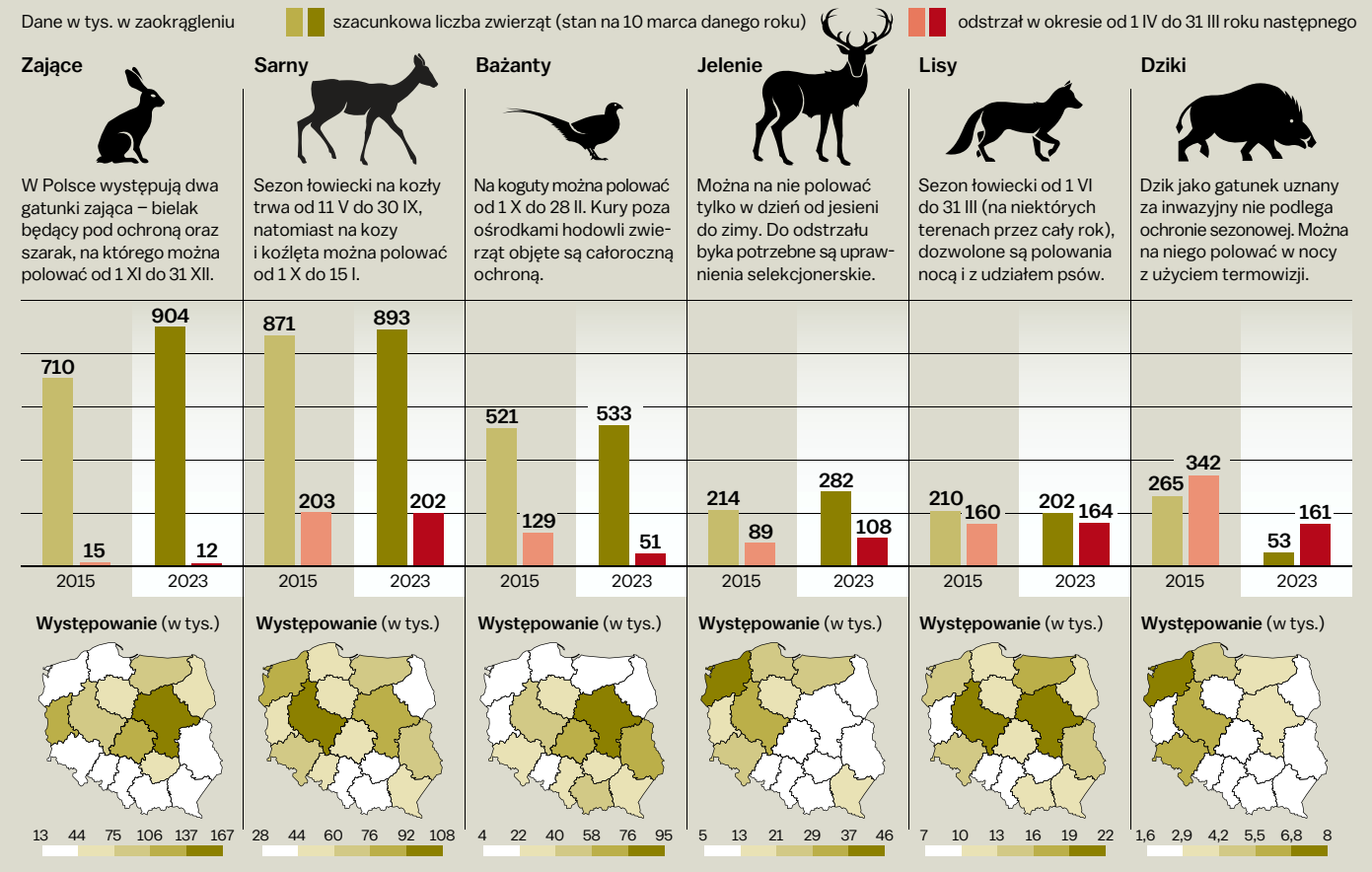
Jeśli broń jest wyposażona w lufę gwintowaną i gładką (w dowolnej konfiguracji) nazywana jest **kombinowaną**



Psy gończe

Na polowaniu podążają za zwierzyną i ujadaniem naprowadzają na nią myśliwych. Są obdarzone dobrym węchem (w zagarnianiu zapachów w kierunku nosa pomagają im długie, obwisłe uszy). Do tej grupy należą m.in.: ogary, polskie psy gończe, bloodhoundy i basety.

Zwierzęta łowne najliczniej występujące w Polsce



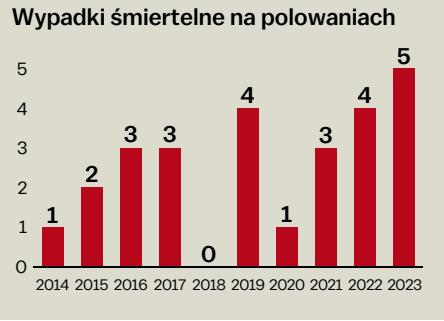
ZANIECZYSZCZENIE OŁOWIEM

Polska należy do nielicznych europejskich państw, w których wykorzystanie ołowiu w myślistwie jest nieuregulowane. Według szacunków koalicji Niech Żyją! z 2020 r. polscy myśliwi wprowadzili do środowiska od 460 do 640 t ołowiu.



WYPADKI NA POŁOWANIACH

Wbrew powszechnej opinii do wypadków śmiertelnych z udziałem myśliwych w Polsce dochodzi bardzo rzadko. Jest to tym bardziej zaskakujące, że średnio każdego roku odbywa się ponad 4,5 mln polowań indywidualnych.



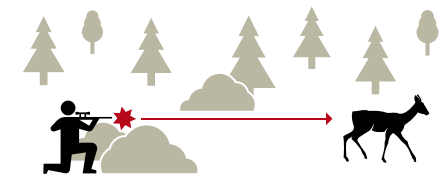
METODY POŁOWANIA

Polowanie z zasiadki – myśliwy czeka w ukryciu w miejscu, w którym spodziewa się zwierzyny. Gdy ta się pojawi – oddaje strzał. Ta metoda jest często stosowana do polowania na dziki, jelenie i sarny.



Polowanie na dreptaka – popularna metoda indywidualnego polowania z psem. Pies przeszukuje teren przed myśliwym. Wykrycie zwierzyny sygnalizuje „stójką”. Wówczas myśliwy może podejść do zwierzyny i oddać strzał.

Polowanie z podchodu – myśliwy ostrożnie, tak by nie spłoszyć zwiwrzyny, zbliża się do niej na odległość strzału. Polowanie z podchodu jest często stosowane do polowania na zwierzynę płową, dziki i piżmaki.

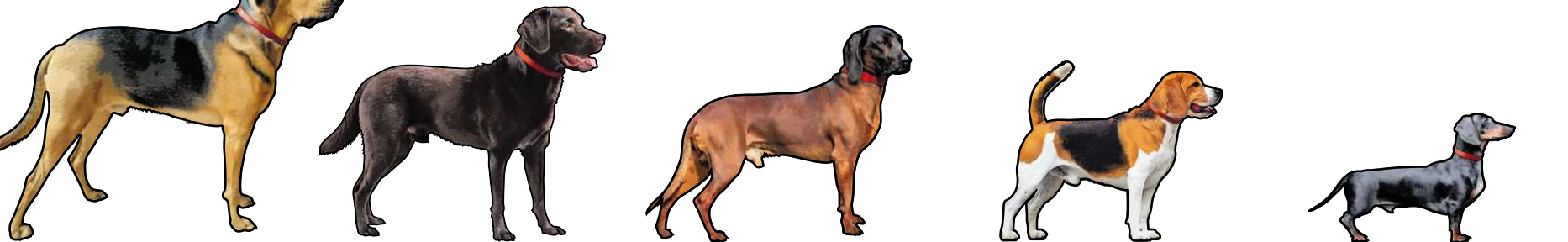
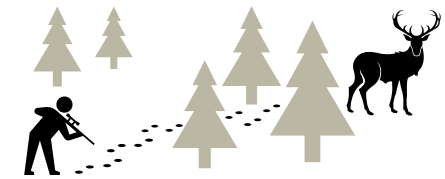


Polowanie na wab – myśliwy do przywołania zwierzyny używa wabika w postaci dźwięku lub zapachu. Wabiki łączy się z innymi metodami polowania, np. polowaniem z zasiadki. Stosuje się je do polowania na wszystkie gatunki zwierząt.



Polowanie z podjazdu – do płoszenia zwierzyny wykorzystuje się łodzie lub konne zaprzęgi. Używanie pojazdów mechanicznych (np. quadów lub samochodów) jest zabronione. To metoda bardzo efektywna do polowań na lisy, gęsi czy kaczki.

Polowanie po tropie – myśliwy lokalizuje zwierzynę szukając pozostawionych przez nią śladów (odcisków łap, sierści lub moczu). Może używać do tego różnych narzędzi, takich jak lornetki lub specjalne latarki.



Psy gończe

Na polowaniu podążają za zwierzyną i ujadaniem naprowadzają na nią myśliwych. Są obdarzone dobrym węchem (w zagarnianiu zapachów w kierunku nosa pomagają im długie, obwisłe uszy). Do tej grupy należą m.in.: ogary, polskie psy gończe, bloodhoundy i basety.

Aportery

Psy myśliwskie służące do odnajdywania i przynoszenia ustrzelonej zwierzyny. Cechuje je łagodny charakter, duża wytrzymałość i naturalna potrzeba współpracy z człowiekiem. Do aporterów należą m.in.: labradory, golden retrievery, cocer i springer spaniele.

Tropowce i posokowce

Są to wyspecjalizowane psy gończe, obdarzone doskonałym węchem szczególnie wrażliwym na zapach krwi. Ich zadaniem jest wytropienie postrzelonej zwierzyny i doprowadzenie do niej myśliwego (na polowaniach bez psów przepada co trzeci tzw. postrzałek).

Dzikarze

To nieduże, krótkonogie psy o silnych szczękach i mocnych zębach, odznaczające się zaciętością i pasją myśliwską. Używane są do polowań na dziki – osaczają i wyprowadzają je na myśliwego. Są to m.in.: beagle, teriery, jamniki, foksteriery i fajki.

Norowce

Norowce wykorzystywane są podczas polowań na lisy, borsuki i inne zwierzęta, ukrywające się w norach. Są to psy średniej wielkości o krótkich kończynach. Ich zadaniem jest wypłoszenie zwierzyny z kryjówki. Popularne rasy: jamniki, foksteriery, jack russell teriery.

ŹRÓDŁA: POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI, DYREKCJA GENERALNA LASÓW PAŃSTWOWYCH, STATISTA, NIECHŻYJĄ.PL, MYSLIWIWDZIAŁANIU.PL

TECZOWY TYGRYS

CZY

ZIELONY TYGRYSEK

**„W PiS większość posłów
ma generalnie takie same
poglądy na życie, jak nasz
wicepremier”.**

Pytałem polityczki,
polityków i rolników
o Kosiniaka-Kamysza

Piotr Głuchowski

Władysław Kosiniak-Kamysz przeżywa trudne tygodnie. Gdy w połowie lipca wicepremier, minister obrony i zarazem prezes PSL zagłosował – wraz z posłami obecnej opozycji – przeciwko dekryminalizacji pomocy w aborcji, dziennikarka Hanna Lis zapytała publicznie: „Co następne? Ustawa o penalizacji i kryminalizacji rozwodów? Oh wait, na to się raczej Władek nie zgodzi...”. Tweet miał przypomnieć odbiorcom, że WKK (jak go piszą w wewnętrznej korespondencji PSL) jest od lat rozwiedziony i żyje w drugim związku. „U ludowców, jak zwykle, wyścig o to, kto pierwszy osiągnie Mount Everest hipokryzji” – zakończyła wpis dziennikarka, zbierając kilkaset komentarzy oburzonych wyborców, z których część rozesłała dalej fotografię Kosiniaka-Kamysza opatrzoną pięcioma gwiazdkami i trzema koniczynkami PSL.

To nie jest jednak główny problem szefa resortu obrony. Większe kłopoty sprawia mu sytuacja na polsko-białoruskiej granicy, gdzie z jednej strony zginął polski żołnierz, a z drugiej prokuratura postawiła zarzuty kilku innym za oddanie strzałów ostrzegawczych w kierunku nielegalnych migrantów. Miesiąc temu WKK przyznał w TVN, że o tym drugim fakcie dowiedział się z opóźnieniem i nikt go nie informował, iż w trakcie zatrzymania wojskowi byli zakuwani przez żandarmerię w kajdanki. Co z kolei stało się przyczyną nowej fali ataków – tym razem z prawej strony.

„Koalicja 13 grudnia zakula broniących polskiej granicy! Tylko PiS jest gwarantem szacunku do żołnierzy” – zatweetował były premier Mateusz Morawiecki. „Żandarmeria aresztuje obrońców granic, czym ośmiesza państwo i wojsko! Sterowność MON jest zerowa” – dopisał były PiS-owski dyrektor Wojskowego Biura Historycznego prof. Sławomir Cenckiewicz. Europoseł PiS Dominik Tarczyński wypowiedział się zwięźle: „Kosiniak, jesteś hańbą nawet dla tego fatalnego rządu!”.

Burę dał WKK i sam premier: „Postępowanie prokuratury i Żandarmerii Wojskowej wobec naszych żołnierzy budzi uzasadniony niepokój i gniew” – oświadczył. W efekcie prezes PSL musiał się publicznie tłumaczyć: „Działania Żandarmerii Wojskowej zostaną bezwzględnie wyjaśnione. Żołnierze stojący na straży bezpieczeństwa państwa muszą być pewni, że procedury prawne ich chronią. Będę zawsze stał po stronie honoru polskich żołnierzy”. Po czym zaraz tłumaczył się z poprzedniego tłumaczenia, gdy wyszło na jaw, że podejrzani mieli strzelać przez płot na białoruską stronę, co groziło poważnym incydentem międzynarodowym.

Seria wizerunkowych wpadek i potknięć lidera ludowców zaczęła się zresztą wcześniej – można przyjąć, że w dniu, w którym przywróceniu na stanowiska twórcy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku – m.in. profesorowie Rafał Wnuk i Paweł Machcewicz – odtworzyli oryginalny kształt ekspozycji, usunąwszy dodatki wstawione za rządów PiS, w tym dotyczące rotmistrza Piłckiego, błogosławionej rodziny Ulmów oraz św. Maksymiliana Kolbego. Wywołało to skrajne oburzenie po prawej stronie: propisowskie media pisały o „zdradzie narodowej” i „celowym wymazywaniu polskich bo-

haterów”. Telewizja Republika zwołała pod gmachem MIIWŚ duży protest.

I wtedy do chóru oburzonych przyłączył się niespodziewanie Kosiniak-Kamysz. Na Twitterze napisał: „Wystawa główna w Gdańsku musi być przykładem tego, co nas łączy, nie dzieli. Usuwanie z niej tych, którzy dawali świadectwo patriotyzmu i niezłomnej walki o dobro Ojczyzny, jest niedopuszczalne. Fragmenty ekspozycji dotyczące rotmistrza Witolda Piłckiego, ojca Maksymiliana Kolbego oraz rodziny Ulmów powinny zostać natychmiast przywrócone”.

„Minister wskoczył w buty PiS” – skomentował tweet profesor Machcewicz. – „To jest ta sama pisowska retoryka, to przeświadczenie, że polityk ma decydować, co może się znaleźć w muzeum”.

Profesor mniej by się może dziwił, gdyby dostrzegł wcześniejszy wpis WKK, w którym minister zalecał przeżywającym problemy internautom modlitwy do świętej Rity, „wiernej orędowniczki w potrzebie”, albo gdyby przeczytał wywiad dla „Gościa Niedzielnego”, gdzie polityk zadeklarował obronę lekcji religii przed zakusami Lewicy. Lub gdyby zajrzał na oficjalną stronę Kosiniakkamysz.pl, gdzie można się dowiedzieć, że prezes PSL „został wychowany w tradycji patriotycznej”, a jego rodzina „każdego roku w końcu czerwca spotyka się na ojcowiznie pod ufundowaną przez dziadka figurą Najświętszego Serca Pana Jezusa”. Przeczytać tam można też o tym, jak młody Władysław podczas studiów medycznych świadczył wolontariat w Stowarzyszeniu św. Elżbiety przy krakowskim klasztorze oo. Karmelitów.

W PiS dobrze o tym wiedzą i być może dlatego jeszcze w czerwcu poprzednik Kosiniaka-Kamysza w fotelu wicepremiera – po-

seł Jacek Sasin – na antenie Radia ZET zaproponował właśnie jemu porzucenie rządzącej koalicji i powołanie nowej: PSL, wspólnie z Konfederacją i partią Jarosława Kaczyńskiego. Minister obrony mógłby zostać w takim rozdaniu premierem. Szef ludowców nie zareagował, a Sasinowi odpowiedział wówczas Piotr Zgorzelski, wicemarszałek Sejmu z PSL: „Na randkę z wampirem się nie wybieramy”.

– Czy formacja duchowa Kosiniaka-Kamysza mimo wszystko bliższa jest Kaczyńskiemu niż liderom rządzącej koalicji? – pytam senatora (a wcześniej dwukrotnie prezesa ludowców i twórcę ich „obrotowej” koalicyjnej potęgi w latach 90.) Waldemara Pawlaka.

– Ideowo zdecydowanie najbliższej mu do PSL – odpowiada sprytnie były premier. – Niech pan jednak zważy, że jesteśmy partią o charakterze centrowym, opierającą się na wartościach ludowych, narodowych i chrześcijańskich. To zobowiązuje.

– Prezes na pewno jest bardzo odległy od dzisiejszych postulatów Lewicy – odpowiada na to samo pytanie Urszula Pasławska, wieloletnia posłanka PSL z Olsztyna. – On reprezentuje zdroworozsądkowe centrum i ma chłodną głowę. Taki konserwatywa centrysta. Tematy światopoglądowe nie są dlań najważniejsze. Dla mnie zresztą też nie. Jesteśmy w trudnej sytuacji, gdy chodzi o obronność, o kondycję małych i średnich przedsiębiorstw, o koszty życia. To są fundamentalne problemy i nasze pole działania. Nie spory ideologiczne w których, jak wszyscy widzimy, trudno osiągnąć kompromis.

– Nie przeoczyłem faktu, że PiS właśnie Kosiniakowi-Kamyszowi zaproponował ko-



• 5 kwietnia, Lublin, szef Agencji Rozwoju i Modernizacji Rolnictwa Andrzej Romańczuk, wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz, minister rozwoju i technologii Krzysztof Hetman oraz radny sejmiku Piotr Rzecki podsumowują kampanię wyborczą Trzeciej Drogi

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

alicję, ale wiem też, że wicepremier pamięta, jak Kaczyński traktował PSL przez osiem lat rządów i co o tej partii mówiła pisowska telewizja – odpowiada pytany jeszcze raz o to samo minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. – Kosiniak jest centrystą, krakowskim tradycjonalistą, państwowcem, na pewno nie populistą. PiS go nie ska-peruje, próżny trud.

– Nie wiem, co siedzi w głowie wicepre-miera, lecz moim zdaniem on jednak puszcza oko do wyborców PiS, szczególnie tych w małych ośrodkach – podejrzewa Ani-ta Kucharska-Dziedzic, wiceprzewodniczą-ca klubu Lewicy. – Niby mamy w Polsce du-opol Tusk – Kaczyński, ale na obrzeżach każdy usiłuje wyszarpać jakiś elektorat. Kosiniak ewidentnie chce łowić sieroty po PiS, stąd taka obrona myśli chrześcijańskiej, ka-tolicyzmu, Kościoła. Daje czytelne znaki: stoję na straży tradycji, tej specyficznej pol-skości małych miast i gmin.

– Moim zdaniem Kosiniakowi najbliżej do konserwatystów z Platformy, takich jak Marek Sowa albo Roman Giertych – mó-wi kolejna ankietowana, europosłanka Le-wicy Joanna Scheuring-Wielgus. – Ma pan jednak rację, że w PiS większość posłów ma generalnie takie same poglądy na życie jak nasz wicepremier. Dlatego uderzyli do nie-go z propozycją. Do Giertycha by przecież nie poszli, bo go nienawidzą. Kosiniaka, jak im się zdaje, byłiby zdolni zrobić na PiS-ow-ca. On chce być takim konserwatystą w sty-lu brytyjskim, tylko nie zauważył, że torysi już dawno poparli związki partnerskie i in-ne równościowe rozwiązania, które u nas ciągle uchodzą za lewicowe.

– Gdy Tusk mu zlecił likwidację Fundu-szu Kościelnego, tego kosztownego relik-tu przeszłości, i zrobił go przewodniczącym zespołu do tego zadania, Kosiniak obiecy-

Urszula Pasławska, posłanka PSL: Prezes to nasz zbawca. Wyciągnął partię z długów, podwoił nam liczbę posłów, wprowadził nas do rządu, dzięki czemu możemy realizować program

Eugeniusz Mikulski, rolnik z powiatu bydgoskiego: Udało się złagodzić problem żywności z Ukrainy, ale nadciąga Brazylia, Argentyna, a jeszcze się budzi Afryka. Zaczynają nawadniać pustynie, słońce mają w gratisie, najtańszą siłę roboczą. To są dzisiejsze wyzwania, a Kosiniaka-Kamysza zajmują dyskusje o związkach partnerskich albo o przerywaniu ciąży

wał publicznie uwinąć się do końca marca. Potem do połowy roku. Mamy środek lipca i Fundusz nadal działa – zauważa młodsza polityczka lewicy, która zastrzega nazwisko do mej wiadomości. – Miał być koniec reli-gii w szkołach – a co jest? Weto Kosiniaka-Kamysza, który ogłasza w katolickiej prasie „nie ma mowy!”. Dla mnie to trąci PiS-em ewidentnie.

– Nieprawda. Formacja duchowa prze-sa wywodzi się z czasów, gdy nie było jesz-cze ani PiS, ani obecnej Lewicy – odpowia-da mój ostatni ankietowany – Krzysztof Pa-szyk, minister rozwoju i technologii, za-razem poseł i przewodniczący klubu PSL-Trzecia Droga. – Znamy się z Władysła-wem od czasów studenckich i mogę śmia-ło stwierdzić, że jest wymierającym gatun-kiem polityka, który nie dostosowuje się ko-niunkturalnie do żadnych opinii – ma wła-sne. Jeśli dla niego Ulmowie i ojciec Kolbe są święci, to będzie o tym mówił, bez wzglę-du na to, czy aktualnie takie zdanie uchod-zi za pisowskie, czy jakiegokolwiek inne. Pre-zes ma silny kręgosłup moralny i pozostaje wierny własnym przekonaniom, które wy-niósł z domu.

Ród Kosiniaków-Kamyszków wywodzi się z małopolskiej wsi Bieniaszowice, w której dziadek po mieczu – kawalerzysta 13. Pułku Ułanów Wileńskich, uczestnik kampanii wrześniowej i partyzant Batalionów Chłop-skich – prowadził z babką gospodarstwo opodal ujścia Dunajca do Wisły.

Wnuk ich obojga, Władysław, jest już jednak urodzonym mieszczańcem: kraku-sem, absolwentem tamtejszego II LO im. Ja-na III Sobieskiego. Po świetnie zdanej matu-rze udało mu się dostać na oblegany kieru-nek lekarski Collegium Medicum UJ. Studia przeszedł jak burza, profesorowie zapro-ponowali mu asystenturę, specjalizował się w jej trakcie z interny, aby już cztery lata po magisterce – w roku 2010 – obronić dokto-rat poświęcony śródbłonkowi naczyniowe-mu u chorych na cukrzycę.

Równoległe z karierą naukową rozwijał polityczną. Jeszcze przed trzydziestką został ważnym działaczem PSL – najpierw współtwórcą i liderem Forum Młodych Lu-dowców, a wkrótce sekretarzem Naczel-nego Komitetu Wykonawczego partii oraz radnym Krakowa. I chociaż w 2014 r. prze-padł w wyborach do Brukseli, stronnictwo przyznało mu stanowisko ministra pra-cy i polityki społecznej w rządzie Ewy Ko-pacz. Jeśli wierzyć temu, co później zdra-dził mediom, ministerialna posada rozbiła mu małżeństwo.

Agnieszkę poznał na stażu podyplomo-wym w krakowskiej lecznicy. Ślubu udzie-lił metropolita warszawski kardynał Kazi-mierz Nycz, który pofatygował się na ce-remonię pod Wawel. „Piękna brunetka, le-karz dermatolog, weszła do znanej rodzi-ny, w której działalność polityczna była wielo-letnią tradycją” – napisał „Super Express”.

Chodzi o to, że Władysław ma oprócz dziadka ulana także innych zasłużonych krewnych. Jego ojciec, Andrzej, działacz PRL-owskiego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, a potem PSL, był przed ro-kiem 1989 krakowskim rajcą Rady Narodo-wej, dalej wiceministrem zdrowia w rządzie Mieczysława Rakowskiego, wreszcie mini-strem tego resortu w pierwszym niekomu-nistycznym rządzie Tadeusza Mazowiec-kiego. Stryj Zenon Kosiniak-Kamysz służył po '89 jako dyplomata m.in. w Budapeszcie, Bratysławie, Ottawie i Singapurze, był rów-nież wiceministrem obrony w pierwszym rządzie Tuska tworzonym przez PSL i PO. Drugi brat ojca, profesor Kazimierz Kosi-niak-Kamysz, został w latach 90. rektorem Akademii Rolniczej w Krakowie, a następ-nie – jeszcze za rządów SLD-PSL – doradzał Ministerstwu Rolnictwa jako ekspert od hod-owl koni.

Jego bratanek Władysław został posłem w wieku 34 lat. W wygranych przez „do-brą zmianę” wyborach 2015 r. zebrał ponad 12 tys. głosów w okręgu tarnowskim. A po-tem go wybrano na prezesa PSL. Janusz

Piechociński w związku z porażką własną i całego stronnictwa, które zdobyło ledwo 5 proc. głosów i po raz pierwszy od 2005 r. nie weszło do rządu, nie walczył o reelekcję, więc Kosiniak-Kamysz miał za przeciwnika mało znanego radnego mazowieckiego sej-miku Mirosława Augustyniaka, którego po-konał stosunkiem głosów 92:7. Po dwóch kolejnych latach stanął na czele klubu po-selskiego PSL-Unia Europejskich Demokra-tów przekształconego później w klub PSL-Koalicja Polska, a jeszcze później w klub Koalicja Polska-PSL-Kukiz'15. Kolejnych nazw było jeszcze parę, nie zmieniał się na-tomiast przewodniczący.

– Bo nikt lepiej od niego nie umiał się do-gadać z posłami innych formacji – słyszę od dawnego kolegi szefa MON, który obec-nie śledzi jego karierę już tylko w telewizji. – Władek podchodzi z tym swoim trochę dziewczęcym uśmiechem, kłania się na po-witanie i już rozmówca jest jego...

Lecz praca w Warszawie miała dla kra-kusa osobistą cenę: „Do domu wracałem na weekendy, co oczywiście nie sprzyjało bu-dowaniu dobrych relacji małżeńskich. Było coraz trudniej” – wyznał po latach „Dzienni-kowi Gazecie Prawnej”. W 2016 r. dermato-łożka złożyła wnioszek o rozwód.

Dziś 43-letni minister obrony żyje w dru-gim związku. Tym razem z jasną blondyn-ką, dentystką Pauliną z domu Wojaś, córką wójta Gdowa w powiecie wielickim i spado-chroniarką hobbystką. – ...Która ma chyba poglądy bardziej progresywne od męża, bo zdarza jej się lajkować moje posty – mówi mi Scheuring-Wielgus.

Władysław i Paulina poznali się bliżej sześć lat temu, gdy rozwiedziony od 2016 r. polityk przyszedł do jej gabinetu wyleczyć ząb. Zaręczyli się w Wigilię. Rok po ślubie, w trakcie kampanii prezydenckiej 2020 r. (zakończyła się zdobyciem 450 tys. głosów i piątym miejscem) żona publicznie – na scenie w podrzeszowskiej Jasionce, gdzie mąż przekonywał do swego programu – na-zwała wybranką „Tygrysem”. Określenie przylgnęło. Także w zdrobniałej formie, któ-rej użył Kaczyński na własnym spotkaniu wyborczym w styczniu. Komentując w Kiel-cach wybór Kosiniaka-Kamysza na szefa re-sortu wojny, zapytał z przekąsem: „Tygrysy są groźne, ale czy tygryski także?”.

Drugim, mniej popularnym przezwi-skiem wicepremiera, rozpowszechnianym przez pisowskie media, jest „Tęczowy Wła-dek”. W 2019 r. to miano nadał mu eurode-putowany PiS Ryszard Czarnecki. Poszło o wypowiedź Kosiniaka-Kamysza w rozmo-wie z „Wyborczą”, podczas której opowie-dział się za referendum w sprawie zwią-zków partnerskich. – Czarnecki zna poglądy Władysława i wiedział, że mu tym przezwi-skiem dopieczę – mówi mi kolega z daw-nych lat. – A Kosiniak rzucił pomysł referen-dum, bo on w gruncie rzeczy jest prostoli-nijny. Skoro część woli tak, a część siak – za-głosujmy... Pomysł był niezależny od meri-tum sprawy. No i się nań rzucili prawnicy...

Nie bez skutku, bo teraz – po pięciu la-tach, zapuszczeniu brody i wejściu do rządu – Kosiniak-Kamysz wycofuje się z referen-dum. Mimo nacisku koalicjantów z Lewicy oraz osobistych monitów ministry ds. rów-ności Katarzyny Kotuli stawia „kompromi-sowi partnerskiemu” weto. Nie godzi się na możliwość adoptowania ani przysposabia-nia dzieci przez pary jedнопłciowe.

– On po prostu uważa, że oddanie dziec-ka parze dwóch dżentelmenów może się źle skończyć, bo takie wypadki były – tłumaczy stary kolega. – To nie jest ideologia, tylko rozsądek lekarza. Albo i chłopski rozsądek.

Sam „Tygrys” i druga żona mają troje dzieci: pięcioletnią Zosię, rok młodszą Ró-żę i urodzonego kilka miesięcy temu Stasia. Gdy tata objął szefostwo MON – w związku z czym przeniósł się do Warszawy – rodzi-na została w Małopolsce. Czyli znowu roz-stanie. Paulina twierdzi jednak, że jest przy-gotowana.

„Mąż nie pierwszy raz zasiada w rządzie, więc myślę, że damy radę” – mówi One-

towi. „Pomagają nam elektroniczne udogodnienia, jak na przykład wideorozmowy, zwłaszcza gdy chodzi o córki. Ale szczerze mówiąc, trudno męża złapać w ciągu dnia. A też nie chcemy mu przeszkadzać, bo ma obowiązki...”

W ostatnich wyborach europejskich sojusz Kosiniaka-Kamysza z Szymonem Hołownią (Trzecia Droga) zebrał 6,9 proc. głosów. PSL będzie miał teraz w Brukseli dwóch deputowanych – Adama Jarubasa i Krzysztofa Hetmana. Więcej nazwisk wprowadziła Konfederacja (szescioro), a nawet Lewica (troje). Jak napisała w „Wyborczej” Krystyna Naszkowska, peeselowskie doły zareagowały na te wyniki „złością wobec szefów własnej partii za uporczywe trwanie w Trzeciej Drodze”: „Przybywa tych, którzy mówią, że optowali za startem wspólnie z Platformą – a nie z Polską 2050 – lecz nie byli słuchani przez liderów”.

Zdaniem cytowanych peeselowskich działaczy główną przyczyną klęski Trzeciej Drogi są nieprzewidywalne różnice programowe między ruchem Hołowni a PSL – choćby w kwestiach ekologii i Zielonego Ładu. Temu ostatniemu rolnicy przeciwstawiają się gremialnie, natomiast Hołownia (m.in. w książce „Fabryka jutra”) deklaruje przywiązanie do postulatów ochrony klimatu i często o tym mówi.

Podobnie jest z aborcją. Większość posłanek i posłów Hołowni opowiada się za liberalizacją restrykcyjnych przepisów. Ludowcy z WKK na czele są przeciw. – Mamy również diametralnie różne stanowiska w kwestii nawozów, stosowania pestycydów, hodowli bydła i zwierząt futerkowych, dyrektywy budynkowej – wylicza była europosłanka Polski 2050 Róża Thun.

– W efekcie nie wiadomo, za czym Trzecia Droga właściwie optuje – stwierdza w rozmowie z Naszkowską ludowiec z Mazowsza. – Tak nie może być. Trzeba będzie rozliczyć prezesa i przyspieszyć kongres, by wybrać nowego szefa.

– Może pan zostanie prezesem po raz trzeci? – pytam Pawlaka.

– Jestem przewodniczącym Rady Naczelnej PSL i to mi odpowiada. Nie zgadzam się również z tezą, że trzeba zmienić władzę. Prezes Kosiniak uzyskał na ostatnim kongresie mocne, powszechne poparcie. Partia za nim stoi.

– Tylko jednocześnie słabo stoicie w wyborach...

– W polityce, tak jak i w sporcie, nie zawsze się wygrywa – ripostuje minister Paszyk. – Stoczyliśmy trzy trudne batalie, pierwszą fundamentalną – jesienną, bez której nie byłoby zmian; drugą o samorząd, gdzie odebraliśmy PiS ważne województwa... Trzecie wybory faktycznie gorzej wyszły, ale czy 7 proc. to dramat? Nasza delegacja w Europejskiej Partii Ludowej będzie drugą liczebnie po niemieckiej...

– Jeżeli liczyć was wspólnie z Koalicją Obywatelską, która wprowadziła 21 nazwisk.

– ...więc tragedii nie ma. Były większe porażki – choćby wtedy, gdy Lewica nie weszła do Sejmu, torując drogę.

Waldemar Pawlak również deklaruje, że nie boi się o przyszłość stronnictwa ani samego WKK. – PSL i Polska 2050 są bardzo ważnym elementem koalicji demokratycznej i mamy przed sobą jeszcze co najmniej trzy i pół roku współdziałania. Pierwsze sukcesy już są. Dzięki staraniom ministra rolnictwa Czesława Siekierskiego i ministra rozwoju Krzysztofa Hetmana [obaj z PSL] udało się wprowadzić cla na ukraińską żywność i – co ważne – Ukraina się na to zgodziła.

Urszula Pasławska także nie przypuszcza, by ktokolwiek zamierzał „rozliczyć prezesa i przyspieszyć kongres”: – Pozycja wicepremiera jest niepodważalna. Choć w PSL zawsze krytykowano prezesów – żartująco twierdzenie, że to jest zawarte w naszym DNA – tym razem znakomita



• 18 maja, kra-kowskie Błonia, minister Kosiniak-Kamysz podczas pikniku wojskowego z okazji 80. rocznicy bitwy o Monte Cassino

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

większość jest zgodna: prezes to nasz zbawca. Wyciągnął partię z długów po wstrzymaniu subwencji budżetowej w czasach Jarosława Kalinowskiego...

– To było 20 lat temu.

– Ale konsekwencje ciągnęły się latami. Musieliśmy się zrzucić za prywatnych pieniędzy, by wynająć salę i zrobić zebranie. Popadliśmy w długi, ludzie zaczęli odchodzić, beznadziejne czasy... To, że Kosiniak wszystko wyprostował, jest niemalże cudem... Wszedł do Sejmu w 2015, a cztery lata później podwoił nam liczbę posłów. W zeszłym roku wprowadził nas do rządu, dzięki czemu możemy realizować program. Ja wiem, co o nim mówią: że spokojny, wygadany, grzeczny. To nie jest cała prawda. On mocno trzyma się swego. Wysłucha argumentów, a potem powie, jak ma być. Potrafi od ludzi wymagać.

Mniej optymistycznie widzą przyszłość PSL i jego szefa politycy PiS. „Tusk zjada swoje przystawki w tempie przyspieszo-

sko, z zawodu zootechnik, właścicielka stada krów mlecznych z powiatu kolskiego.

– Nie słyszałam o żadnych sensownych projektach dotyczących polityki rolnej, jakie by wyszły z kręgu PSL. Co oni w ogóle robią? Poddają się naciskom ekologów. Pani poseł Małgorzata Tracz z partyjki Zielonych złożyła już do laski marszałkowskiej projekt zakazu hodowli zwierząt futerkowych. Następny będzie moim zdaniem szlaban na chów klatkowy. Ekolodzy wniknęli do serca rządu, a Kosiniak nie jest w stanie im się przeciwstawić. Już nie wiadomo, za czym oni w ogóle są i przeciw czemu.

– Przywódca PSL powinien być rolnikiem, a nie jest, i może dlatego nie rozumie wsi – dodaje Rafał Forysta, plantator z mazowieckiego powiatu Przysucha, członek Konfederacji i organizator sprzedaży bezpośredniej, czyli serwisu Rolnikhandluje.pl.

– Niestety, obecny PSL nie jest kontynuacją partii Witosa i Mikołajczyka, tylko ZSL-u. Tamci wdrażali kolektywizację i ci rów-

na dziecko. I żeby dodatkowa praca oraz nadgodziny były zwolnione z podatku. Tożsamość stronnictwa to praca.

– Spójrzmy jeszcze szerzej – zachęca senator Pawlak. – Od XX wieku ściera się ideologie, z których jedna nam mówi „równość ponad wszystko”, a druga „wolność ponad wszystko”. Jak widać, brakuje braterstwa. Tymczasem wspólnotowość i współpraca są ludziom potrzebne. A premier Kosiniak-Kamysz jest osobą, która zarówno w polityce, jak i w życiu codziennym stara się odgrywać rolę mostu łączącego ludzi. To dobry kolega, uważny słuchacz i perfekcjonista we wszystkim, czego się dotyka.

– Chce pan powiedzieć: brak wad?

– Jego słabą stroną jest przeświadczenie, że tylko zgoda i kompromis są w stanie zbudować silne społeczeństwo. Ale paradoksalnie to również jego atut.

Politycy innych partii są bardziej krytyczni.

„On po prostu uważa, że oddanie dziecka parze dwóch dżentelmenów może się źle skończyć, bo takie wypadki były. To nie jest ideologia, tylko rozsądek lekarza. Albo i chłopski rozsądek”

nym” – stwierdził po eurowyborach Mateusz Morawiecki. „Jedyne, co udaje się Tuszkowi, to skuteczna likwidacja Lewicy i Trzeciej Drogi” – wtórował Sasin.

A co sądzą o Kosiniaku-Kamyszu sami wyborcy? Ruszam na wieś, aby podpytać hodowców i plantatorów.

– Mimo że partia ludowa współrządzi, wiś nad nami miecz Zielonego Ładu, a prezes PSL zachowuje się, jakby nie widział, że katastrofa nadchodzi – mówi Eugeniusz Mikulski, rolnik z powiatu bydgoskiego, za młodu członek PRL-owskiego ZSL, teraz bezpartyjny.

– Udało się nieco złagodzić problem żywności z Ukrainy, ale nadciąga pakt Mercosur: Brazylia, Argentyna... a jeszcze się budzi Afryka. Zaczynają nawadniać pustynie, słońce mają w gratisie, najtańszą siłę roboczą, żadnych przepisów ograniczających... to są dzisiejsze wyzwania, a jakoś nie słychać, aby PSL o nich mówił. Kosiniaka-Kamysza zajmują dyskusje o związkach partnerskich albo o przerywaniu ciąży.

– Jego polityka zrobiła się niewiarygodna i niespójna; PSL stracił twarz i jest obśmiewany nawet w swoich bastionach, jak u nas, w Wielkopolsce – mówi mi Maria Bukow-

niez wspierają olbrzymie korporacje kosztem małych gospodarstw. Te korporacje utrzymują przy rządach w Brukseli i Warszawie całe tłumy lobbystów, w efekcie dyskonty i wielkie przetwórnice ciągle nam dyktują zaniżone ceny. W skupie jest tanio, w sklepie coraz drożej. Do tego giganty korzystają z ulg, płacą niższe podatki niż małe prywatne piekarnie, masarnie. Nie słyszę, by władze PSL miały pomysł: jak się przed tym bronić? Partia Kosiniaka-Kamysza nie jest już ani trochę reprezentantką wsi.

Z tym ostatnim zdaniem – o dziwo! – zgadzają się i Pawlak, i Pasławska z Paszykiem. Tyle że według nich uczynienie z PSL-u partii nie chłopskiej, ale „ogólnospołecznej” to „ogromny sukces” WKK. – Mamy już za sobą okres „stronnictwa od bruzdy” – ocenia minister Paszyk. – W naszych szeregach stoją prawnicy, lekarze, nauczyciele, przedsiębiorcy... Jesteśmy polską chadecją.

– To dzięki obecnemu prezesowi stronnictwo przestało być związkiem zawodowym rolników – dodaje posłanka z Warmii. – Staliśmy się partią ogólnospołeczną, zachowując przy tym chłopski rozsądek: jak nie zasiejesz, to nie masz. Nie reprezentujemy leni, tylko ludzi pracy. Stąd choćby propozycja, aby osoby nieaktywne zawodowo dostawały 500, a tylko pracujące – 800 plus

– Władek jest sympatyczny, ciepły i szczerze zaangażowany w to, co robi... ale chyba nie do końca kontroluje sytuację – mówi mi tajemniczo prominentny polityk Platformy.

Być może ma na myśli interwencję poselską trójki parlamentarzystów PiS, którzy 4 lipca buszowali po gabinetach MON, szukając dokumentów na potwierdzenie tezy TV Republika, wedle której koalicja planuje ciecicia w wojsku. Dowody okazały się nie do zdobycia, co jeden z kontrolujących – przewodniczący Forum Młodych PiS Michał Moskal – określił jako „kompletny bałagan i panikę w resorcie Kosiniaka-Kamysza”.

Podobny sąd wygłosił jeszcze w czerwcu Antoni Macierewicz. „Obecny szef resortu obrony nie ma w swoim ministerstwie nic do powiedzenia – stwierdził w Republice. – Wszystkie decyzje podejmowane są na polecenie premiera Donalda Tuska, a ich wykonania pilnuje wiceminister obrony Cezary Tomczyk z Platformy. Kosiniak-Kamysz nie kieruje wojskiem, tylko deklaruje jakieś punkty widzenia”.

Zdaniem poprzednika lidera ludowców w resorcie, Mariusza Błaszczaka główne dokonania WKK to uruchomienie telefonu zaufania dla żołnierzy i decyzja o wysłaniu orkiestr wojskowych na imprezy WOŚP. „Gdy-

by zaczął pan się zajmować sprawami Wojska Polskiego, a nie festynami Owsiaaka albo telefonem, byłoby dla wszystkich lepiej” – napisał były minister na portalu X.

Wicepremier z doktoratem Jagiellonki zdaje sobie sprawę z krążących na jego temat opinii, bo trzy tygodnie temu udzielił wywiadu „Faktowi”, przedstawiając się jako twardziel. Zadeklarował m.in. natężenie działań przy polsko-białoruskiej granicy. Teraz będziemy traktować nielegalnych migrantów ostrzej niż za rządów PiS: „Charakter wojny hybrydowej zmienił się bowiem i zaognił. W czasie gdy Donald Tusk mówił o biednych ludziach, którzy szukają swego miejsca na ziemi, nie było takiej dynamiki agresji wobec żołnierzy i funkcjonariuszy. Nie było widać specjalnie przygotowanych bandytów, którzy atakują... Dlaczego używam słowa tak ostrego: bandyta? Bo ścigamy tego, który ugodził nożem naszego żołnierza ze skutkiem śmiertelnym. Polskie państwo go złapie i ukarze. Wszystkie służby, wszystkie instrumenty państwa działają w tej sprawie. W końcu go dopadniemy”.

Takiej postawy PiS skrytykować nie może. – I nie krytykuje – mówi posłanka Paławska. – Na komisji obrony w trakcie głosowań nad punktami rządowego projektu ustawy o wzmocnieniu granicy pisowcy głosowali na „tak” równo z Platformą i z nami. Natomiast lewica głosowała „nie” – i to jest jakiś problem, skoro siedzą w rządzie. Zaś szum robiony w budynku MON przez panów, którzy przyszli z kontrolą, by wypuszczać tweety o rzekomej „panice w reSORCIE” jest jedynie zagranieniem pod media, robieniem zamętu.

Zamęt wygenerowany w propisowskich mediach istotnie jest wielki. 7 lipca TV Republika poświęciła Kosiniakowi-Kamyszowi główne wydanie „prawdziwych polskich wiadomości”, czyli programu „Dzisiaj”.

– Kosiniak to figurant we własnym resorcie – stwierdził na wstępie prowadzący program redaktor Jacek Sobala. Z dalszego materiału wynika, że zanim w MON pojawiła się kontrola poselskaw wykonaniu posła Michała Moskala i kolegów, ktoś z ministerstwa wysłał do Sztabu Generalnego propozycję zmniejszenia o ponad 50 mld zł wydatków na tzw. Centralny Plan Rzeczowy, jeden ze składników budżetu obronnego.

Rzeczony kwit okazał się jedynie podkładką do dalszej dyskusji, a istnieniu planu redukcji wydatków na armię zaprzeczyli kolejno: sam Kosiniak-Kamysz („budżet na obronność z oczywistych względów będzie z roku na rok coraz wyższy”), szef departamentu budżetowego MON generał Sławomir Kozicki i wreszcie szef resortu finansów Andrzej Domański. Mimo to media związane z Republiką – m.in. „Gazeta Polska Codziennie” i portal Niezalezna.pl – przez tydzień grały temat „planów Tuska i Kosiniaka-Kamysza w sprawie osłabienia polskiej obronności”. Ostatnie wieści z „GPC”: „Amerykanie są zaniepokojeni informacjami o cięciach w MON ujawnionymi przez Strefę Wolnego Słowa”. Którzy Amerykanie? Nie wiadomo.

– To może być przypadek: ktoś z MON sprzyjający PiS-owi wysłał Republice podejrzany świstek, a ci się na niego rzucili. Ale może to być i celowe grillowanie Kosiniaka-Kamysza za to, że odrzucił ofertę Sasina – mówi mi polityk PO. – Chyba go uznali za słabe ogniwo układu rządzącego i cisną w nadziei, że pęknie, że zrobi coś głupiego.

Wyrazem nacisku była z pewnością zorganizowana w poniedziałek 15 lipca PiS-owska konferencja „Siedem miesięcy rozczarowań i niewykorzystanych szans w Ministerstwie Obrony Narodowej”. Jej główny uczestnik Mariusz Błaszczak określa okres rządów swego następcy w resorcie słowami: „Marazm, zastój, nie ma kontynuacji”.

Kosiniak-Kamysz broni się przed krytyką m.in. w „Fakcie”, gdzie wymienia swe dokonania:

„Odziedziczyliśmy po naszych poprzednikach wiele złych rzeczy. Jedną z pierwszych decyzji, którą podjąłem, była poprawa stanu indywidualnego wyposażenia żołnierzy. Wprowadziliśmy po przejściu minister-

stwa operację Szpej, czyli szybkie działania dotyczące osobistego doposażenia mundurowych”. „Zaprezentowałem w Sejmie projekt nowelizacji ustawy, która daje żołnierzom większe uprawnienia i pewność w razie użycia broni. Wprowadza m.in. pomoc prawną adwokata z urzędu i zwiększa opiekę nad żołnierzem”. „Powołujemy Brygady Ochrony Pogranicza w Wojskach Obrony Terytorialnej. Z tego wyłania się coś w typie przedwojennego Korpusu Ochrony Pogranicza: Straż Graniczna, policja, żandarmeria i żołnierze – odpowiednio przygotowani i przeszkoleni – będą współpracować”.

Granicy mają też bronić myśliwi. Z początkiem czerwca MON podpisało porozumienie z Polskim Związkiem Łowieckim, którego członkowie będą wykorzystani do obrony państwa, ponieważ „mają pozwolenie na broń i są odpowiednio wyszkoleni”. Ten pomysł WKK również rozszerzył część elektoratu. W sieci natychmiast przypomniano listopad 2023 r, kiedy na poligonie w Szczecinie myśliwy zastrzelił 21-letniego żołnierza, myląc go ze zwierzyną.

„Myśliwi stanowiący 40 proc. posiadaczy broni są odpowiedzialni za 85 proc. wypadków z bronią, często po alkoholu” – napisała na twitterowej stronie ministra obrony „Bechatka”. Inni komentatorzy byli mniej merytoryczni, a bardziej emocjonalni: „Stare dziady z wiatrówkami będą bronić Polski. Oto wojsko tygryska” (Adrian); „Kosiniak, jesteś największą żenadą tego rządu” (Kashaku); „Kiedy podasz się do dymisji, nieudaczniku?” (Euzebiusz)... I tak dalej.

– Wicepremier się gubi – mówi mi anonimowo, europoseł Konfederacji. – Przejął się rolą obrońcy ojczyzny, ale jednocześnie jest rozliczany z kłopotów rolnictwa i całego rządu, łatwo ogrywany przez Tuska, Lewicę, Hołownię, PiS. Ktoś słusznie napisał w sieci, że Hołownia co prawda nie skończył studiów ani seminarium, ale może skończyć ponadstuletnią historię PSL. Być może Kosiniak będzie dla swojej partii tym, czym Miller był dla SLD: ostatnim, który coś znaczył.

Wicepremier zdaje się nie mieć tych obaw. „Faktowi” mówi: „Jest naturalnym, że rola ministra obrony i bezpieczeństwo państwa są dla mnie najważniejsze – a nie interes polityczny mój czy mojej partii. Wiem, że wielokrotnie bywało inaczej. Gdy ktoś obejmował ministerstwo, chciał budować siebie i ugrupowanie... ja chcę budować Polskę. Lecz proszę zauważyć, że jednocześnie nigdy w historii naszego kraju PSL nie odpowiadało za tak liczne obszary działania jak dzisiaj. To jest bezpieczeństwo, rolnictwo, rozwój wsi, infrastruktura, gospodarka... połowa najważniejszych obszarów. Więc nie mówmy, że PSL się stacza”.

●
– Śmierć PSL-u ogłaszała najpierw Samoobrona, a potem PiS, który miał całkowicie przejąć głosy polskiej wsi – przypomina mi cytowany już rolnik z powiatu bydgoskiego. – Tymczasem stronnictwo po każdej wyrocie się dźwiga. Teraz też tak będzie.

Szybkiego końca ludowców nie wróży również profesor – obserwator krajowej sceny politycznej – Marcin Matczak: – W Polsce zawsze będzie miejsce na partię konserwatywną, ale nie skrajną pogładowo. – Do wyborów prezydenckich PSL zostanie z pewnością lojalnym uczestnikiem koalicji – dopowiada prof. Antoni Dudek, który niedawno wydał „Historię polityczną Polski 1989-2023”. – Im jednak bliżej końca obecnej kadencji parlamentarnej, tym bardziej ludowcy będą brykać. Na pewno nie będzie to już tak zgodna współpraca jak w latach 2007-15. Bo PSL musi sobie robić miejsce w coraz węższej szczelinie między Platformą a PiS.

– A po wyborach prezydenckich co będzie?

– Tego nie wie nikt i Kosiniak-Kamysz też nie. Ale byłbym daleki od wróżenia mu końca. Pan wicepremier jest jeszcze, jak na polityka, młody...

Na moją prośbę o wywiad minister obrony nie zareagował. ●

Nawet Napoleon przegrał z sędziami

Świata nie da się opisać całkowicie precyzyjnie i w tym nadzieja Świata nie da się opisać całkowicie precyzyjnie i w tym nadzieja.



Marcin Matczak

Ludzie często oskarżają sędziów, że ci, zamiast stosować prawo wprost, interpretują je. W tym interpretowaniu opinia publiczna widzi ryzyko machlojek – suweren coś ustala, spisuje w ustawie i daje sędziom do stosowania, a ci kombinują. Dzielią włos na czworo, widzą wieloznaczności, wertują słowniki.

Przykładowo suweren nakłada niższe cło na owoce niż na warzywa, a tu sędziowie w sprawie Nix vs. Hedden zastanawiają się, jak oclić pomidory. Jaki pomidor jest, każdy widzi. Gdy w restauracji prosisz o salatkę owocową, kelner, który przyniesie ci salatkę z pomidorów, napiewku nie dostanie. Ale w sensie botanicznym pomidor jest owocem – bo jest częścią rośliny, która powstaje z kwiatu. Jakie znaczenie „owocu” i „warzywa” powinni sędziowie przyjąć? Potoczne czy specjalistyczne? Czy komuś, kto importował przez lata pomidory i płacił za nie cło jak za zboże (przepraszam, jak za warzywa), należy się zwrot pieniędzy, bo powinien płacić jak za owoce?

Sędziowie interpretują prawo, bo ono jest językiem, a język jest wieloznaczny i nieostry. Czy jeśli konstytucja pozbawiałaby prawa głosu łysych, powinniśmy je odebrać komuś, kto ma jeden, króciutki, siwy, wypadający włos, czy też jego prawa wyborcze na tym włosku właśnie wiążą? Jak brzydki musi być człowiek żyjący w kraju, w którym podatek od wygranej w loterii głównym płacą piękni, żeby uzyskać zwolnienie?

To prawa wymyślone, absurdałne. Ale poważne prawo ma w sobie jeszcze więcej nieostrości: „należyta staranność”, „niezgodność z zasadami współżycia społecznego”, „szczególne okrucieństwo”. To nie wina sędziów, że nie da się świata opisać całkowicie precyzyjnie. Ale też w tym nadzieja, że człowieka w todzie nie tak łatwo zastąpi bezduszna sztuczna inteligencja.

Napoleon w swoim kodeksie zakazał sędziom interpretacji, bojąc się, że z wieloznacznego tekstu będą wyprowadzać coraz to nowe konkluzje, jak magik, który wyciąga kolejne króliki z kapelusza. Po Napoleonie nikt już tego nie próbował, a od Hammurabiego wiemy, że opisanie każdego przypadku tak kazuistycznie, by nie trzeba było interpretować, nie działa.

Co zrobić z tą podejrzliwością między społeczeństwem a sędziami? Tu z pomocą przychodzą inni sędziowie – piłkarscy. Bo okazuje się, że nawet haratanie w galę nie może obyć się bez interpretacji. Gry, jak życie społeczne, też podlegają regułom, te reguły się stosuje i interpretuje – i bardzo często w interpretacji pojawiają się wątpliwości.

Ostatnio brałem udział w programie, w którym wystąpili Michał Laskowski, sędzia Sądu Najwyższego orzekający w sprawach karnych, i Michał Listkiewicz, były sędzia piłkarski. I okazało się, że między ich pracą jest wiele podobieństw. Na przykład podobnie budują autorytet – nie ka-

rami (grzywną czy złotą kartką), ale spokojem, obniżeniem emocji. Muszą być jednocześnie uprzejmi i asertywni, a ta mieszanina wynika z doświadczenia, pewności siebie, nie agresywności.

Podobnie ocenia się sędziowską niezawisłość – nie chodzi w niej tylko o to, żeby sędzia czuł się niezależny od stron sporu czy meczu, ale także o to, aby swoim zachowaniem nie pozwalał ludziom w swoją niezawisłość wątpić. Kiedyś sędzia piłkarski, który zastosował tzw. korzyść, a więc mimo faulu pozwolił kontynuować akcję, z której padł gol, wykonał ręką triumfalny gest w stylu „yes, yes, yes” Kazimierza Marcinkiewicza. Jak tłumaczył, cieszył się, że nie zabił ducha gry, podejmując dobrą decyzję. Ale kibice odebrali to jako radość ze strzelenia bramki przez jedną z drużyn, a więc kibicowanie jej.

Podobnie jest z sędziami w sądach czy trybunałach. Jeśli codziennie w mediach społecznościowych wyrażają swoje sympatie polityczne i moralne, trudno później traktować ich poważnie, gdy zapewniają, że wewnątrznie czują się całkowicie niezawisli. Niezawisłość to nie spalenizna, którą można czuć. To coś bardziej jak honor, który można mieć albo można stracić w oczach innych ludzi, a więc coś zewnętrznego, co się sędziemu przypisuje albo nie.

Dyskutowaliśmy więcej podobieństw – na przykład to, że są kraje, w których sędziowie nie wybierają się z własnego gro- na, ale wybiera ich naród, jak polityków, w wyborach powszechnych. Tacy sędziowie pod koniec kadencji zaczynają prowadzić kampanię, a badania wskazują, że aby przypodobać się wyborcom, przed samymi wyborami są bardziej surowi niż po. Niewiele ma to wspólnego ze sprawiedliwością.

Może dlatego nie wybiera się u nas ani sędziów prawa, ani sędziów sportowych głosami ludu. Ci, którzy krytykują „kastę” sędziowską, zarzucając jej, że wybiera się sama, powinni wyobrazić sobie sytuację, w której sędziów piłkarskich do prowadzenia meczu wybierają kibice. Z jakiegoś powodu nie stosuje się tego rozwiązania i także sędziowie piłkarscy oceniają się i wybierają się sami (co też budzi wątpliwości, jak na przykład w przypadku niewybrania sędziego Marciniaka do sędziowania finału Euro).

Wreszcie sprawa interpretacji przepisów. I w piłce nożnej ma ona miejsce, czego dowodem spór interpretacyjny o to, czy Niemcom należał się karny po tym, jak w ćwierćfinale mistrzostw Europy piłka uderzyła w rękę hiszpańskiego obrońcę. Nie został podyktowany, ponieważ ułożenie ręki było „naturalne” – a więc znowu termin nieostry, jak „łysy” czy „piękny”.

Wreszcie tak jak w interpretacji prawa sędziowie odwołują się do jego ducha, tak i w piłce nożnej istnieje „duch gry”. Pozwała on pominąć drobne naruszenia przepisów, by nie podjąć decyzji nieproporcjonalnie krzywdzącej. Nie zawsze ten duch działa, czego dowodem jest sytuacja, gdy drużynę pozbawia się gola z powodu jednocentymetrowego spalonego. Gdyby zawodnik miał mniejszy rozmiar buta, wszystko byłoby zgodne z regułami, a tak nie jest.

A skoro o butach mowa – jest jeszcze jedno podobieństwo między sądem a boiskiem. Jeśli kibicujesz naprawdę mocno jednej ze stron, gdy ona przegra, i tu, i tu zakrzykniesz „sędzia-kalos!”. Kiedyś znany hokeista powiedział, że największy problem z sędziami to to, że im zupełnie nie zależy, kto wygra. Ale to było dawno i dzisiaj mało kto w to wierzy. ●

Ziemowit Szczerek

Oleh Żabiniec wygląda trochę jak młody księżę Poniatowski. Kędzierzawe włosy, lekkie wąsiki, przystojny. Pali papierosa, mocnego, nie słabego, i się uśmiecha.

– Legion LGBT w ukraińskiej armii? – Powtarza moje pytanie. – Tak naprawdę to nie ma czegoś takiego. My, otwarci geje w armii Ukrainy, mamy swoją organizację pozarządową i wspólną grupę na Telegramie. Są tam też, oczywiście, osoby niewyautowane. Często incognito. Tyle.

Mają też szewron swojego „Bractwa Achillesa”, który noszą jego członkowie po przeróżnych brygadach rozrzuconych po całej Ukrainie: w tarczy herbowej pole dwudzielne. Po prawej stronie jednorożec. Po lewej – czerwone płomienie układające się w kształt tryzuba.

Ojciec i syn idą na wojnę

Siedzimy z Olehem w Pięknym Psie na Kazimierzu w Krakowie. Piwo, bania. Papierosy. Gadamy.

Oleh twierdzi, że wiedział, że wojna idzie, nie oszukiwał się, że jakoś to będzie. Ale też nie sądził, że pójdzie się bić za Ukrainę. Mówi, że gdy jego babcia płakała, że „wnusiu, co z tobą będzie, wojna idzie” to odpowiadał jej, że „babciu, spokojnie, przeczekał wojnę w twojej piwnicy, będę twoje konfitury wyjadał”.

Ale gdy tylko wojna wybuchła Oleh, niespodziewanie dla siebie samego, poszedł do punktu poborowego. A za nim – jego ojciec.

– Nie zawsze się ze mną zgadzał, czasem opierdolił – mówi Oleh. – Czy wiedział, że jestem gejem? Wiedział. Wszyscy wiedzieli, bo się nie ukrywałem. I jak przyszło co do czego i zdecydowałem się pójść do wojska, uznał, że mnie samego nie zostawi.

Oleh pokazuje swoje zdjęcie z ojcem z pierwszego dnia w wojsku. Stoją we dwóch, z kałasznikowami w dłoniach, w świeżych mundurach. Miny nietęgą, to początek wojny, diabli wiedzą co będzie. Rosjanie pod Kijowem, a oni – w Kijowie.

Bronili swojego miasta. Razem, ramię w ramię, syn i ojciec. Strzelali do Rosjan w Hostomelu.

Mama Oleha trafiła na terytoria, które wzięli pod okupację Rosjanie. Oleh odchodził ze zmysłów. Nie wiedział co się z nią dzieje, czy żyje. Nie było połączenia. Nie wiedział, co się dzieje z jego bratem, z babcią, z psami. A potem jeszcze z ojcem ich rozdzielono: każdego gdzie indziej posłano. Oleh wtedy po raz pierwszy w życiujechał pociągami. Do Charkowa i dalej, na front.

W ogóle na fotografiach z tego czasu, dwa i pół roku temu, a wydaje się, że wieki, Oleha trudno poznać. Ogoloła prawie na lyso głowa, żadnego zarostu. Ot, zwykły „pacan” z kijowskiego osiedla, którym zresztą przecież był. Zwykły chłopak z kijowskiej Darnicy, wielkiego osiedla na wschodnim brzegu Dniepru. Tylko, że gej, i to niespecjalnie ten fakt ukrywający. Wyglądający na jeszcze młodszego niż jest. A miał wtedy przecież raptem nieco ponad 21 lat.

Wojtek, to jest piekło

Oleha przyprowadził tu, do Pięknego Psa, Wojtek Doroszuk. Artysta, który pomaga ukraińskiemu wojsku. Od dawna już wspiera Oleha.

Przyjaźnią się, to na pewno. Ale widać, że jest między chłopakami coś więcej. Mimo, że przez czas, kiedy

Jak to się Oleh Ruskim nie dał w Warszawie

Czy ojciec wiedział, że jestem gejem? Wiedział.
I jak zdecydowałem się pójść do wojska,
poszedł za mną.



Oleh był na froncie, w okopach, gadać im się udawało tylko przez komunikatory. Spotkali się dopiero niedawno, tu, w Polsce.

Już kilka tygodni po wybuchu wojny Wojtek bowiem stworzył siatkę pomocową wspierającą ukraińskie wojsko. Po pewnym czasie chciał jednak już pomagać bezpośrednio żołnierzom, bo gdy pomoc przechodziła przez pośredników, sortownie itd. – jej część ginęła. I tak trafił na Oleha. Zaczęli do siebie pisać, dzwonić.

„Wojtek, tu jest po prostu strasznie” – pisał do niego Oleh niedługo po tym, jak we wrześniu 2023 roku przeniesiono go z Sum, na północno-wschodniej granicy Ukrainy z Rosją, na zaporoski odcinek frontu, gdzie toczą się nadal ciężkie walki.

„Mój kolega sam sobie oderznął nogę, jak ją poprzebiły odłamki. A innemu oderwało ucho i rozerwało szczękę. Wszędzie widzę ciała zabitych. Już w Bachmucie było spokojniej. Prawie sześć dni nie spałem. Cały czas gdzieś nas przeczucają. Dookoła horror. Nie daję rady... płakałem dziś”.

„Ja też” – odpisuje Wojtek. I pyta, czy coś może dla niego zrobić. Coś wysłać, cholera wie...

„Dobij mnie” – pisze Oleh. „Pewnie to kiepski dowcip” – dodaje. „Źle mi tu, trudno wytrzymać, ale myślę, że się zaadaptuję. Tracimy mnóstwo ludzi. Piszę to tylko tobie, nie piszę o tym mamie ani tacie. Im piszę, że wszystko u mnie okej. Nie chcę, żeby mnie takim widzieli, bo mi się wydaje, że oszaleję. To najgorsze chwile w życiu”.

Ale dawał radę. Musiał, bo miał pod sobą żołnierzy.

„Nie mogę zostawić tych, którzy są jeszcze żywi. Jestem potrzebny swoim przyjaciółom. Nie mogę pokazywać słabości swoim chłopakom. Płacę czasem, ale wtedy kiedy jestem sam” – pisał Wojtkowi. – „Tego miejsca nie opuszcza się ot tak. Wczoraj na moich oczach straciło właściwie rozum dwóch chłopaków.”

Ten pusty wzrok... nie rozumieli gdzie są. Dopiero w takim stanie ich ewakuowali. Wojtek, to jest piekło”.

Dwadzieścia cztery lata ma chłopak, a już jest oficerem. Podczas studiów przeszedł szkolenie wojskowe, dlatego od razu w wojsku wskoczył do kadry. Kilka miesięcy temu zakończył służbę w stopniu starszego porucznika.

Bania na cześć ukraińskiego oficera geja

– Parę dni mi zabrakło do kapitana, tak bardzo chciałem być kapitanem. Jak to brzmi: „Kapitan Oleh” – śmieje się i odpala czerwonego marlboro. Ktoś przynosi kolejne piwa. Kto inny chce pić banie na cześć ukraińskiego oficera, geja. No więc co: to Pies, więc idziemy do baru.

– Zdrowie Zbrojnych Sił Ukrainy! Zdrowie Oleha! – Wołamy.

– Zdrowie!

Oleh wygląda na zadowolonego. Ludzie go zagadują. Ktoś pyta, czy w ukraińskiej armii spotyka się z prześladowaniem za orientację seksualną.

– Ja nie miałem nigdy problemów – mówi. – No ale wiadomo, że się to zdarza.

– Pewnie w prawicowych batalionach najbardziej – mówię. – Prawy Sektor to jakoś przygasał, a Azow już nie jest, jak dawniej, czysto nacjonalistycznym batalionem, by nie powiedzieć gorzej, ale...

– No tak – śmieje się Oleh. – No ale gejów w Azowie oficjalnie nie ma.

– Jak w Iranie – mówię.

– No właśnie. A że są, to ja akurat wiem, bo tak się składa, że z kilkoma azowcami spałem.

Wśród komentarzy na instagramowym koncie organizacji, do której należy Oleh, czyli „Wojskowi LGBTQ+ Ukrainy” pojawiają się często przychylne, podkreślające dumę z faktu, że w ukraińskim wojsku jest miejsce dla wszystkich orientacji seksualnych, ale cudów nie ma.

Ukraina, mimo wizerunkowego zwrotu ku postępowym, europejskim wartościom to kraj w ogromnym stopniu konserwatywny, miejsce, gdzie patriotyzm przeradza się dość często w nacjonalizm, a dla konserwatywnych nacjonalistów miejsce gejów jest tam, gdzie w Iranie: nigdzie.

– Ostatni Marsz Równości w Kijowie trwał raptem chwilę – opowiada Oleh. – Kibole i nacki przegonili wszystkich do tuneli metra.

Jeśli pytasz czy łatwo być gejem w Ukrainie, to cóż – uśmiecha się – różowo nie jest.

No ale cóż, próbuje jednak znaleźć tam dla siebie miejsce.

– Chciałbym otworzyć schronisko dla zwierząt – opowiada mi, odpalając kolejnego papierosa. – Zawsze kochałem zwierzęta. A w takim schronisku można też urządzać terapię dla weteranów. Wiesz, na przykład dogoterapię. To naprawdę pozytywnie wpływa na człowieka. Napiszę projekt, może dostanę na niego jakieś pieniądze...

„Widziałem dziś sześć szczeniąt” – pisał do Wojtki we wrześniu zeszłego roku z frontu spod Zaporozża. „Z jakiegoś powodu się bardzo rozplakałem. Oddałem im swoją dzienną rację żywności. Myślę, że przeżyją”.

Popijamy, piwo, bania, „sława Ukrainie”, ktoś przybija kolejną piątkę z Olehem, Oleh pokazuje na telefonie zdjęcia. Z okopów, ze spalonych miast. Bachmut, Cza-siw Jar.

– Oleh – pytam. – Tak z ciekawości. Na zdjęciach widać, że masz kałacha. Dlaczego? Przecież tyle zachodniego uzbrojenia do was idzie. Wiem, że kałasznikowy to porządna broń, ale amerykańska czy inna też chyba nie są złe, nie?

– Stary, wiesz jak to realnie wygląda na polu bitwy? – Pyta Oleh. – Dostajesz dwa magazynki. Każdy po sześćdziesiąt nabojęw. A potem, jak już je wystrzelasz, to po prostu ściągasz amunicję z zabitych.

– Jak, kurwa, w grze komputerowej – mówię.

– Dokładnie. Jak w grze. Ściągasz z trupów. Z naszych, Rosjan, wszystko jedno. A tak się składa, że wszyscy oni, a przynajmniej większość ma kałasznikowy. Jeśli masz kałacha to jest większa szansa, że zostaniesz na wojnie przy życiu. Prosta sprawa.

I dalej lecą fotki. Na przykład z Waszyngtonu, bo dopiero co stamtąd wrócił. Został tam wysłany z oficjalną wizytą, był w Kongresie, w Białym Domu, w Departamencie Spraw Weteranów, bo wizyta dotyczyła głównie tematów reintegracji poobijanych przez wojnę weteranów z powrotem do życia cywilnego. Takich weteranów jak on.

Demony wojny

„Dużo myślę o powrocie do życia w cywilu” – pisał do Wojtki z frontu na Zaporozżu. „I boję się”.

„To normalne uczucie” – odpisywał mu Wojtek. „Ale dasz radę. Ważne, żebyś zajął się czymś, co pozwoli ci się skupić nie na przetrwaniu, walce czy strachu, ale na przykład na zwierzętach, którym chcesz pomagać. Na sobie, na życiu”.

„Staram się” – odpisywał mu Oleh. – „Ale mnie tak trudno wyobrazić sobie cywilne życie, kiedy wokół dzieją



• Oleh z ojcem pierwszego dnia w wojsku

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE OLEHA ŻABIŃCA



• Szewron „Bractwa Achillesa”: po prawej stronie jednorożec. Po lewej – czerwone płomienie układające się w kształt tryzuba

FOT. WOJCIECH DOROSZUK

się takie rzeczy, których nawet w filmach nie pokazują...”.

Oleh leciał przez Warszawę. A w Warszawie miał przygodę. Rano miał samolot do Waszyngtonu, a przyjechał dzień wcześniej. Miał tam znajomych, więc wybrali się do jednej z knajp nad Wisłą.

– No i wiesz, mówimy głośno po ukraińsku, a ja miałem koszulkę z narodowymi symbolami. Ogólnie jest bezpiecznie, ale dopieprzyło się do mnie dwóch Rosjan. To zawsze słyszać po akcencie, zresztą zaczęli mnie prowokować, czepiać się, dopierdalać się słowem.

Tylko, że nie wiedzieli, że trafili na weterana wojennego. Który w dodatku uprawiał też boks. Nie jest łatwo, to prawda, być wycomingoutowanym gejem na kijowskim wielkim osiedlu. Oleh znokautował jednego, potem drugiego.

Nie no, co za koleś! Weteran, gej, który rozpierdala czepiających się go Ruskich na lewo i prawo! No to co, znów do baru, i leci ta historia, i znów piątki, i znów zdrowie Oleha. I sława, sława!

Wojtek bierze mnie na stronę. – Zwolnijcie z tymi baniami – mówi. – Bo on teraz jest wyluzowany i wesoły. A tak naprawdę to bije się z demonami z tego frontu. Ma epizody depresyjne. Widzę, jak w ciągu dnia ma słabsze momenty. Jak traci nadzieję. Placze.

– Jasne – mówię.

Ale co się rozpędziło trudno już powstrzymać.

Piwa, banie. Inne rzeczy. Jest środa, a środa na Kazimierzu – wiadomo, prawie czwartek. A czwartek to prawie piątek. Przychodzą coraz to nowi ludzie. Wielu chce przybić piątkę z bohaterem. Ktoś usły-

szal już krążącą wokół baru historię o tym, jak to się Oleh Ruskim nie dał w Warszawie. Kto inny przeciska się z piątką do przybicia, tak po prostu, bo sława Ukrainie. Oleh się bawi. Wojtek ma mniej szczęśliwą minę. – To się może źle skończyć – mówi. – Wiesz, on naprawdę przeżył piekło... – Cholera – mówię. – Głupio mi, że go do baru zabrałem i opowiadałem ludziom tę historię o Warszawie... – Bez przesady – odpowiada Wojtek. – Tylko żeby za bardzo nie poleciał.

A z tym piekłem to nie przesada. W styczniu 2024 roku, gdy wyrwał się z piekła okopów, „rowów”, jak je nazywał, pisał Wojtkowi tak: „ostatni wyjazd [na front – przyp. ZS] mocno mnie sponiewierał. Straciłem ziomków podczas wykonywania ostatniego zadania. Kilka metrów ode mnie zginął mój przyjaciel.

A poza tym tak: mieliśmy rannych, i po nich poszła grupa ewakuacyjna, trzy osoby. Jak już doszli na miejsce, gdzie byli ranni, to zaczęli na nich spuszczać miny z dronów. Wszyscy z tej grupy ewakuacyjnej zostali ranni, więc poszła po nich druga grupa. Ale w oczekiwaniu na tę drugą grupę ewakuacyjną dwóch rannych umarło. Nie doczekali się.

A potem ci z tej drugiej grupy ewakuacyjnej też zostali ranni. To wszystko przez te drony, które zrzucają na nas ładunki wybuchowe. Ale po którymś razie, kiedy słyszałem dźwięk dronów, przestałem się już bać.

Myślałem, że jeśli kolejny granat czy mina spadnie na mnie, to po prostu będę już miał na zawsze święty spokój.

Na zawsze będę sobie spokojnie odpoczywał i nie zobaczę już nigdy tego bestialstwa wkolo”.

Wojtek robił co mógł, żeby mu pomóc. Wysłał mu na front potrzebne rzeczy. A poza tym jakieś drobiazgi, żeby umilić mu choć trochę to potworne życie.

Słodczyce, kolorowe skarpetki, takie sprawy.

„Robisz dla mnie więcej, niż kiedykolwiek ktokolwiek robił” – pisał Oleh.

Impreza się rozkręcała. Kolejne banie, kolejne piwa. Oleh był coraz weselszy. Wszyscy byliśmy coraz weselsi.

Oleh zaczął przytulać się z Wojtkiem. Byli zajęci sobą. Wyszedłem na chwilę do innej knajpy, spotkać się z kilkoma znajomymi. Gdy wróciłem, Oleh stał pod Pięknym Psem.

Schronisko dla zwierząt

Kręcone włosy, wąsiki, twarz księcia Poniatowskiego, ale zmarszczona, wściekła.

Wokół Oleha stało kilkoro przestraszonych ludzi. Przez plac Wolnica szybkim krokiem oddalało się od nas kilka przerażonych osób.

– Co się stało? – Zapytałem.

– To byli Azerowie. Nic im nie zrobiłem – powiedział Oleh. – Ale mnie denerwowali. Powtarzali kłamstwa rosyjskiej propagandy

– Oleh – powiedziałem – nie masz munduru na sobie. Nie jesteś na wojnie, stary.

– To nic, wszędzie będę bił wrogów Ukrainy – mówił Oleh. – Po tym wszystkim, co przeżyłem, inaczej to widzę niż ty. Rozumiesz?

Przytuliłem go. Powiedziałem, że naprawdę próbuję go zrozumieć. Tylko wiesz, Oleh, mówiłem. Tu jesteś wśród swoich. To oni, ci, którzy powtarzają rosyjską propagandę są tu w mniejszości. Nie zagrażają ani tobie, ani nam, ani Ukrainie.

– Tak, być może – odpowiedział. Popatrzyłem na Wojtkę. Pokiwał głową. „A nie mówiłem?”.

Potem Wojtek go przytulił. Wyglądało na to, że zadziało. Poszliśmy do domów w dobrych humorach. Wydawało się, że będzie okej. Wydawało się.

„Z Olehem nie jest dobrze” – pisał mi Wojtek. – „Po tej imprezie mieliśmy jeszcze kilka zajębistych godzin, za to dzień później było gorzej. Miał stany depresyjne. Był oswiały”.

Musiał zresztą szybciej wracać na Ukrainę. A tam – koszmar. Z ojcem przenieśli się do małej klitki, bo musieli wynająć komuś swoje mieszkanie, żeby mieć za co żyć. Oleh ma stany depresyjne, lęki. Jest dość znaną postacią, więc dopierdalają się do niego jacyś pravicowcy.

Mówią, że żołnierze LGBT to żadni żołnierze, że to tylko wstyd dla Ukrainy. Szukają na niego jakichś kompromitujących materiałów, dobrze, że Oleh ma to akurat gdzieś, ale to zawsze zostawia jakiś ślad w psychice. „To jest normalne polowanie na niego, szczucie” – pisał mi zmartwiony Wojtek.

Próbuje sprawić, żeby Oleh odpoczął trochę od Ukrainy. Oleh też myśli o wyjeździe. Jest weteranem, kompletuje papiery. Ale nie chce uciekać. Chce razem z Wojtkiem jechać do Donbasu, zawieźć auto dla armii.

I kto wie, może i uda się nawet ogarnąć temat schroniska dla zwierząt, w którym będzie się odbywała terapia weteranów z PTSD. ●

Dookoła horror.

Nie daję rady... Plakałem dziś

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Rosja antyputinowska

WYŚLIJMY
AUTOBUS
PO DOBRYCH
ROSJANNaprawdę tak ich mało?
A Nawalny, Kara-Murza, Akunin?

Grzegorz Przebinda*

Premier Tusk na Twitterze (dziś X) wyraził oburzenie – skądinąd niepozbawione podstaw – że gdy spadają na ziemię lwowską rosyjskie bomby, jedna 15 km od naszej granicy, niedawny premier Morawiecki w tym czasie „ustala w Budapeszcie wspólną antyeuropejską strategię z putinowskimi politykami skrajnej prawicy”.

„Głupota? Zdrada? Czy jedno i drugie?” Tak pytał retorycznie Tusk. Opinia odbiła się szerokim echem zarówno wśród jego zwolenników, jak i wrogów, jednak nikt chyba nie odnotował, że obecny premier RP wykorzystał tu zrećnie skrzydlatą już dziś frazę Pawła Milukowa.

Był to bardzo ceniony rosyjski historyk liberalny, a w polityce – konstytucyjny demokratą przedrewolucyjnej Rosji, który 1 listopada 1916 r., podczas posiedzenia V i ostatniej Dumy Państwowej, określił takimi słowy działania rządu carskiego podczas I wojny, w tym przemożny wpływ na cara Grigorija Rasputina.

Na takie dictum Tuska odezwał się młody Piotr Müller – w czasach słusznie minionych rzecznik rządu PiS-u – który na tym samym Twitterze ułożył sentencję chowu jawnie partyjnego: „W przeciwieństwie do Sikorskiego i Tuska nie wierzymy, że Rosja może się zmienić”.

W wypowiedzi Müllera została zawarta aluzja do wyrażonej w Sejmie, w kwietniu, konstatacji ministra spraw zagranicznych RP – właśnie Radosława Sikorskiego: „Polska jest gotowa współpracować z Rosją nieimperialną, szanującą prawa innych narodów do samostanowienia, uznającą, że jej sąsiedzi też mają interesy bezpieczeństwa. Rosją, którą uosabia zamordowany Aleksiej Nawalny i inni więźniowie sumienia: Ilja Jaszyn, Władimir Kara-Murza, Jewgienij Rojzman”.

Deklaracja – a to dopiero pierwsza podobna z ust polskiego polityka po 24 lutego 2022 r. – jest tym bardziej cenna, że ogłoszona została w exposé, którego centrum stanowiła obietnica ze strony Polski, że nadal będzie wspierać walczącą Ukrainę i popierać jej dążenia do godnego zaistnienia w świecie demokratycznym.

Bartosz T. Wieliński, omawiając to exposé w „Wyborczej”, słowa Sikorskiego o „innej Rosji” postanowił czemuś pominąć, wypuklił za to sformułowane po ukraińsku przez Sikorskiego zdanie o Lwowie:

„Lwów ce Ukrainia”, odnotowane zresztą przez naszych najbliższych sąsiadów.

Wieliński więc słusznie zauważył: „Do historii przejdą wygłoszone po ukraińsku słowa Radosława Sikorskiego, że »Lwów to Ukraina«, oraz zapewnienia, że Polska nie ma żadnych zastrzeżeń co do przebiegu swojej wschodniej granicy. Rosyjska propaganda od lat insynuuje, że Warszawa będzie chciała dokonać rozbioru Ukrainy i odzyskać dawne kresy wschodnie. W trzecim roku wojny dopiero Sikorski, który MSZ kieruje niespełna pół roku, wreszcie zdemontował to kłamstwo”.

Jednak poza tym – co nader istotne – Sikorski zwrócił także uwagę na sojuszniczą wobec nas heroiczną grupę Rosjan nastawionych antyputinowsko i antywojennie. Uważam, że kryje się w tym wymiar nie tylko etyczny, ale i bardzo pragmatyczny.

Korzenie tej racjonalnej postawy wobec najbliższego Wschodu tkwią jeszcze w latach 50., w planach politycznych paryskiej „Kultury” z Jerzym Giedroyciem na czele. To właśnie wtedy emigracyjny miesięcznik – przy głośnych protestach lwiej części polskich środowisk na wygnaniu – ogłosił palącą potrzebę pogodzenia się Polaków w kraju i na emigracji z ostateczną utratą Lwowa i Wilna oraz w ogóle rezygnacji z terytorialnych roszczeń Polski wobec przyszej Ukrainy, Litwy i Białorusi.

Można wydobyć z archiwów programowy tekst Józefa Łobodowskiego „Przeciw upiorom przeszłości” („Kultura” nr 2/3/1952) oraz słynny „List do redakcji” ks. Józefa Z. Majewskiego, przysłany z dalekiego St. John Vianney’s Seminary w Pretorii w Afryce Południowej („Kultura” nr 11/1952). Czytamy tam:

„Jakkolwiek faktem jest, że większość mieszkańców Lwowa i Wilna uważała się za Polaków przed rokiem 1939, to jednak grubo myli się ten, kto utrzymuje, iż miasta te muszą być kiedyś Polsce zwrócone.

Litwini nigdy nie zapomną o Wilnie i dopóty nie będzie zgody między nami, dopóki nie oddamy im tego Wilna. Z drugiej zaś strony Ukraińcy nie podarują nam Lwowa. Gdy dojdzie do trzeciej wojny

Boris Akunin chciał wesprzeć finansowo Ukrainę. Ukraińska ambasada w Holandii: „Nie przyjmujemy pieniędzy od pisarza rosyjskiego”

światowej i do ewentualnej klęski Rosji Sowieckiej, nasze apetyty na Lwów i Wilno powinny być już zupełnie wygasnąć. Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sino-żółty sztandar.

My zaś zwróćmy oczy na Wrocław, Gdańsk i Szczecin i budujmy Polskę na jej własnej glebie. Wtedy na pewno sąsiedzi nasi ze wschodu i północy obdarzą nas zaufaniem. Przy współpracy Ukrainy i Litwy, Federacja Europy środkowo-wschodniej stanie się faktem dokonany.”

Wszelako Giedroyc niezmiennie podkreślał – a miałem okazję słyszeć to odeń także osobiście jeszcze w lutym 1987 r. w Maisons-Laffitte – że jego celem jest również skuteczna współpraca z rosyjską, antykomunistyczną opozycją na emigracji i w miarę możliwości w kraju. Zawsze bowiem wspierał, na ile się tylko dało, dysydenckie środowiska w ZSRR, broniąc tamtejszych więźniów politycznych.

Czynił to nieprzerwanie zarówno podczas inwazji ZSRR na Węgry w październiku i listopadzie 1956 r., w czasie najazdu na Czechosłowację w sierpniu 1968 i podczas napaści na Afganistan od grudnia roku 1979.

Ograniczone z konieczności popieranie opozycji w ZSRR przez Giedroycia miało konkretny wymiar pragmatyczny. Wynikała stąd jego (mniej lub bardziej owocna) współpraca w Paryżu z „Kontynentem” Władimira Maksimowa, z Natalią Gorbaniewską, Michaiłem Hellerem, z niesłusznie dziś zapomnianymi Wiktorem Niekrasowem, Andriejem Sacharowem, Andriejem Siniawskim i Julijem Danielem w ZSRR, czy też – już w ograniczonym stopniu – z najbardziej kapryśnym Aleksandrem Sołżenicynem.

Znamienne, że tymi tropami Giedroycia poszedł teraz – rzecz jasna nieświadomie – Parlament Europejski, który wezwał oto państwa członkowskie Unii i w ogóle całą społeczność międzynarodową do nieuznawania ostatnich wyborów prezydenckich w Rosji. Były one bowiem tylko niebywałą farsą, wynikała z niedopuszczenia do startu innych niż Putin poważnych kandydatów i z przeprowadzania głosowania na okupowanych kosztach Ukrainy ziemiach. Tenże europarlament wezwał zarazem państwa członkowskie UE do ograniczenia kontaktów z Putinem wyłącznie do minimum, niezbędnego dla sprawy pokoju w regionie, oraz do celów humanitarnych, takich jak wymiana jeńców czy powrót do ojczyzny dzieci deportowanych z Ukrainy.

Posłowie zaapelowali także ogromną większością głosów, aby państwa Unii nakładały niezwłocznie sankcje na sprawców naruszeń praw człowieka w Federacji Rosyjskiej i aby aktywnie wspierały niezależne media rosyjskie oraz opozycję demokratyczną przeciwko Putinowi.





**Radosław Sikorski
w Sejmie:
Polska jest gotowa
współpracować z Rosją
szanującą prawa innych
narodów.
Rosją, którą uosabia
Nawalny**

**Piotr Müller;
rzecznik rządu PiS:
„W przeciwieństwie
do Sikorskiego i Tuska
nie wierzymy, że Rosja może
się zmienić”**

Zaądzano z Brukseli uwolnienia więźniów politycznych w Rosji, takich konkretnie jak: weteran w dziele obrony praw człowieka jeszcze w ZSRR Oleg Orłow (ur. 1953, skazany niedawno na 2,5 roku kolonii); były deputowany regionalny Aleksiej Gorinow (ur. 1961, od czerwca 2022 r. odbywa 7-letni wyrok); opozycyjny polityk Ilja Jaszyn (ur. 1983, od lipca 2022 odbywa wyrok 8,5 roku); last but not least, dwie były współpracownice sztabów Nawalnego: Ksenia Fadiejewa (ur. 1992, z wyrokiem 9 lat od grudnia 2023) i Lilija Czanyszewa (ur. 1992, w kwietniu 2024 skazana na 9,5 roku).

W sprawie odsiadującego drakoński 25-letni wyrok Władimira Kara-Murzy, młodszego (ur. 1981), oraz zamęzonego w łagrze w lutym Aleksieja Nawalnego Parlament Europejski wypowiadał się już parokrotnie wcześniej.

Przypomnę, że historyk i polityk Kara-Murza jest także autorem filmu „Oni wybierali wolność” (2013), poświęconego dziejom ruchu dysydenckiego w ZSRR od jego założenia w latach 50. aż do upadku ZSRR w roku 1991. Szczególne miejsce zajęły w tym dziele żyjący jeszcze wówczas dzielni ludzie – Natalia Gorbaniewska, Paweł Litwinow, Wiktor Fajnberg, Władimir Driemluga – którzy 25 sierpnia 1968 r. wyszli jawnie na plac Czerwony w proteście przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Wypowiadają się też w filmie Jelena Bonner, Natan Szczaranski, Siergiej Kowalow, Władimir Bukowski, Jurij Orłow, Aleksander Podrabinek, Aleksander Jesienin-Wolpin, Eduard Kuzniecowa, Naum Korżawin, a więc w zasadzie cała jeszcze żyjąca elita obrońców praw człowieka w ZSRR za Breżniewa i Andropowa.

Co zaś do Kara-Murzy, to wyrok 25 lat kolonii o surowym reżimie dostał za trwającą 17 minut prelekcję w Arizonie, wygłoszoną nazajutrz po wybuchu obecnej wojny. Mówił tam m.in., że prawdziwą istotę Putina, wówczas jeszcze tylko premiera, pojął on już 20 grudnia 1999 r., gdy ten poszedł w Dniu Czekisty uroczyste odsłaniać na gmachu KGB na Łubiance tablicę pamiątkową Jurija Andropowa, który wcielał w życie najgorsze praktyki polityczne. Był jednym z organizatorów inwazji na Węgry w 1956 r., przez dziesięciolecie prześladował dysydentów, m.in. jako inicjator psychiatrii represyjnej, której efektem było uznawanie dysydentów za chorych umysłowo i umieszczanie ich w specjalnych szpitalach psychiatrycznych, a praktycznie – więzieniach.

(Więziona tak przez dwa lata Natasza Gorbaniewska, z diagnozą „pełzająca schizofrenia”, wie-

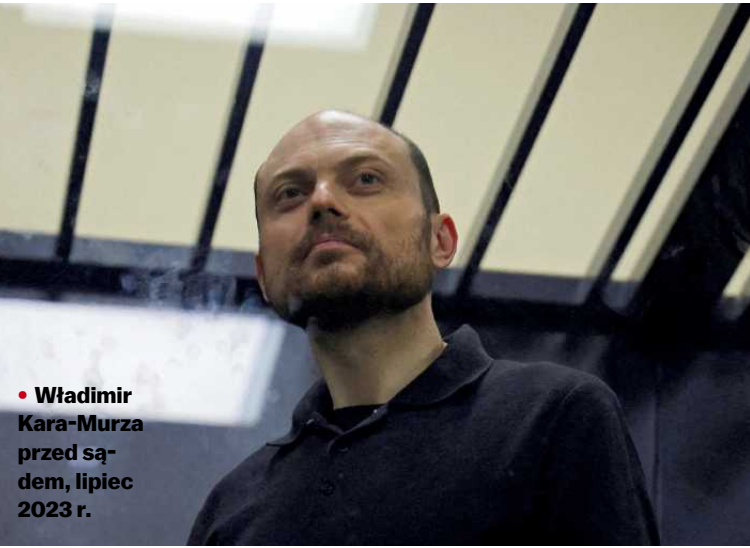
▲ Julia Nawalna, wdowa po Aleksieju, obok jego portretu podczas nabożeństwa w rocznicę jego urodzin. Berlin, 4 czerwca 2024 r.

lokrotnie mnie napominała i w Paryżu, i Krakowie, bym nigdy nie używał terminu „psichuszka”, bo takie „deminutivum” osłabia jedynie pamięć o represjonowanych – tylko i wyłącznie „więzienie psychiatryczne”!).

Po tym wystąpieniu Kara-Murza wrócił, już po Nawalnym, do Moskwy, a tam został niebawem aresztowany. Więziony jest w kolonii karnej w Omsku, zachodniosyberyjskim mieście, gdzie odbywał wyrok Fiodor Dostojewski i Aleksander Solżenicyn w 1950 r. po drodze do łagru w Ekibastuzie w Kazachstanie. Krótco co prawda, ale apokaliptycznie opisał to potem w trzecim tomie „Archipelagu Gulag”:



• Oleg Orłow przed sądem, luty 2024 r.



• Władimir Kara-Murza przed sądem, lipiec 2023 r.

„W tym nastroju pewnej upalnej nocy w Omsku, kiedy nas – jak kawały duszonego we własnym pocie mięsa – wpychano i wgniatano do więziennej karetki, zaczęliśmy wrzeszczeć z jej wnętrza: »Poczekajcie, gady! Znajdzie się na was Truman! Spadnie wam na łby atomówka!«.

Strażnicy milczeli tchórzliwie. Czuli dobrze, jak nasz nacisk rośnie, a my czuliśmy – jak rośnie w nas poczucie, że to my idziemy prawą drogą. I głód sprawiedliwości tak nas już zadreczył, że wcale nie byłoby nam szkoda życia, gdyby ta sama bomba spalić miała i nas, i naszych katów. Doszliśmy do kresu, do takiego stanu ducha, kiedy człowiek nie ma już nic do stracenia. Gdybym tego nie wyjawiał, nie znalibyście całej prawdy o Archipelagu lat 50.” (przeł. Jerzy Pomianowski).

Gdy zaś chodzi o więzionego obecnie 71-letniego Olega Orłowa, to władze zaproponowały mu już w moskiewskim areszcie śledczym „Wodnik” podpisanie zgody na uczestnictwo w „specjalnej operacji wojskowej” przeciw Ukrainie. Takiego naigrzania się z człowieka nie znała chyba jeszcze historia naszego wieku.

Michał Olszewski, omawiając niedawno z osobistym zaangażowaniem na łamach „Wyborczej” moją książkę „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją”, wyznał już na samym początku „Zazdroszczę [autorowi] wiary w inną, lepszą Rosję i przekonania, że taka Rosja w końcu się pojawi”.

Pod tekstem jeden z odważnych, acz anonimowych komentatorów oznajmił ku ucieście innych, że „owszem, taka rosja [z małej litery] jest możliwa – kiedy skurczy się do rozmiarów Albanii”, a drugi uściślił: „Wyślijmy autobus po dobrych Rosjan”. Wszystkich przebił jednak anonim trzeci: „Rosjanom widocznie dobrze i przytulnie w tej ciepłutkiej stercie obornika, w której żyją od stulecia. Na razie żaden – dosłownie żaden – nawet nie spróbował przekonać, że nie po drodze mu z aneksją Krymu. Nawet Nawalnemu się to podobało”.

Jak to więc w istocie z tym Nawalnym było, skoro jednak Sikorski uznał go w Sejmie za „innego Rosjanina”? Rzeczywiście Nawalny jeszcze w październiku 2014 r. wyraził w Radiu Echo Moskwy nazbyt doprawdy lekkomyślną opinię o Krymie, co wywołało mocny negatywny rezonans. Na pytanie, czy jeśli zostanie prezydentem, to zwróci Krym Ukrainie, odrzekł: „A czy Krym to kanapka z kielbasą, żeby ją tu czy tam zwracać?”.

Znamienne jednak, że nikt z obecnych krytyków tego arcydzielnego herolda opozycji w Rosji – czy to Polaków, czy Ukraińców – nie dostrzega albo dostrzec nie chce, iż tenże Nawalny ogłosił w łagrze rok przed śmiercią:

„A jakie będą granice Ukrainy? Takie jak i Rosji – czyli te, uznawane międzynarodowo, jakie określono w 1991 r. My, to jest Rosja, też je wtedy uznaliśmy. Tamte granice Rosja winna znać także i teraz. Tu nie ma o czym dyskutować. Prawie wszystkie granice w świecie są przypadkowe i wywołują czyjeś niezadowolone. Ale walczyć o ich zmianę w XXI wieku nie wolno. W innym razie świat pogryże się w chaosie”.

Z wymienionej przez Sikorskiego czwórki przedstawicieli Rosji „nieimperialnej, szanującej prawa innych narodów do samostanowienia”, Nawalny został już zamęczony przez Putina w łagrze za północnym kręgiem polarnym, a dwójka – Jaszyn i Kara-Murza – nadal odsiaduje drakońskie wyroki w innych obozach. Dobrze, że europarlament upomniał się właśnie o nich, apelując jednocześnie o wspieranie przez Zachód demokratycznej i antywojennej rosyjskiej opozycji.

W kraju Putina jej przedstawicieli jest wcale mało, jednak reżim karze teraz oponentów wyrokami liczonymi już nawet w dziesiątkach lat. Wszelako gra o najwyższą stawkę, nie tylko gdy chodzi o Rosję, toczy się dziś także na emigracji w Londynie, Berlinie, Nowym Jorku, Wilnie, tak jak w latach 70. i 80. jej areną był głównie Paryż. I bardzo często



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

toczyła się wtedy ta szlachetna walka w przymierzu polsko-rosyjskim, także i w obronie Ukrainy.

Naprawdę warto dziś przypomnieć, że jeszcze w 1977 r. ukazała się jednocześnie na łamach polskiej „Kultury” (nr 5) i rosyjskiego „Kontynentu” (nr 12) „Deklaracja w sprawie ukraińskiej” z takim wciąż poruszającym fragmentem:

„Wysunęliśmy w naszej deklaracji na czoło Ukraińców jako największy w ramach ZSSR naród podbity; i jako naród najuparciej – obok Litwinów – dążący do wywalczenia sobie niezależnego bytu państwowego. W każdym razie dążymy do stworzenia takiej sytuacji, w której Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się swobodnie, czy chcą niezależnego bytu państwowego.

W ciągu dziesięciu niespełna lat odwilży za panowania Chruszczowa podnieśli na Ukrainie głowy potomkowie »rozstrzelanego odrodzenia«, usiłując odbudować częściowo choćby to, co zostało zniszczone za czasów Stalina. Potem przyszły, i trwają po dziś dzień, pogromy Breżniewa. Nic jednak nie wskazuje, by Ukraina skapitulowała. Przeciwnie, patrioci ukraińscy najęśniej zaludniają więzienia i łagry, opór na Ukrainie stał się synonimem oporu narodowego w imperium.

Ogłaszając zatem niniejszą deklarację, stawiamy w niej przed opinią publiczną trzy sprawy. Po pierwsze, samą sprawę ukraińską. Po drugie, sprawę wszystkich innych narodowych mniejszości w ZSSR, które aspirują do samostanowienia, do zagwarantowanego na papierze przez konstytucję sowiecką prawa »wychoda« [wyjścia]. I po trzecie wreszcie, sprawę narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie, im prędzej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo ona tylko może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi.

Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSSR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy”.

Ze strony polskiej deklarację podpisali – Józef Czapski, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Józef Łobodowski, Dominik Morawski, Aleksander Smolar, Zbigniew Byrski, a ze strony rosyjskiej – Andriej Amalrik, Władimir Bukowski, Natalia Gorbaniowska, Władimir Maksimow, Wiktor Niekra-sow, Aleksander Galicz. Prawdziwa Rodzinna Europa, bo dołączyli do nich jeszcze Węgier Tibor Meray i Czech Pavel Tigrid.

Widzę głęboki sens w wyciąganiu z głębokich archiwów takich fundamentalnych dokumentów, tym bardziej, jeśli je będziemy odnosić do proukraińskiej działalności niemalej rzeszy obecnych rosyjskich (w sensie politycznym, nie etnicznym) przeciwników Putina na emigracji.

Szczególnego wyekspozowania wymaga trójka z nich – Michail Chodorkowski, Boris Akunin i Gari Kasparow. Ten ostatni daje dramatyczne sygnały wszystkim Rosjanom na emigracji, ale także całemu demokratycznemu światu, aby dążyć solidarnie do militarnej klęski Putina, zwieńczonej wywieszeniem ukraińskiej flagi nad Sewastopolem na Krymie. Do tego jednak potrzebne będzie wcześniejsze wykreowanie na Zachodzie „rosyjskiego Tajwanu”, do którego Kasparow proponuje przeciągnąć z kraju – za odpowiednio wysoką gażę – nie tak znowu licznych informatyków, inżynierów i ekonomistów, pracujących dotąd na Putina.

Chodorkowski z kolei, który stworzył na YouTube prawdziwe imperium medialne „Chodorkowskij Life”, ogłosił jeszcze w lutym 2023 r., wspólnie z Kasparowem, program polityczny z takim punktem: „Klęska militarna Putina wspomaga transformację polityczną w Rosji, umożliwiając ludziom, którzy szukają lepszej przyszłości dla kraju, demontaż starego reżimu i wykreowanie nowej rzeczywistości politycznej.

Plan takiej transformacji ma być oparty na zasadach rządów prawa, federalizmie, parlamentaryzmie, wyraźnym trójpodziale władz oraz postawieniu praw i wolności człowieka ponad abstrakcyjnymi interesami państwa.

Rosja winna się stać republiką parlamentarną i państwem federalnym z ograniczonymi uprawnieniami centrum, które będą niezbędne tylko do prowadzenia skutecznej polityki zagranicznej i obronnej oraz do ochrony praw obywateli”.

Osobny przypadek, zasługujący na szczególną uwagę, to niesłychanie popularny w Rosji i na Zachodzie wybitny beletrysta i jednocześnie pisarz historyczny Boris Akunin, który od 2014 r. mieszka i tworzy w Londynie. I oto w grudniu 2023 r. wszystkie jego książki

FOT. PAP/ART SERVICE 2



***Marta Klubowicz** – aktorka, tłumaczka literatury niemieckojęzycznej, poetka

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Marta Klubowicz*

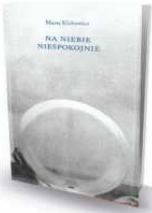
Okna

Marzenie Siwiec

Okna zabite
ludzie zabici
dom
jedyne z dzielnicy żydowskiej pozostał
oczodoły wypatrują Mesjasza
wtedy zawisną w nich firanki zakwitną pelargonie
otworzą się na deszczowy ciepły wieczór
na wiatr cichy że nawet liście milczą
na księżyc co w pełni akurat przed oknem przystanął

Rozpocznie się nowa epoka zakończy chrześcijaństwo
bo wypełni się przepowiednia
jedyne dom pozostał po getcie czeka
ślepiec na uzdrowiciela
co dotknięciem palców leczył
na sąd co ostatecznie
nikogo nie osądzi

Wiersz z jej tomu „Na niebie niespokojnie”,
Wyd. Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2023



zostały w Rosji zakazane, on sam zaś uznany za „terrorystę” i w lutym tego roku zaocznie aresztowany.

Sprawa jest godna omówienia w szerszej perspektywie. Oto bowiem w połowie grudnia 2023 r. zadzwonili do pisarza działający wyraźnie na zlecenie kliki Putina dwaj sławetni prankerzy Vovan i Lexus, ci sami, co wystrychnęli na dudka prezydenta RP, podając się w rozmowie telefonicznej za Macrona. W wideospotkaniu z Akuninem podszyli się pod ukraińskiego eksministra kultury i polityki Tkaczuk oraz prezydenta Zelenskigo.

Rozmowa toczyła się po rosyjsku i warto prześledzić te jej fragmenty, które wyraźnie wskazują – wbrew intencjom żartownisiów – czego dziś Putin boi się jak diabeł wody święconej.

W 15-minutowej rozmowie z „Tkaczuką” Akunin zadeklarował, że jest gotów Ukrainie pomóc, trzeba tylko znaleźć dla tego skuteczne metody, odpowiadające jego profesji, czyli temu, co robić potrafi. Nadmieniał, że wszyscy twórcy kultury rosyjskiej, którzy występują dziś na Zachodzie przeciw dyktaturze Putina, też to wspólne dobre dzieło poprą.

Wspominał zarazem, że latem 2023 r. miał literackie wystąpienia w Belgii i Niderlandach, na które obowiązywały bardzo drogie bilety. I chciał całą sumę z dochodów przekazać od razu Ukrainie. Organizatorzy odszukanali w charakterze pośrednika pewną fundację holenderską, która jednak – jak opowiada Akunin – otrzymała od ukraińskiej ambasady w Holandii zdecydowaną odmowę: „Nie przyjmujemy pieniędzy od pisarza rosyjskiego”.

Uściśliłmy zatem, że Boris Akunin (właśc. Grigorij Czchartiszwili) po ojcu jest Gruzinem, po matce zaś – Żydem, a cieszy się obecnie obywatelstwem brytyjskim. Tak że właściwie jedyną jego „winą” jest pisanie i mówienie głównie po rosyjsku.

W rozmowie z „Tkaczuką” konstatuje – jak sam podkreśla, bez większych pretensji – że Ukraina traktuje wojnę jako walkę na śmierć i życie pomiędzy dwoma narodami: ukraińskim i rosyjskim oraz w imię dewizy, że „dobry Rosjanin – to martwy Rosjanin”.

Lecz skoro rosyjski pranker oznajmia, że wraz z „prezydentem Zelenskim” postanowili teraz jednak poszukać wsparcia od „dobrych Rosjan”, to wyraźnie ożywiony Akunin oznajmia, że będzie to game changer. Bo etniczna niechęć, a nawet i nienawiść Ukraińców i Zachodu do Rosjan – jak mówi – są wyraźnie na rękę Putinowi, umacniającemu swoją popularność wśród prostych ludzi za walkę z „rusofobią”.

Jednak jako pisarz nadal tworzący głównie dla Rosjan Akunin czyni istotne zastrzeżenie: „Będę szczery, bo ważne jest to, na co owe środki są prze-

kazywane. Jeśli bowiem pieniądze zbierane będą na pomoc ukraińskiej armii, to tutaj mamy problem. Prócz argumentów natury emocjonalnej, istnieją także te racjonalne. Skoro bowiem piszę dla Rosjan, to jak mam wpłacać pieniądze na ich zabijanie?”.

Można się zżymać na to w owym niezmiennie świętym oburzeniu, wszelako taki właśnie podział ról w walce z Putinem jest absolutnie zasadny. Nieprzypadkowo Putin et consortes szykują Akuninowi, właśnie za ów wywiad, proces karny, a w perspektywie ciężki wyrok – na szczęście tylko zaocznie.

Dla mnie jednak Akunin pozostaje przede wszystkim autorem ciągle tworzonej wielotomowej „Historii państwa rosyjskiego”. Jej tom dziesiąty – „Zburzenie i wskrzeszenie Imperium”, obejmujący leninowsko-stalinowski okres od marca 1917 do marca 1953 r. – został niedawno rozsypany w wydawnictwie w Moskwie, już po ostatecznym złamaniu. Jednakże w maju ukazuje się po rosyjsku na Zachodzie i gołym okiem widać, że zarówno pakt Ribbentrop-Mołotow, jak i zbrodnia katyńska zostały tu ukazane w całej ich potworności.

W Rosji zaś putinowskiej – tej, która Akunina teraz tropi mściwie i pragnie uwięzić – obie te najcięższe zbrodnie połowy XX wieku są ponownie zafałszowywane, tak jak i obraz obecnej barbarzyńskiej wojny przeciwko Ukrainie. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. Dwa lata temu wydał „From Chaadayev to Solovyov. Russian Modern Thinkers Between East and West”, seria „Eastern European Culture, Politics and Societies”, wyd. Irena Grudzińska-Gross, vol. 20, Peter Lang 2022. W 2023 r. ukazał się w Znaku jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie – „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją”. Tytuł tekstu – „Wyborcza”

Po zamachu na Trumpa

PRZEMOC, HISTERIA I ZDRADA, CZYLI WSZYSTKO W NORMIE

Czy w kraju, którego jeden ojciec założyciel zastrzelił drugiego w pojedynku, można w ogóle mówić o eskalacji przemocy politycznej?

FOT. REUTERS/CALLAGHAN O'HARE

Mateusz Mazzini

Lczysto politycznego punktu widzenia zamach na Donalda Trumpa był dla wszystkich na amerykańskiej scenie partyjnej wydarzeniem doskonałym.

Nie chodzi tu o radość z faktu, że 20-letni samotnik wziął z domu broń i próbował zabić nią kandydata Republikanów na prezydenta. O aż taki cynizm nie wypada podejrzewać nawet najbardziej radykalnych zwolenników jednego czy drugiego obozu. Ważniejsze jest to, jak atak z Butler wpisuje się w bieżącą narrację Republikanów i Demokratów – oraz jak dużo kapitału politycznego można na nim zbić. Pod tym względem Trump ranny w ucho, będący kilka centymetrów od śmierci, z krwią spływającą mu po policzku, jest gigantyczną żyłą złota.

Na próby uzbrojenia tego tragicznego wydarzenia nie trzeba było czekać nawet jednego pełnego dnia. Z lewej strony oraz z kurczącego się centrum płynęły komentarze mniej lub bardziej wprost mówiące, że Trump sam się o to prosił. David Remnick, naczelny „New Yorkera”, pełniący rolę jednego z głównych sumień establishmentu Demokratów, pisał o „rozpalonym narodzie”, retorycznie zastanawiając się, kto „uleczy społeczność stojącą w obliczu tak wielu gróźb, podziałów i aktów przemocy”.

Chwilę później sam sobie odpowiedział: na pewno nie będzie to Trump. Kandydat Republika-

nów „zrobił bardzo niewiele, by zjednoczyć i uspokoić kraj, któremu kiedyś przewodził i któremu chce przewodzić ponownie”. Wyliczał przy tym Remnick wszystkie przypadki, w których były prezydent publicznie albo przemocą nie umiał potępić, albo wręcz ją celebrował. Ataki neonazistów w Charlottesville, które relatywizował, mówiąc o „przemocy po obu stronach”. Agresywna retoryka wobec kobiet, migrantów, mniejszości seksualnych. Incydent z udziałem Alego Velshiego, dziennikarza stacji MSNBC, postrzelonego gumowym pociskiem na demonstracji przeciwko nadużyciom ze strony policji – Trump powiedział wtedy, że kulejący Velshi był dla niego „piknym widokiem”.

Gdzie się po amerykańskim liberalnym komentarzu nie rozejrzeć, interpretacja zamachu na Trumpa była taka sama. Adam Serwer w „Atlanticu” tłumaczył, że „demokracja nie jest w stanie długo funkcjonować w klimacie powszechnej politycznej przemocy”. Jego redakcyjny kolega David Frum, jeden z bardziej zagorzałych krytyków obecnej Partii Republikańskiej, opisywał byłego prezydenta jako człowieka, któremu agresja sprawia przyjemność, który w niej rozkwita i który bez niej nie umie funkcjonować.

Nic więcej dziwnego, sugerowali publicyści, że ta choroba trapiąca całe amerykańskie społeczeństwo wreszcie dopadła i tego, który z wielkim uśmiechem na ustach roznosił ją po wszystkich zakątkach kraju.

Równie przewidywalna była reakcja Republikanów, którzy mó-

wili mniej więcej to samo, co Demokraci, tylko zamieniając role. Najlepiej ich pozycję podsumował J.D. Vance, od poniedziałku nominat Trumpa i całej partii na wiceprezydenta. Człowiek, któremu należałoby poświęcić osobny tekst, a może nawet i cały numer tej gazety. Nikt bowiem w amerykańskiej polityce nie zaliczył tylu intelektualnych piwotów w ostatnich latach, nikt też nie zmienił tak radykalnie sposobu, w jaki jest odbierany przez elektoraty obu partii.

Swego czasu uznawany za przypadkowego diagnostę rozkładu amerykańskiego społeczeństwa i ucieleśnienie możliwości awansu społecznego w jednym, jeszcze kilka lat temu sam uznawał Trumpa jako kolejny wielki problem Ameryki. Również osiem lat temu na łamach „Atlantica” opublikował esej o tytule, którego tłumaczyć nie trzeba nikomu, zwłaszcza w Polsce.

„Opioid dla mas” był tekstem przedstawiającym kandydata Republikanów na prezydenta jako tani, niewymagający zaangażowania zniczulacz, dzięki któ-

remu można bez większego wysiłku zapomnieć o problemach brutalnej codzienności. On, chłopak z biedniejszego miasteczka w Ohio, przeoranego przez wszystkie choroby schyłkowej globalizacji – narkotyki, bezrobocie, upadek tradycyjnego przemysłu – zdawał się wtedy doskonale wiedzieć, o czym mówi. Dlatego kiedy pisał, że Trump problemów Ameryki nie rozwiąże, tylko wpędzi swoich wyborców w narkotyczną śpiączkę, wszyscy mu wierzyli. Głównie dlatego, że po prostu wierzyć chcieli.

Dzisiaj J.D. Vance jest nie tyle apologetą, co wręcz pretorianinem Trumpa i całego ruchu M.A.G.A. Zaraz po zamachu na swojego prawdopodobnego szefa całą winę zrzucił, a jakże, na Demokratów. „Strategia kampanii Joego Bidena opiera się na przekonaniu Amerykanów, że Donald Trump to autorytarny faszysta, którego trzeba zatrzymać wszelkimi dostępnymi środkami”. Taka retoryka, ciągnął, prędzej czy później musiała doprowadzić do tragedii z udziałem republikańskiego lidera.

To nie jedyny aspekt interpretacyjny sobotnich wydarzeń, w którym Republikanie i Demokraci są zgodni. Po obu stronach sporu pojawiają się wybuchy, w zależności od czyichś poglądów, ekstazy albo hysterii. Dominuje bowiem przekonanie, że to by było w sumie na tyle, jeśli chodzi o prezydenturę. Koniec wyścigu, Biden już tego nie nadrobi, a trzyma się kandydatury tak kurczowo, że zaraz odwróci się od niego nawet partia, zostanie z samą rodziną.

Hurraoptyzmizm panuje z kolei po stronie Republikanów, któ-

rzy w mijającym tygodniu zjechali na konwencję do Milwaukee. Swojego kandydata pod niebiosa wychwalają wszyscy niedawni rywale w prawyborach, a media rozpisują się o atmosferze triumfu, przekonaniu, że – jak napisał „Washington Post” – „wszystko zdaje się być na swoim miejscu”.

Tylko czy rzeczywiście fakt, że jakiś młody chłopak trafił znane go polityka w ucho, ośmieszając przy tym Secret Service i prowokując powstanie kilku ikonicznych fotografii prasowych, jest aż takim odchyleniem od normy w amerykańskiej polityce? I czy można z całą stanowczością konkludować, że kampania, w której jeden z dwóch kandydatów może zostać jeszcze wymieniony przez własną partię, jest już rozstrzygnięta, właśnie z powodu tych kilku fotografii i krótkiej wizyty Trumpa w szpitalu?

W całym 2023 r. w Stanach Zjednoczonych miało miejsce 656 strzelanin w miejscach publicznych. To prawie dwie wymiany ognia na dzień. Tylko w pierwszych sześciu miesiącach tego roku było ich już 261. Złośliwi mogliby powiedzieć, że strzelanina z udziałem kandydata na prezydenta mogłaby się prędzej czy później zdarzyć wyłącznie w wyniku praw statystyki. W końcu Amerykanie strzelają do wszystkich, ciągle, codziennie i wszędzie, dlatego wiece wyborcze miałyby rzadzić się innymi prawami?

Daniel Drezner, profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Tufts w Bostonie, przytoczył w weekend inne dane, które na gorące głowy komenta-

**Biden lubił mówić
o sobie jako o pomoście
pomiędzy starszymi
i młodszyimi grupami.
Teraz tę ideę
nadszperzowanie
dobrze realizuje
Trump**

torów powinny zadziałać jak kule zimnej wody.

Teoretycznie cytowaną przez niego historię o tym, jak w 1804 r. Aaron Burr, jeden z ojców założycieli republiki, zabił w pojedynku innego ojca założyciela, Alexandra Hamiltona, można potraktować jako mało przydatną dzisiaj anegdotkę. W końcu mowa o wydarzeniach sprzed 200 lat, ale nawet w nich zaszyta jest jakaś uniwersalna prawda o amerykańskiej polityce.

Nie jest tak naprawdę ważne to, że Burr zastrzelił wtedy Hamiltona – ważne jest, dlaczego to zrobił. Otóż obaj mieli krańcowo różne wizje tego, czym Stany Zjednoczone miały stać się w kolejnych latach. Hamilton wołał silny, scentralizowany rząd federalny, sprawujący twardą kontrolę nad poszczególnymi stanami, czego Burr, zwolennik decentralizacji, nie był w stanie zaakceptować. Jego politycznym patronem początkowo był Thomas Jefferson, u którego był zresztą wiceprezydentem. Hamilton sam miał natomiast polityczne ambicje sięgające najwyższego szczebla. Klócił się z Burrem niemal o wszystko, od podatków po strategię w polityce zagranicznej. Dla Hamiltona głównym partnerem USA miała być Wielka Brytania, Burr szukał sojuszu z Francją.

Oskarżali się o politykierstwo, zdradę stanu, nieetyczne zachowania. Hamilton, mówiąc kolo-kwialnie, rył pod Burrem nieustannie, próbując poróżnić go z Jeffersonem, potem nawet walnie przyczynił się do jego porażki w wyborach na gubernatora Nowego Jorku. Ten zrewanżował mu się „podłą obelgą” przy okazji, co szybko eskalowało do wyzwania na pojedynek. W tle były naznaczone brutalną kampanią wybory prezydenckie 1800 r. i początki podziałów, które istnieją w amerykańskiej polityce do dzisiaj – na czele ze stosunkiem do rządu federalnego.

Później, wylicza Drezner, było już tylko gorzej. Czterech prezydentów USA zostało zamordowanych w czasie pełnienia urzędu. Na 13 innych przeprowadzono nieudane zamachy. 5 kwietnia 1968 r., dzień po brutalnym morderstwie Martina Luthera Kinga, senator Robert Kennedy, wielka nadzieja Demokratów, przemawiał na wiecu w Cleveland, używając mniej więcej tych samych słów, które padły w sobotę z ust Bidena i Kamali Harris. W Ameryce nie może być miejsca na agresję, choć coraz bardziej ją tolerujemy. Jest jej wszędzie pełno, wdarła się do naszej polityki. Musimy to zatrzymać, bo przemoc rodzi tylko więcej przemocy. Dwa miesiące później sam został zamordowany.

Oriana Fallaci, opisując w swoich reportażach oba ataki, zwracała uwagę na rzeczy, które dzisiaj brzmią dziwnie znajomo: jak łatwo było zamachowcom przedostać się blisko celów. Jak bardzo opieszale były służby. Jak łatwo było – to w przypadku Kennedy’ego – wnieść broń na salę bankietową w hotelu, w którym przemawiał. Jak wiele czasu – to o Kingu – miał zamachowiec, żeby uciec z miejsca zdarzenia, bo ani policja, ani pogo-

Czas zabijania był zawsze

656

• STRZELANIN
w miejscach publicznych to bilans zeszłego roku w USA

4

• PREZYDENTÓW USA
zostało zamordowanych w czasie pełnienia urzędu

NA

13

• PREZYDENTÓW
przeprowadzono nieudane zamachy

towie nie chciało udzielić pomocy czarnym?

Kilka lat wcześniej George Wallace, gubernator Alabamy i ponadczasowy symbol amerykańskiego populizmu nie chciał dopuścić do integracji rasowej studentów. Urzędujący wówczas prezydent, John F. Kennedy, wysłał przeciwko niemu armię i przeniósł pod dowództwo federalne lokalne oddziały gwardii narodowej. Czarnoskórzy studenci wchodzili na sale wykładowe w towarzystwie umundurowanych mężczyzn z długą bronią w rękach. Pięć miesięcy później prezydent sam został zamordowany.

Nawet w ostatnich latach, za czasów relatywnie spokojnej pod tym względem prezydentury Baracka Obamy, Ameryką wstrząsnęła próba zabicia Gabby Giffords, polityczki Partii Demokratycznej zasiadającej w Izbie Reprezentantów. Postrzelił ją w głowę w styczniu 2011 zamachowiec,

A co po Trumpie

Gwieździsty sztandar wyprowadzić

Zastąpi go gwieździsty smartfon. Przyszłość Republikanów ma na imię Elon, na nazwisko Musk

Gdyby Partia Demokratyczna była progresywnym ugrupowaniem w jakimkolwiek innym kraju i systemie politycznym, całkiem realnym scenariuszem na jej nieco odleglejszą przyszłość niż najbliższe kilka lat, mogłby być definitywny rozpad. Brak jasnego przywództwa, rosnąca frakcyjność, konflikty pomiędzy kolejnymi pokoleniami polityków oraz skostniałe struktury terenowe – to tylko kilka z już istniejących problemów, do których po ewentualnej porażce w listopadzie dojdzie chęć rozliczenia osób odpowiedzialnych za tak potężne fiasko.

Partia Republikańska jest natomiast na przeciwnym biegunie, choć przez ostatnie lata sama zmagala się z wewnętrzną polaryzacją, wywołaną głównie przez Trumpa.

Dziś o tak zwanych „Never Trumpers”, Republikanach przysięgających, że nigdy nie będą współpracować z byłym prezydentem ani nie poprą go jako kandydata partii, słuch zaginął. Trwająca właśnie w Milwaukee konwencja krajowa to pokaz jedności, wyborczego optymizmu i całkowitego oddania się kampanii wyborczej cha-



• 13 lipca, Trump chwilę po zamachu na wiecu w Butler
FOT. REUTERS/
BRENDAN MCDERMID

rytmicznego lidera. Mark Leibovich, reporter „The Atlantic” obecny na miejscu, pisze, że wiara dominuje tu nad ideologią, a cała impreza przypomina intronizację nowego króla.

Lecz symbolem i przepowiednią tego, co Republikanów czeka w kolejnych latach, jest nie 78-letni, choć tak witalny i dominujący, Trump, ale 39-letni J.D. Vance, nominat Trumpa na wiceprezydenta.

Jego przeszłość na marginesie amerykańskiego społeczeństwa, w małym mieście w Ohio, opisana w bestsellerowej książce „Elegia dla bidoków”, „Hillbilly Elegy”, ustąpiła już miejsca błyskotliwej karierze nie tylko komentatorskiej i politycznej, lecz również biznesowej – w roli inwestora w spółki technologiczne.

Jak na Republikanina, Vance poglądy ma dość nietypowe w tym zakresie. Chwali działania administracji Bidena, usiłującej zwiększyć regulacje i kontrolę nad wielkimi korpo-

racjami, chciałby wręcz podzielić na mniejsze części technologicznych gigantów z Doliny Krzemowej. Domaga się natomiast łagodniejszych regulacji względem kryptowalut, co czytać należy jako ukłon w stronę tak zwanych Tech Bros – bogatych darczyńców z sektora technologicznego, głównie mężczyzn, dla których rząd federalny jest największym przeciwnikiem.

Bo właśnie sojusz z wielkim kapitałem pochodzącym z technologii jest drogą, którą Republikanie będą teraz podążać. Vance jest najbardziej jaskrawym przykładem nowego rodzaju konserwatyzmu, który szybko rozpędza się za oceanem. Niewiele w nim miejsca na odwołanie tradycyjnemu wartościom amerykańskiej polityki, jak służba publiczna, międzynarodowe przywództwo, nawet związki z chrześcijańskimi społecznościami.

To konserwatyzm wielkiego postępu technologicznego, zak-

tualizowana wersja wizji świata Ayn Rand z „Atlasu Zbuntowanego”. W wypowiedziach młodych Republikanów słychać wyraźnie to, co głosiła siedem dekad temu idolka libertarian: rząd w Waszyngtonie jest zawałidrogą, blokadą dla uwolnienia pełnego potencjału najlepszych jednostek w amerykańskim społeczeństwie. Tylko one mogą pchać kraj do przodu, bez nich czeka nas wszystkich urzędnicza stagnacja i brak innowacji.

Ten alians pod wieloma względami już zresztą istnieje, czego dowodem była niedawna publiczna deklaracja poparcia dla Trumpa wygłoszona przez Elona Muska czy informacja z czwartku, że poprą go także Ben Horowitz i Marc Andreessen, najważniejsi w tej chwili inwestorzy w Dolinie Krzemowej, dla których „rząd federalny jest największą przeszkodą dla rozwoju życia technologicznego”. ●

którego dzisiaj nazwalibyśmy foliarzem, szurem czy po prostu zwolennikiem teorii spiskowych. Mężczyzna, który wierzył w Nowy Porządek Światoły i czekał na mającą nadejść rok później apokalipsę, zabił wtedy przy okazji także sędziego rejonowego.

W ostatnich latach próbowano porwać gubernator stanu Michigan Gretchen Whitmer z Partii Demokratycznej i zastrzelić reprezentującego Republikanów obecnego szefa partii w Izbie Reprezentantów, Steve’a Scalise’a. Zwłaszcza ten drugi przypadek warto przeanalizować, bo sprawcą był zwolennik Berniego Sandersa, który udzielał się nawet w jego kampanii wyborczej. Media ochrzciły go potem mianem „lewicowego fanatyka”, a Republikanie mieli dowód na to, co potem wielokrotnie mówił Trump – że przemoc jest po obu stronach. I akurat w tym przypadku ciężko było odmówić im racji.

Listę politycznie motywowanych aktów przemocy można by ciągnąć jeszcze długo. Zakończyć należałoby ją oczywiście atakiem na Kapitol, gdzie istniało poważne zagrożenie życia dla sporej części amerykańskiej klasy politycznej, na czele z wiceprezydentem Mikiem Pence’em i spikerką Izby Reprezentantów, jedną z najważniejszych postaci u Demokratów, Nancy Pelosi. Dlatego mówienie, że po wiecu w Butler cokolwiek w kwestii bezpieczeństwa w polityce za oceanem się skończyło, przerwało, albo nawet uległo zmianie, jest niczym innym jak tanim chwytem kampanijnym, przejawem tandetnego dziennikarstwa opinii albo po prostu jednym i drugim.

Trudno też się spodziewać, żeby zamach, zilustrowany dobrymi zdjęciami z Associated Press i „New York Timesa”, naprawdę przesądził o wyniku listopado-

wych wyborów. Tylko w tym roku momentów, po których nic miało w kampanii nie być takie samo, było co najmniej kilka.

Niecałe osiem tygodni temu Trump został uznany winnym 34 przestępstw. Według liberalnych komentatorów wyrok miał osłabić jego pozycję wśród wyborców niezdeterminowanych, ale za to scementować poparcie w ruchu M.A.G.A i przede wszystkim przynieść niebotyczne zyski z wpłat. Wszystkie te procesy w jakimś stopniu zaistniały, ale nie na tyle, by przechylić szalę na korzyść byłego prezydenta.

W maju liberalny establishment panikował z kolei na widok kolejnych obozowisk usuwanych przez oddziały policji. Studenckie protesty, rozlewające się przez kilkanaście dni po całym kraju, na chwilę zdominowały doniesienia prasowe, unaoczniając ideologiczne pęknięcia w obozie progresywnym. Starsi libera-

lowie zarzucali młodym gniewnym, że swoim propalestyńskim zacietrzewieniem pomaga Trumpowi. Ci odpowiadali, że chore są wszystkie elity, z prawej i z lewej strony, więc czas na nowe twarze. Na przykład na Cornela Westa, progresywnego filozofa po Harvardzie, otwarcie stojącego po stronie Palestyny w bliskowschodnim konflikcie.

W amerykańskiej prasie przeczały się analizy o protestach potwierdzających tak zwaną hipotezę podkowy – teorię z nauk politycznych, zgodnie z którą partie skrajnej prawicy i skrajnej lewicy dzieli od siebie mniej-szy dystans ideologiczny niż od politycznego centrum. West był natomiast czarnym charakterem Partii Demokratycznej – nawet na co dzień ostrożni w swoich komentarzach analitycy „Financial Timesa”, Martin Wolf i Gideon Rachman, poważnie brali pod uwagę scenariusz, w którym to on odbiera Bidelowi prezydenturę. Starczyłoby zebranie kilkudziesięciu tysięcy głosów, na przykład w Michigan – gdzie muzulmanie stanowią 2,5 proc. wszystkich mieszkańców i gdzie zwycięstwo Demokratów nie jest pewne. Część z tej grupy wyborców zagłoso-wałoby na Westa, reszta zostala-by w domu. Starczyłoby, żeby Trump pokonał Bidena w kluczowym dla wyborczej matematyki stanie.

Dzisiaj o studenckich protestach nie pamięta prawie nikt, a o wpływie wojny w Strefie Gazy na listopadowe głosowanie dyskutuje mało kto. Wyrok skazujący Trumpa jest co najwyżej elementem popkultury, bo jego kampania sprzedaje pamiątkowe dwudolarowe banknoty ze zdjęciem zrobionym mu na potrzeby procesu. Normalna cena to 39,99, ale chwilowo trwa promocja, można zdobyć ten kolekcjonerski rarytas za połowę tej kwoty.

Jeśli Biden rzeczywiście przegra te wybory, to nie dlatego, że jego rywal cudem uniknął śmierci z ręki 20-latka leżącego na dachu 120 metrów od wiecowej sceny. Przegra, bo przez ostatnie kilka miesięcy, kiedy pewne było już, że to on będzie kandydatem Demokratów, ani on, ani jego najbliżsi współpracownicy nie byli w stanie wytłumaczyć wyborcom, czemu ci tak naprawdę mieliby chcieć jego reelekcji.

Republikanie mają rację, mówiąc, że cała kampania Bidena opiera się na jednym tylko założeniu. Mylą się jednak, kiedy jako to założenie wskazują demonizację Trumpa i robienie z niego faszysty. Argumentem, z powodu którego obecny prezydent kurczowo trzyma się kandydatury, jest fakt, że już raz to starcie wygrał. Ignoruje przy tym całkowicie zmieniającą się rzeczywistość wokół niego, rażąco wręcz inny kontekst międzynarodowy i odmienną pozycję, z której tym razem startuje Trump. A przede wszystkim – ignoruje swój własny wiek.

Kamala Harris, jedyna osoba, która mogłaby go teraz zastąpić, jest wciąż uważana przez establishment Demokratów za słabą kandydatkę – nawet jeżeli w ostatnim sondażu CNN tra-

ci do Trumpa 2 pkt. proc., a strata Bidena jest trzykrotnie wyższa.

Jednak nawet jeśli przyznać tym sceptycznym wobec wiceprezydentki głosom rację, to słabość Harris wynika także z działań otoczenia prezydenta – i to bezpośrednio. „Projekt Biden” nigdy nie miał trwać dwóch kadencji. Choć on sam nie złożył oficjalnej deklaracji, że zakończy urzędowanie po czterech latach, wśród Demokratów panował konsensus, że tak właśnie będzie. Dopiero kiedy mniej więcej półtora roku temu prezydent zaczął dawać do zrozumienia, że chce znów bić się z Trumpem – jego akolici ruszyli do akcji. Systematycznie marginalizowali Harris, chociażby poprzez przydzielenie jej obszarów polityki, w których nie miała szans na znaczące medialne triumfy.

Imigracja – pole minowe. Prawa wyborcze – rosnąca opozycja Republikanów właściwie w każdym stanie. Sztuczna inteligencja – nikt w Waszyngtonie nie rozumiał, dlaczego ona miała się tym zajmować. Wskutek tych przedziwnych decyzji, dyktowanych przez ego zamiast chłodnej analizy, Demokraci zostali z kandydatem mylącym Putina z Zeleniskim. A mogli mieć być panią prokurator, której zestawienie w jednej debacie ze skazańcem seksistą byłoby perfekcyjnym spektaklem amerykańskiej polityki.

Biden na początku kadencji lubił mówić o sobie jako o pomoście pomiędzy starszymi i młodszy-mi grupami w partii. Tymczasem stał się dokładnym zaprzeczeniem tej idei – którą z kolei bardzo dobrze realizuje, co dość niespodziewane, Trump. Na wiceprezydenta wybrał 39-lletniego Vance’a. Konserwatystę nowej epoki, z historią ludowego cierpienia, ale też biegłego w inwestycjach w nowe technologie. A jednocześnie człowieka bez doświadczenia, z irracjonalną awersją do sojuszy międzynarodowych.

Ktokolwiek przegra te wybory, będzie sam sobie winien. Kilka nawet najbardziej spektakularnych fotografii niczego tu nie zmieni. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK /
AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. 1990) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaże prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

Putinada

Czy „putinada” w ustach Kaczyńskiego byłaby imprezą sportową czy raczej beztroską i bezmyślną czynnością?



Michał Rusinek

W 2007 roku Jarosław Kaczyński po raz pierwszy posłużył się publicznie słowem „putinada”. Musieliśmy czekać 17 długich lat, by posłużył się nim po raz drugi. Jak się zmieniło znaczenie tego słowa? I co w nim brzmi zastanawiająco?

Przypomnijmy, że we wrześniu 2007 roku wybory parlamentarne wygrała Platforma Obywatelska i powstał tzw. pierwszy rząd Donalda Tuska, Prawo i Sprawiedliwość było zaś w opozycji, sytuacja była więc analogiczna do obecnej. W listopadzie, w rozmowie z redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej”, Jarosław Kaczyński stwierdził, że „szykuje się »putinada«, polegająca na tym, że ci, którzy mają poglądy inne niż ekipa rządząca, niż media, które wywierają dziś największy wpływ na opinię publiczną, jak »Gazeta Wyborcza«, będą sekowani”, i zapowiedział, że PiS będzie się zajmował „monitorowaniem sprawy wolności mediów”, bo uważa on, że owa wolność jest zagrożona. „Putinada” oznaczać miała wówczas, jak rozumiem, posługiwanie się przez rząd Tuska metodami analogicznymi do stosowanych wobec niezależnych mediów w Putinowskiej Rosji.

W lipcu tego roku Kaczyński postanowił zamalować sprayem tabliczkę dołączoną do wieńca złożonego przez aktywistę Zbigniewa Komosę pod pomnikiem smoleńskim. Napis na tabliczce brzmiał: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski. Stop kreowaniu fałszywych bohaterów!”. Kiedy na miejscu zdarzenia zjawił się funkcjonariusz policji, Kaczyński powiedział, że „to jest interwencja poselska”, aktywistów umieszczających przy kwiatkach tabliczki z takimi napisami nazwał „chuliganerią”, ich działalność zaś „putinadą”. Policjantom wyjaśnił, że są to „ludzie Putina”, a napisy tego typu są „tezami Putina”. „Putinada” oznaczać miała więc tym razem wyrażanie sądów dotyczących przyczyn katastrofy smoleńskiej odmiennych od sądów prezesa Prawa i Sprawiedliwości, który obarcza Putina odpowiedzialnością za katastrofę, nazywając ją niekiedy machem.

Słowo „putinada” jest więc, jak widać, dość pojemne, a nawet coraz pojemniejsze. Zastanawiający jest jednak przede wszystkim wybór akurat takiej formy, z takim, a nie innym przyrostkiem: „-ada”. Językoznawcy są zdania, że został on wyabstrahowany ze słowa „olimpiada” oznaczającego starogreckie igrzyska sportowe ku czci głównego boga Olimpu, czyli Zeusa. Po grecku nazywały się one „Olympiás”, a dopełniacz od tej nazwy brzmiał „Olympiades”, i to właśnie forma dopełniacza stała się punktem wyjścia do utworzenia nazwy „olimpiada”. Wyodrębniony z niej przyrostek stał się dość produktywny, bo w języku polskim jest ponad 40 wyrazów zakończonych na „-ada”, jak: „spartakiada”, „uniwersjada”, „alpinada”, a także: „dziecinada”, „fanfaronada”, „robinsonada”, „błazenada”, „bufonada” czy „żenada”. Zapożyczaliśmy je z języka włoskiego, fran-

cuskiego, angielskiego, niemieckiego lub rosyjskiego, a niektóre utworzyliśmy samodzielnie. Zdaniem rzeczonych językoznawców przyrostek „-ada” ma dwie funkcje. Po pierwsze, tworzy nazwy imprez sportowych, podkreślając związek z oryginalnym znaczeniem „olimpiady”. Po drugie, służy do nazwania czynności przebiegających w sposób beztroski, wesoły, humorystyczny, a czasem bezmyślny. Na przykład „błazenada” to „błaznowanie, występ błazeński; figiel, głupstwo, niedorzeczność”; „dziecinada” to „postępowanie dziecinne, nielicujące z dorosłym człowiekiem; naiwny, dziecinny sposób myślenia”; „fanfaronada” to „chępliwość, pyszałkowatość, przechwalanie się, chęć uchodzenia za odważnego, dzielnego”; „bufonada” to „popisywanie się czymś, efekciarstwo, chęć bezpodstawnego zaimponowania komuś”. „Robinsonada” występuje w dwóch znaczeniach: podróży wywołanej żądzą przygód (od imienia bohatera powieści Daniela Defoe) oraz czynności wykonywanej w sposób brawurowy, odważny, ryzykowny (od nazwiska pełnego poświęcenia angielskiego bramkarza, który potrafił złapać piłkę lecącą na niewielkiej wysokości, rzucając się na ziemię).

Czy „putinada” w ustach Kaczyńskiego byłaby zatem imprezą sportową czy raczej beztroską i bezmyślną czynnością? Ani jedno, ani drugie. Językoznawcy zapomnieli bowiem o trzeciej funkcji przedrostka „-ada” pojawiającej się w tytule zapomnianej już nieomal noweli Michaila Bulhakowa „Diaboliada” (notabene o znamiennym podtytule: „Opowieść o tym, jak bliźniacy zgubili referenta”). Powstała ona w 1923 roku i opowiada historię „małego człowieka” nazwiskiem Korotkow, który stał się ofiarą maszyny biurokratycznej. Ową maszynę wyobraża on sobie jako piekielną siłę. Zostaje zwolniony z pracy w Głównej Centralnej Bazie Materiałów Zapalczanych, pada w obłąd pod wpływem owej diabelskiej siły i w rozpacz rzuca się z dachu wielopiętrowego budynku, uciekając przed pracownikami urzędu śledczego. Nowela jest jak najbardziej realistyczna, z piekłem kojarzą się tam co najwyżej zapalczana siarka, płomienna metaforyka i opis „diabła”, nieprzypominającego wprawdzie Wolanda z późniejszej powieści „Mistrz i Małgorzata”, ale również nazywanego „nieznajomym”: „Nieznajomy ten był tak niskiego wzrostu, że dosięgał wysokości Korotkowowi tylko do pasa. Brak wzrostu okupywała nadzwyczajna szerokość ramion nieznajomego. Tułów kwadratowy siedział na wykrzywionych nogach, przy czym lewa była chroma. Lecz najbardziej godna uwagi była głowa. Wyobrażała ona ścisły kolosalny model jajka, osadzonego na szyi prostopadłe i ostrym końcem naprzód. Łysa była również jak jasko i o tyle błyszcząca, że na ciemieniu nieznajomego, nie gasnąc, płonęły lampki elektryczne. Miniaturowa twarz nieznajomego była wygolona do czysta i zielone, malutkie jak łebki szpilek oczy siedziały w głębokich zagłębieniach. Ciało nieznajomego przyodżiane było w rozpięty, usztyty z szarej koldry french, spod którego wyglądała małosyjska haftowana koszula, nogi w spodniach z takiego samego materiału i niziułkich z wycięciem bucikach huzara z czasów Aleksandra I”.

Czy opis ten przypomina Władimira Putina? Raczej jego karykaturę. Niewątpliwie jednak „putinada” Kaczyńskiego byłaby czymś w rodzaju „diaboliady”, bo przecież Putin ma cechy diabelskie zarówno wtedy, kiedy ogranicza wolność mediów, jak i kiedy zaprzecza, że dokonał zamachu nad Smoleńskiem (o innych, bardziej oczywistych czynnościach nie wspominając). Przyrostek „-ada” w tym przypadku nie będzie się wywodził z „olimpiady”, ale raczej – podobnie jak w przypadku „Diaboliady” – z „Iliady” Homera.

Jestem bardzo wdzięczny Jarosławowi Kaczyńskiemu, że co 17 lat przypomina nam – pośrednio – o tym mało znanym utworze literackim Bulhakowa. ●

Podmiana Bidena?

RYZYZKO PARALIŻUJE

Odsunięcie urzędującego prezydenta byłoby ogromnym ryzykiem politycznym, ale trzymanie się go pomimo jego kolejnych potknięć może ostatecznie być jeszcze bardziej ryzykowne – dla partii i kraju.

Ian Bremmer

N a cztery miesiące przed wyborami prezydenckimi Demokraci znaleźli się w oku politycznego cyklonu. Szokująco roztargniony występ prezydenta Joe Bidena w pierwszej debacie telewizyjnej z Donaldem Trumpem skłonił partyjnych działaczy, głównych darczyńców i wielu wyborców Demokratów do wezwań, by zmienić kandydata na prezydenta.

Jeszcze kilka tygodni temu popieranie Bidena uważano za najlepsze rozwiązanie dla Demokratów. Bo historia uczy, że nie jest łatwo pokonać urzędującego prezydenta. Od 1932 roku tylko Herbert Hoover, Jimmy Carter, George Bush senior i Trump nie uzyskali reelekcji.

Scenariusze, w których Biden przechodzi na emeryturę lub staje w szranki ze zdeterminowanym i wiarogodnym rywalem w partyjnych prawyborach, wydawały się zarówno niepotrzebne, jak i niebezpieczne. Kiedy Demokraci Harry Truman i Lyndon Johnson zdecydowali się nie ubiegać się o reelekcję – od-

powiednio w 1952 i 1968 roku – utorowało to drogę do zwycięstw Republikanów, Dwighta Eisenhowera i Richarda Nixona. A gdy Edward Kennedy w 1980 roku postanowił rzucić wyzwanie w partyjnych prawyborach Jimmy’emu Carterowi, kampania urzędującego prezydenta ugrzęzła, co ostatecznie otworzyło drzwi do Białego Domu Ronaldowi Reaganowi.

Mając na uwadze tamte zdarzenia, większość Demokratów uznała, że bezpieczniej będzie trzymać się Bidena, człowieka, który przecież już raz pokonał Trumpa. Żaden Demokrat, który aspiruje do zostania prezydentem w przyszłości, nie chce być tym, który osłabi i tak już wrażliwego na ciosy urzędującego prezydenta.

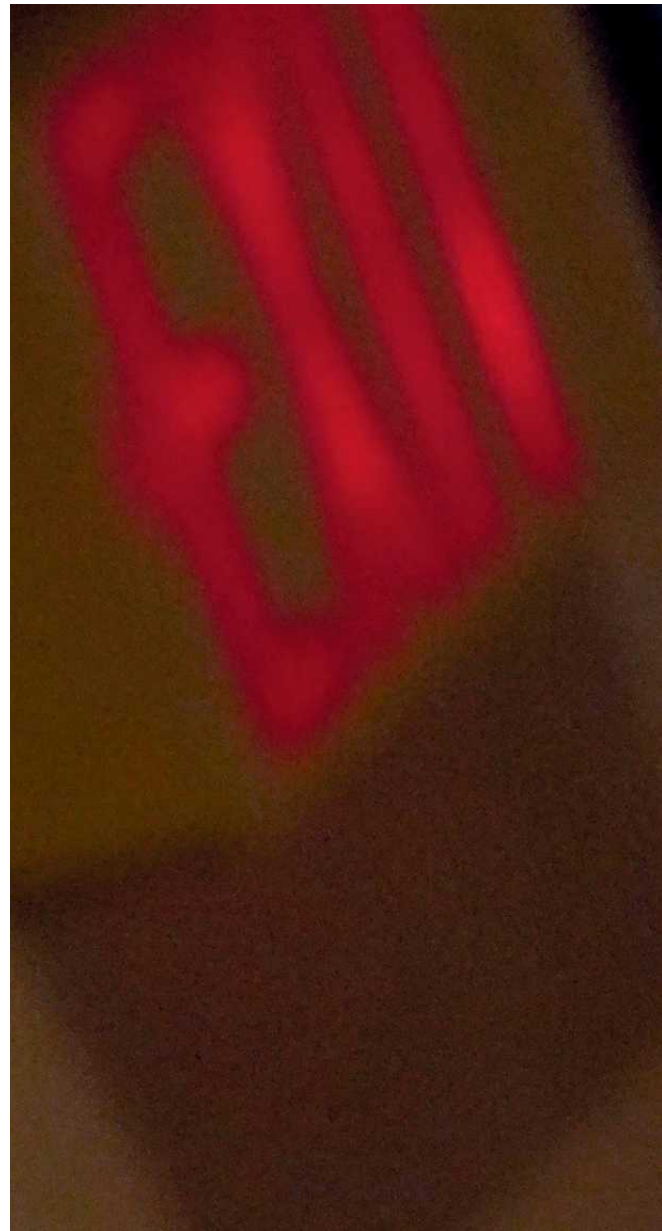
Jednak rosnące obawy o wiek Bidena – obecnie ma 81 lat, czyli pod koniec drugiej kadencji miałby 86 – stały się główną kwestią tegorocznej kampanii, spychając w cień fakt, że Trump czeka na wyrok sądu w Nowym Jorku, wyrok skazujący za przestępstwo. (Przy okazji: czy nie jest to wskaźnik tego, jak dysfunkcyjna stała się amerykańska polityka?).

Po porażce Bidena w debacie, redakcja „The New York Timesa”, gazety centrolewicowego establishmentu, wezwała prezydenta do rezygnacji ze starań o reelekcję, a ostatnie sondaże wskazują, że mniej więcej połowa wyborców Partii Demokratycznej zgadza się z tym apelem.

Tylko Biden może podjąć tę decyzję

Jeśli jednak Biden sam nie zdecyduje się zrezygnować, szanse na zastąpienie go są praktycznie zerowe. Podczas prawyborów zapewnił sobie poparcie delegatów, których potrzebuje, aby zostać formalnie nominowany na konwencji partii w Chicago w sierpniu. Delegaci są zobowiązani do poparcia Bidena – chyba że ten zwolni ich z tego obowiązku.

Co więcej, nawet jeśli Demokraci mieliby łatwiejszą ścieżkę do zastąpienia Bidena, to kto byłby nowym kandydatem? Kolejne sondaże pokazują, że wiceprezydentka Kamala Harris wcale nie jest bardziej popularna niż Biden, ale odsunięcie jej na bok na rzecz innego kandydata grozi zrażeniem dużej liczby kobiet i wyborców z mniejszości.



Wady i zalety zaawansowanego wieku przywódców

Dlaczego nie wiedzą, kiedy odejść?

Stany Zjednoczone stały się gerontokracją, jak kiedyś Związek Radziecki. Jest się czym martwić?

Robert Stefanicki

N ieszczęsna debata z 78-letnim Donaldem Trumpem, kiedy 81-letni Joe Biden na oczach całego kraju pokazał, że jego czas minął, była kroplą, która przelala czarę zniecierpliwienia Amerykanów rządami starców. Dyskusja na temat gerontokracji przetoczyła się przez amerykańskie media już w zeszłym roku, jeszcze przed rozpoczęciem kampanii wyborczej. Jednym z powodów był incydent z 82-letnim Mitchem McConnelllem, liderem mniejszości republikańskiej w Senacie, który na dłuższy czas „zawiesił się” podczas rozmowy z dziennikarzami.

Przeprowadzone wówczas sondaże wykazały, że zdaniem trzech czwartych ogółu wyborców Biden jest za stary, aby ponownie ubiegać się o urząd. Wiek Trumpa przeszkadzał prawie połowie. Tylko co dziesiąty nie poparłby limitu 75 lat jako maksymalnego wieku kandydatów na prezydenta. 47 proc. Amerykanów uważa, że większa liczba młodych ludzi na wysokich stanowiskach poprawiłaby jakość polityki.

Najstarszy Kongres w historii

Ameryka, jak przystało na kraj rozwinięty, starzeje się. Do roku 2040 seniorów będzie tam o 44 proc. więcej

niż obecnie, podczas gdy populacja osób w wieku od 18-64 lat wzrośnie zaledwie o 6 proc.

Ale klasa polityczna starzeje się szybciej niż społeczeństwo. Obecny Kongres jest najstarszym w historii. Średni wiek senatora obecnej kadencji to 63 lata, członka Izby Reprezentantów 58 (to o cztery lata więcej niż dwie dekady wcześniej). Tymczasem mediana wieku w USA wynosi 38 lat.

W Białym Domu nigdy nie było starszego lokatora. Średni wiek amerykańskich prezydentów to 55 lat. Biden ma prawie 81, Trump 78.

Podobna dyskusja miała miejsce w latach 80., gdy o drugą kadencję ubiegał się Ronald Reagan. Do historii przeszła jego cięta riposta podczas debaty z Walterem Mondale’em w 1984 r. Zapytany, czy nie jest za stary, aby kontynuować pracę na tak wymagającym stanowisku, Reagan odpowiedział, że „nie zamierza wykorzystywać do celów politycznych młodości i braku doświadczenia swego przeciwnika”.

Miał wówczas zaledwie 73 lata. Pod koniec drugiej kadencji faktycznie wyraźnie się postarzał. Krążyły plotki, że cierpi na wczesne objawy choroby Alzheimera – to samo teraz mówi się o Bidenie. Ale na tle skamielin rządzących konkurencyjnym imperium Reagan prezentował się jak młodzieniec. Zażartował kiedyś, że radzieccy przywódcy „nieustannie umierali” przez kilka pierwszych lat jego urzędowania. Jego pierwszy gabinet był o 13 lat młodszy od średniego wieku członków Biura Politycznego rządzącego ZSRR.

Dlaczego w Europie rządzą młodszy

Starzejący się przywódcy są problemem globalnym. Przed dekadą tylko jeden z dziesięciu najludniejszych krajów świata był rządzony przez człowieka ponad 70-letniego. Dziś tylko w jednym rządzi młodszy.

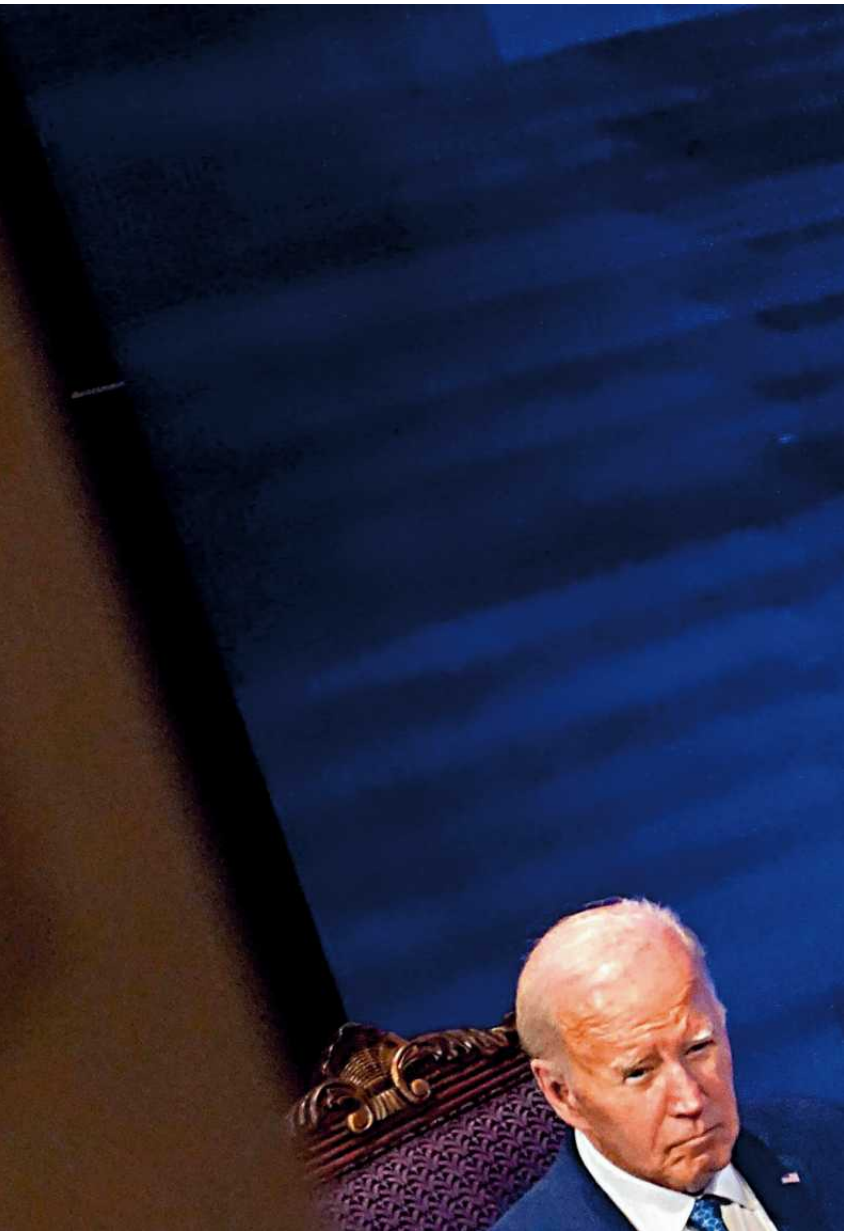
Amerykański kongresmen starszy o jedno pokolenie od przeciętnego Amerykanina to nic w porównaniu z takim Kamerunem, gdzie mediana wieku wynosi 23 lata, oczekiwana długość życia 60, a rządzi 91-letni prezydent Paul Biya, najstarszy przywódca świata, odkąd w Zimbabwie obalono Roberta Mugabe.

Jednak nie ma co porównywać demokracji z satrapiami, gdzie jak ktoś wejdzie do pałacu prezydenckiego, to zwykle wynoszą go dopiero nogami do przodu, ewentualnie dożywa swoich dni w areszcie domowym. Nawet Chiny, które przez trzy dekady mogły się pochwalić systemowo uporządkowaną sukcesją, z systemowym bezpiecznikiem przenoszącym na emeryturę zbyt leciwych przywódców, pod rządami Xi Jinpinga od tego odeszły.

USA można za to porównywać z Europą. Choć stary kontynent starzeje się jeszcze szybciej, to zasadniczo nie ma problemu ze starymi przywódcami przyklejonymi do stołków. Nie są już rzadkością nawet trzydziestolatkowie jako głowy państw.

Powód tej różnicy jest jasny: Stany Zjednoczone są plutokracją z dwoma partiami wymieniającymi się władzą. Systemowe bariery uniemożliwiają konkurencję i w większości przypadków pozwalają obecnym członkom Kongresu pozostać u wła-

DEMOKRATÓW



FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD

dzy tak długo, jak im się podoba. Mają rozpoznawalność, wsparcie partii i pieniądze. Na szczyt dochodzą ci, którzy potrafią zebrać jak najwięcej funduszy na kampanię. Pomaga im doświadczenie i koneksje cierpliwie tkane przez lata (choć Trump pokazał, że do Gabinetu Ovalnego da się wejść oknem). Biden został senatorem, gdy miał 30 lat, przez pół wieku zdążył zbudować dobre relacje z donatorami. A dla funduszu powierniczego lub potentata naftowego prezydent, w którego zainwestowali, jest aktywnym, którego wartość należy chronić aż do późnej starości. To jeden z poważniejszych problemów, jakie wiązałyby się z wymianą kandydata Demokratów przed samymi wyborami.

Ludzki opór Bidena

Krytycy z drwiną nazywają ten stan rzeczy gerontokracją – systemem rządów, w którym władza skupia się w rękach osób starszych. To słowo kojarzy się negatywnie, z teokracjami albo komunistycznymi dyktaturami. Gerontokraci nie potrafią oddać władzy, przyznać, że czas ich kohorty dobiegł końca. Pozbawiają kolejne pokolenia, w sile władz umysłowych, wpływu na bieg spraw w państwie. Aksel Sundström, politolog z Uniwersytetu w Göteborgu, opisał zjawisko nazwane „cyklem alienacji”: okupacja stanowisk przez starszych polityków powoduje spadek frekwencji wśród młodych wyborców, co z kolei daje politykom niewielką motywację do skupiania się na problemach młodych.

Dlaczego starcy nie chcą odejść? Jedna z teorii głosi, że przez zaprzeczenie: emeryturę utożsamiają ze śmiercią. Każdy słyszał o przypadkach ludzi, którzy po ustąpieniu ze stanowiska szybko umierali, nie potrafiąc znaleźć sobie nowego zajęcia i sensu życia.

Może to być też kwestia tożsamości. Pracowali tak ciężko i tak długo, żeby dojść tam, dokąd doszli, że utożsamiają siebie z pełnioną funkcją.

Dla innych to kwestia odpowiedzialności. Uważają, że są niezbędni, a przekazanie pałeczki komuś in-

Jeśli chodzi o alternatywne opcje – jak gubernator Kalifornii Gavin Newsom, gubernatorka Michigan Gretchen Whitmer, sekretarz transportu Pete Buttigieg i inni – są to politycy bez doświadczenia na szczeblu krajowym. Aby zrozumieć, jak szybko może się zalać kandydatura niepoparta doświadczeniem, nie trzeba szukać daleko – przykładem wielce oczekiwana, ale ostatecznie katastrofalna próba gubernatora Florydy Rona DeSantisa, który nie zdołał pokonać Trumpa w tegorocznych republikańskich prawyborach.

Biden jak dotąd w żaden sposób nie zasugerował, że bierze pod uwagę ustąpienie, a publiczne wyrazy wsparcia ze strony byłych prezydentów Baracka Obamy i Billa Clintona mają potwierdzić, że partia śmiało idzie naprzód.

Argumentem za pozostaniem Bidena w wysiugu jest to, że wciąż może pokonać Trumpa. W hiperspolaryzowanym amerykańskim środowisku politycznym miliony ludzi, którzy ankietom mówią, że Biden jest za stary na drugą kadencję, i tak będą na niego głosować, byle trzymać Trumpa z dala od Białego Domu. Ponieważ obie strony politycznego sporu wierzą, że stawką jest przyszłość amerykańskiej demokracji, frekwencja wyborcza będzie prawdopodobnie wyższa niż zwykle.

Nikt już nie śledzi kłopotów Trumpa z prawem

Ale wzgórze, na które Biden musi się wspiąć, stanie się jeszcze bardziej strome w nadchodzących tygodniach, gdy rosnąć będzie liczba demokratycznych polityków i urzędników, którzy już nie tak anonimowo jak do niedawna, za to coraz intensywniej mówią w mediach, że Biden musi odejść. Kropla po kropli ta czara goryczy będzie się wypełniać, co ograniczy zdolność Bidena do resetu sytuacji, przynajmniej do czasu konwencji Partii Demokratycznej w sierpniu. Jeśli z kolei pojawi się jakakolwiek rozmowa o przyspieszeniu daty formalnej nominacji Bidena, podsyci to spekulacje, że panikuje, nawet jeśli tak nie jest. A wszystko to będzie się działo w czasie, gdy – jak mieli nadzieję sztabowcy Bidena – media miały zajmować się licznymi prawnymi kłopotami Trumpa.

nemu byłoby – w przypadku przywódcy politycznego – czynem antypaństwowym.

U Bidena może zachodzić kombinacja wszystkich tych czynników. Jego opór przed ustąpieniem jest bardzo ludzki. Boi się, że zarzuca mu oddanie kraju walkowerem; wierzy, że nikt nie ma większych szans pokonać Trumpa; nie dociera do niego – jak do większości ludzi w tym wieku – jak szybko się starzeje i jak pogarsza się jego sprawność umysłowa.

Czy daloby się temu zaradzić odgórnie? Republikańska pretendentka do urzędu prezydenta Nikki Haley rzuciła pomysł obowiązkowych testów zdolności poznawczych dla kandydatów na najwyższy urząd.

Nie ma mowy o dyskwalifikowaniu kandydata z powodu „oblanego” testu, ale wyniki byłyby upublicznione. Z pozorów nic w tym złego. Lecz zdaniem Hansa Förstla, emerytowanego profesora psychiatrii na politechnice w Monachium, bardzo trudno byłoby sporządzić test, który uchwyci złożoność poznawczą i wyjątkowe wymagania związane z byciem głową państwa.

Poza tym w silnie spolaryzowanym społeczeństwie wyborcy nie przyjmą do wiadomości, że ich kandydat myśli wolniej niż przeciwnik. Prędzej uznają, że testy zostały zmanipulowane. Swoją drogą, czy nie powinniśmy oceniać kompetencji umysłowych wyborców, zanim dostaną karty do głosowania?

Wybór 80-latka może być racjonalny

Pomysł dotyczący limitu wieku też jest kontrowersyjny. Ludzie nie starzeją się równomiernie; u jednej osoby oznaki pogorszenia sprawności umysłowej zaczynają pojawiać się po 70. roku życia, a inna może być w pełni zdolna do sprawowania urzędu nawet po osiemdziesiątce. Limit zalaływałby „ejdżyzmem”, dyskryminacją seniorów. Ponadto utworzenie granicy wiekowej mogłoby zostać wykorzystane jako broń polityczna. Partia dominująca w Kongresie może podnieść lub obniżyć wiek, aby zdyskwalifikować kontrkandyda-

Na razie Partia Demokratyczna jest sparaliżowana. Odsunięcie urzędującego prezydenta byłoby ogromnym ryzykiem politycznym, biorąc pod uwagę alternatywy; ale trzymanie się go pomimo jego kolejnych potknięć może ostatecznie być jeszcze bardziej ryzykowne – dla partii i kraju.

Tymczasem Trump od kilku tygodni dostaje same dobre wiadomości. Finał niemal wszystkich jego problemów prawnych został przełożony na okres po wyborach. Nawet wyrok w jego nowojorskim procesie dotyczącym nielegalnych płatności dla gwiazdy porno został opóźniony. Ostatnie orzeczenia Sądu Najwyższego zmniejszyły prawdopodobieństwo skazania go kiedykolwiek na karę więzienia, a także przypomniały konserwatywnym wyborcom, że już skutecznie przesunął Sąd Najwyższy na prawo i będzie to kontynuował, jeśli wygra. Media koncentrują się teraz bardziej na wskazaniu przez Trumpa kandydata na wiceprezydenta [został nim J.D. Vance, niespełna 40-letni senator z Ohio, faworyt liberańskich biznesmenów z Doliny Krzemowej, Petera Thiela i Elona Muska – red.] niż na jego karygodnych zachowaniach i ekstremalnych poglądach.

Decyzja o politycznej przyszłości Bidena należy do niego samego i nie można przewidzieć, co zdecyduje. Na razie wydaje się, że zamierza utrzymać kurs i próbuje narzucić inne tematy w debacie publicznej. Ale z każdym mijającym dniem presja na zmianę kandydata Partii Demokratycznej będzie rosła. Jest to bezprecedensowa sytuacja w i tak już wyjątkowo dysfunkcyjnych wyborach prezydenckich w USA. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

Copyright: Project Syndicate, 2024; www.project-syndicate.org

Ian Bremmer

• założyciel i prezes Eurasia Group i GZERO Media, członek Komitetu Wykonawczego ONZ ds. Sztucznej Inteligencji.

ta. Z taką manipulacją mieliśmy do czynienia, kiedy PiS obniżył obowiązkowy wiek emerytalny sędziów.

A może nie ma o co kruszyć kopii. Jeśli naród chce wybrać 80-latkę, powinien mieć do tego prawo. Powierzenie rządów osobie starszej jest racjonalne. Starzy mają doświadczenie i mądrość.

Teoria ewolucji głosi, że starość: najważniejszym zadaniem państwa jest przetrwanie, a stary człowiek to ktoś, komu przynajmniej to się udało. Czasem dosłownie: Breżniew, Andropow i Czernienko mogli rządzić i umierać w latach 80., bo przeżyli czystki stalinowskie.

Zarzut nieuwzględniania perspektywy młodego pokolenia przez starych przywódców nie zawsze jest trafny. Obecny Kongres przyjął ustawy zapewniające wsparcie państwa dla inwestycji w czystą energię, produkcję półprzewodników i infrastrukturę, których realizacji najstarsi parlamentarzyści pewnie już nie doczekają. Biden anulował długi studenckie warte 7,4 mld dol.

Brak wigoru seniorów też nie musi być wadą – młode gorące głowy prędzej wyślą naród na wojnę. Starzy są już u schyłku kariery, są bogaci i jest większa szansa, że będą się kierować dobrem ogółu, a nie własnym. Przynajmniej w teorii.

Christopher Caldwell na łamach tygodnika „Economist” spojrzął na problem w USA z perspektywy konserwatysty. Jego zdaniem zastępowanie starych przywódców jest trudniejsze w czasach masowej migracji i podziałów międzyetnicznych. „Amerykańscy wyborcy zawsze wahają się przed przekazaniem pochodni następnemu pokoleniu; mogą jeszcze bardziej wahać się przed przekazaniem pochodni pokoleniu, w skład którego wchodzi przybysze z Ameryki Łacińskiej i Azji”. Biden, ze swoim półwiecznym doświadczeniem w Waszyngtonie i postawą środka, pozwala Demokratom – których publicysta nazywa „partią migracji i zmian demograficznych” – uspokoić wyborców dobrze znaną twarzą. ●

Michał Kokot

KORESPONDENCJA Z NIEMIEC
(DARMSTADT – PFORZHEIM – TUBINGEN
– BERLIN)

Koniec czerwca w Darmstadt, 160-tysięcznym mieście w niemieckiej Hesji. Na centralnym placu Luizy Henrietty rozstawiają się działacze ruchu Pax Europa sprzeciwiający się „politycznemu islamowi” – budowaniu w Niemczech państwa opartego na prawie szariatatu. Z każdej strony otaczają ich barierki. Kilkudziesięciu policjantów pilnuje zgromadzenia. Organizatorzy mówią, że takiej obstawy nie pamiętają.

– Ale to i tak jeszcze nic.

W zeszłym tygodniu w Hagen ustawili betonowe zapory przeciwko ciężarówkom. Podobno mieli sygnały, że jacyś zamachowcy planują ataki – opowiada Manuela, która przyjechała tu razem z mężem z oddalonej o godzinę jazdy Spiry.

Obydwoje są fanami Pax Europa. – Do tych grzecznych muzułmanów nic nie mam. Ale wielu młodych nie ma szacunku, są zupełnie niewychowani. Mówią: „Obetnę ci głowę”. A rząd? Nic nie robi. Minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser życzyła ostatnio muzułmanom szczęśliwego ramadanu. Nam nic ładnego nie życzyła – oburza się.

O Pax Europa dowiedziała się z internetu. Oglądała wystąpienie jej szefa Michaela Stürzenbergera na jednym z wieców. Pomyślała, że wreszcie ktoś ma odwagę publicznie powiedzieć, jacy są naprawdę muzułmanie w Niemczech. Najbardziej zapadła jej w pamięć scena, gdy młody mężczyzna o ciemnej karnacji mówi Stürzenbergerowi pod koniec jego wystąpienia: – Spierdalaj, ty zaszary Niemcu!

Stwierdziła, że musi pojechać na kolejny wiec, by wesprzeć go obecnością. Dojeżdżała do Mannheim, gdy zobaczyła szpaler karettek pędzących na sygnale w przeciwną stronę. Było już po wszystkim.

Stürzenberger i troje innych działaczy Pax Europa zostało ranionych nożem przez 25-letniego mężczyznę z długą brodą. Najpoważniejsze rany odniósł jednak 29-letni policjant zabezpieczający imprezę. Zmarł dwa dni później, nie odzyskując przytomności.

Media później napiszą, że napastnikiem był Afgańczyk, który przybył do Niemiec w 2013 r. Ożenił się z Niemką, miał dwójkę dzieci. Ale w trakcie pobytu radykalizował się. Służby nic o nim nie wiedziały, był tzw. samotnym wilkiem.

Koniec z fałszywą tolerancją

Zamach wstrząsnął Niemcami.

– Jeśli ekstremiści ingerują w wolność swobodę poruszania się i wyrażania opinii, to muszą wiedzieć, że mają nas za swoich najtwardszych przeciwników – powiedział kanclerz Olaf Scholz.

Christoph Lindner, szef liberalnej Wolnej Partii Demokratycznej (FDP), z którą SPD i Zieloni tworzą koalicję, napisał: „Musimy się bronić przed islamskim terroryzmem. Koniec z fałszywą tolerancją”.

Ale na potępieniu zamachowca zgodziła koalicja się skończyła. SPD zapowiedziała prawo, które przyspieszy deportację obcokrajowców, którzy dopuścili się przestępstw, ale sceptyczni są Zieloni. Przepisy nie pozwalają na odsyłanie ludzi do krajów, które są uznane za niebezpieczne. A tak jest sklasyfikowany Afganistan. Zieloni twierdzą, że trzeba znaleźć inny sposób.

Natychmiastowego rozwiązania domaga się Alternatywa dla Niemiec (AfD), uznana w części landów za organizację skrajnie prawicową. Partia postuluje tzw. remigrację – deportację obcokrajowców do krajów pochodzenia, również tych, którzy zdążyli nabyć już obywatelstwo. Z takim hasłem zorganizowali tydzień po zamachu w Mannheim demonstrację, na którą przyszło 700 osób.

Kontrmanifestacja federacji niemieckich związków zawodowych (DGB) pod hasłem



NIEMCY MUSZĄ BYĆ DLA NAS

– Nie mogę słuchać, co tutaj gadają – mówi młody chłopak płynną niemczyzną. Tylko ciemna karnacja zdradza jego pochodzenie. Rusza do mikrofonu, by zabrać głos

„Mannheim jest razem – na rzecz demokracji i różnorodności” zgromadziła 4 tys. osób.

Na stronie internetowej AfD zdjęcie zamachowca z Mannheim ilustruje sekcję „Licznik odosobnionych przypadków”. Ironiczne sformułowanie „odosobniony przypadek” dotyczy przestępstw z udziałem obcokrajowców, które zdaniem AfD są bagatelizowane przez polityków głównych partii. Na mapie Niemiec, która znajduje się na stronie AfD, aż się od nich roi. W kronice kryminalnej przestępstwa są odnotowane niemal codziennie, niezadko po kilka w jednym dniu, z podaniem źródeł policyjnych: „Molestowanie seksualne przez sprawców o arabskim wyglądzie”, „Środkowa Frankonia: Irańczyk ruszył na policjantów z nożem” (policja już od dawna pozwala na opisywanie pochodzenia sprawcy).

Na dole sekcji liczby – 923 269 to obcokrajowcy podejrzani o przestępstwa w 2023 r. (wzrost o 22,3 proc.). O 11 proc. rok do roku wzrosła liczba ataków nożowników (nie wiadomo jednak, ilu z nich to Niemcy). A wśród wszystkich przestępców obcokrajowcy stanowią już 44,4 proc. sprawców – choć zaliczają się tylko do nieco ponad 15 proc. populacji liczącej 84 mln mieszkańców. Dane pochodzą z policyjnych statystyk.

Dyskusja dla wybranych

Temperatura dyskusji rośnie również na wiecu, któremu się przysłuchujemy. Prowadzący spotkanie Damir, Chorwat mieszkający od lat w Niemczech, stoi z mikrofonem w ręku i mówi, że islam to religia, która była instrumentem do podbijania państw innowierców. I że w przeciwieństwie do chrześcijaństwa, które nakazuje miłować bliźniego, to religia fundamentalistyczna.

– Nie mogę słuchać, co tutaj gadają – mówi mi młody chłopak płynną niemczyzną.

Tylko ciemna karnacja zdradza jego pochodzenie.

– Jestem Afgańczykiem, ale nie pieram tego, co zrobił ten zamachowiec w Mannheim – mówi. – Trzeba żyć w pokoju. On siedział w tym Afganistanie i miał inną rzeczywistość ze wszystkimi jej ograniczeniami. Tutaj zobaczył, że można mieć wolność, pić alkohol, chodzić na dyskotekę, mówić, co się myśli. Nie nauczył się, że jest inne społeczeństwo i że obowiązują pewne reguły. Dla takich ludzi powinny być jakieś przymusowe kursy integracyjne.

Prowadzący spotkanie zachęcają ludzi do tego, by z nim dyskutowali. Afgańczyk rusza, by zabrać głos. Gdy jeden z organizatorów podsuwa mu mikrofon, zaczyna mówić, że islam sam w sobie nie jest religią nienawiści. Że istnieją różne sposoby jego interpretacji i że radykalowie celowo wybierają sobie z niego tylko to, co służy ich politycznym celom. Jednak nie zdąża dokończyć, gdy prowadzący odbiera mu mikrofon: – Chyba nie doczytałeś tego, co jest napisane w Koranie. To ja ci w takim razie powiem – przerywa mu Damir.

Afgańczyk coś jeszcze mówi, ale jego głos ginie w tyradzie Damira, który zarzuca mu ignorancję. Mężczyzna jeszcze chwilę wysłuchuje połajanki Chorwata, ale w końcu zrezygnowany pokazuje mu środkowy palec i opuszcza plac. – Widzicie, taka z nimi dyskusja! Jak nie mają merytorycznych argumentów, zaczynają się obelgi! – krzyczy do mikrofonu drugi z prowadzących spotkanie.

Najpóźniej po godzinie widać, że to zaplanowany przez organizatorów schemat. Zapraszają do dyskusji, by po kilku zdaniach odebrać rozmówcy mikrofon i wdeptać go w ziemię, wyczekując, aż ten da się sprowokować.

Starsza Niemka, która przyszła posłuchać („z ciekawości”) kręci tylko z niedowierzaniem głową: – Przecież od razu widać, że to wybrane interpretacje Koranu.

Mówi, że po fali uchodźców widziała już rytualne zarzynanie owcy przez muzułmanów na balkonie w bloku. Mieszkańcami Darmstadt najbardziej jednak wstrząsnęło zabójstwo honorowe 19-latkę w dzielnicy Kranichstein w 2015 r. Zamordowali ją jej pochodzący z Pakistanu rodzice, bo uprawiała przedmałżeński seks.

– Być może by do tego nie doszło, gdyby urzędnicy byli bardziej czujni. Ale pracownicy socjalni są przepracowani, brakuje personelu – stwierdza, gdy w tle przemawia na wiecu mężczyzna ubrany w koszulkę „I stand for Israel” (jestem z Izraelem).

To nie są te Niemcy, które znam

Kilkanaście metrów dalej trwa ostra dyskusja między widzami. Żywo gestykuluje czarnoskóra kobieta około trzydziestki z dwójką kilkuletnich dzieci. Rozmawia z nią wysoki biały mężczyzna około sześćdziesiątki.

Kobieta: – To, że Niemcy spieszyli sprawę podczas drugiej wojny światowej i wymordowali Żydów, nie oznacza, że musimy godzić się teraz na to, co Izrael robi ludziom w Gazie.

Mężczyzna: – Pani tego nie zrozumie...

– Proszę mi takich rzeczy nie mówić! To nie są te Niemcy, które znam, gdy się tutaj przeprowadziliśmy! – denerwuje się kobieta i odchodzi, odciągając dzieci.

Gdy podchodzi do niej, nadal jest zdenerwowana. Mówi, że nie jest muzułmanką, kilka lat temu uciekła przed wojną w Erytrei.

– To się zawsze tak zaczyna, gdy ci mówią, że jesteś tylko gościem w kraju. Później jesteś już obcy i masz sobie iść. Co ja mam powiedzieć dzieciom? – mówi, pokazując



▲ Kibicująca Turcji
dziewczyna pod-
czas meczu
z Czechami w trak-
cie Euro 2024

► Manifestacja
ruchu Pax Europa
w Darmstadt
22 czerwca br.

FOT. JAKUB WRODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

na chłopca i dziewczynkę. – Przecież one się tutaj urodziły, są Niemcami!

– Ta pani mnie chyba źle rozumiała – broni się mężczyzna, gdy nawiązuję do tej rozmowy. Przedstawia się jako Werner. Jest emerytowanym pracownikiem banku.

Tłumaczy, że nie chciał powiedzieć, że nie powinna zabierać głosu, ale przecież dostała miejsce na studiach, została tutaj przyjęta, powinna rozumieć pozycję Niemców, którzy muszą pokutować za grzechy, których się dopuścili na Żydach i dlatego popierają taką, a nie inną politykę wobec Izraela.

Werner uważa, że Niemcy mają problem z islamem. Bo w kraju konferencje islamiistyczne są organizowane przez Turcję. Erdogan przysyła swoich imamów, by tworzyli ruch polityczny.

– Mieszka tutaj trzecia generacja Niemców tureckiego pochodzenia i głosuje na Erdogana. Oni korzystają z pełni praw, jakie daje im demokracja, po czym głosują za dyktaturą. Jak to jest możliwe? – zastanawia się Werner. Podkreśla, że „nie może być tak, że w Niemczech zacznie obowiązywać prawo szariatu”.

A co z dalszym przyjmowaniem uchodźców? – Wszystkie prawa azylowe muszą pozostać w mocy – nie ma wątpliwości Werner.

– A ty znowu coś rozpętales? Przecież miałeś tylko na mnie czekać, aż wrócę z zakupami – śmieje się pobłażliwie kobieta, która do nas podchodzi, trzymając w ręce torebki z butiku. To żona Wenera, Steffi. Również ona jest na emeryturze, wcześniej pracowała jako anestezjolog.

Mówi, że jest za przyjmowaniem obcokrajowców, o ile „będą dobrze przygotowani i będą chcieli pracować”. – To był błąd, że przez dziesięć miesięcy nie pozwolono uchodźcom pracować, tylko musieli być na zasiłkach. Co to dużo ukrywać, jest źle...

– Steffi, wcale nie jest źle – wchodzi jej w słowo Werner. – Jestem dumny, że my, nasz kraj Niemcy, możemy dać innym ludziom pracę i ich przyjąć. Ale fakt to był kardynalny błąd, że przez tyle miesięcy nie mogli jej podjąć. Nastroje nie są dobre.

Pytam obydwojga, na kogo głosowali w ostatnich latach.

– Na Zielonych – odpowiada Steffi. – Ale z każdym rokiem coraz bardziej zaciskamy zęby.

– Zastanawiam się nad tą nową partią Volt... – mówi Werner.

Volt to niewielka, socjalliberalna partia, która w tym roku w wyborach do Parlamentu Europejskiego zdobyła 2,6 proc. głosów i wprowadziła troje eurodeputowanych (nie obowiązywał pięcioprocentowy próg wyborczy). To o dwóch europosłów więcej niż przed pięcioma laty.

A Zieloni, na których głosowali Werner i Steffi, ponieśli dotkliwe straty. Zdobyli wprawdzie 12 proc. głosów i dwanaście mandatów, ale to i tak o dziewięć europosłów mniej niż w 2019 r., gdy mieli ponad 20 proc. głosów. Kiepski wynik Zielonych, liberalów z FDP i najgorszy w historii SPD kanclerza Olafa Scholza (13,9 proc.) to w opinii nie tylko ekspertów, ale czołowych polityków tych partii kara za klótnie w tej trójpartyjnej koalicji rządzącej Niemcami od 2021 r.

Procentowo najwięcej głosów w tegorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego przybyło lewicowej partii Sojusz Sahry Wagenknecht (6 pkt proc.), Volt (prawie 2 pkt proc.) i AfD (blisko 5 pkt więcej).

Bastion Pforzheim

W ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego na AfD głosowało ponad 6 mln Niemców, czyli blisko 16 proc. uprawnio-

nych do głosowania. Mapa poparcia tej partii kształtuje się według historycznego podziału administracyjnego kraju. AfD wygrała ostatnie eurowybory w granicach całej dawnej NRD. I to, z nielicznymi wyjątkami, w każdej gminie.

Ale partia dawno zbudowała już przyczółki w zachodnich Niemczech i ma reprezentację w każdym z szesnastu landtagów. W bogatej dzięki obecności koncernów motoryzacyjnych i technologicznych Badenii-Wirtembergu na południu Niemiec, gdzie od lat rządzi Zieloni (obecnie w koalicji z CDU), AfD zdobyła w 2021 r. prawie 10 proc. głosów. Według ostatnich sondaży tym razem mogłaby liczyć na ok. 15 proc.

Bastionem partii jest 130-tysięczne Pforzheim, położone pomiędzy Stuttgartem a Karlsruhe. Przed miesiącem AfD zebrała tam 22 proc. głosów i wygrała wybory do rady miasta. Szefową lokalnych struktur jest 25-letnia Diana Zimmer. To potomkini prezydentów z Rosji, którzy przyjechali do Niemiec w latach 90.

– Żle się stało, że dostali takie poparcie, ale z drugiej strony ludzie mają już dość – mówi mężczyzna po czterdziestce, którego spotykamy w centrum miasta. – Niemcy są wyśmiewane. Ci, którzy przyjeżdżają do nas, są dobrze urządzeni. Kobieta, która zbliża się do emerytury i przepracowała 40-45 lat, dostaje mniej pieniędzy od obcokrajowca, który nie przepracował ani jednego dnia.

Jest krytyczny wobec rządzącej Niemcami koalicji: – My, Niemcy, mamy ten problem, że za dużo jeździmy po świecie i wszystkim wskazujemy palcem, jak mają żyć. Zajmijmy się naszymi obywatelami.

Zachęca, by iść do dzielnicy Haidach, gdzie mieszkają rosyjskojęzyczni Niemcy.

W tej dzielnicy na AfD głosowało 49,2 proc. uprawnionych. – Tylko uważajcie. Jak zadacie niewłaściwe pytanie, możecie dostać po głębie – przestrzega.

Rosyjski słychać już w autobusie, którym jedziemy do dzielnicy. Przy wjeździe widać nietypowe jak na Pforzheim kilkunadcondygnacyjne bloki z wielkiej płyty. Są zadbane, choć sporadycznie na blokach można dostrzec napisy, np. ACAP, czyli skrót od All Cops Are Bastards („Wszyscy gliniarze to dranie”), ścigane przez policję.

Na skrzyżowaniu przy Breslauerstrasse i Leipzigerstrasse, czyli ulicy wrocławskiej i lipskiej zagadujemy Katarinę, która przyjechała do Pforzheim w 1997 r. z Kirgistanu. Mówi, że dawniej na osiedlu był porządek, ale wszystko miało popsuć się wraz z napływem muzułmańskich imigrantów.

– Przyjeżdżają i myślą, że wszystko im wolno. Młodzi nie mają żadnego szacunku dla starszych, przeklinają, wygrażają, mówią, że i tak nic im nie zrobimy – narzeka.

Pytam o to, czy głosowała na AfD. – Tak. Podoba mi się ich polityka. Niemcy muszą być dla Niemców! Niemcy muszą być dla nas. Moje dzieci mówią, że to, co mówię, jest złe i powinny głosować na Zielonych albo SPD. I że jak AfD dojdzie do władzy, będę pierwszą, której będą kazali, żebym się wynosiła z tego kraju. Ale dlaczego? Przecież mam od tak dawna paszport niemiecki!

Z Ukraińcami też dobrze żyjemy, nawet z tymi, którzy przyjechali teraz w czasie wojny. A żebyście widzieli, jakimi dobrymi samochodami puciekali z tego kraju, naprawdę były – jak to się mówi – tłuste – zapala się Katerina.

– Jestem przeciwna wojnie, wiadomo. Ale jak to było z tą Ukrainą, nikt nie wie. Podobno sami zbombardowali swoich ludzi w Ługańsku najpierw, a Rosja przysłała im z pomocą. Ale ja tam nie wiem, jak było naprawdę... – ucina.

Gdy rozmawiamy, wita się z grupką starszych mężczyzn przechodzących po drugiej stronie ulicy. – Idą pić wódkę do garaży. Ich zapytajcie – zachęca.

Idziemy za jej radą. W zadaszonym parkingu stoi grupka sześciu mężczyzn, jeden z garaży jest otwarty. Na rozmowę z nami decyduje się jeden, nieco już wstawiony. – Wszystko zdrożało, poddam ci przykład: kiedyś kupowałem butelkę wódki za 10 euro, dzisiaj już muszę dać 20 euro. A te wszystkie podatki idą na wojnę – stwierdza.

Przez kilkanaście minut wyrzuca z siebie tyradę na Amerykanów (odpowiadają za wojnę), środowisko LGBT+ (sieję zgorzsenie), muzułmanów (przestępczość wzrosła), administrację osiedla (rzekomo nie przeprowadza remontów). Tak, poszedłby głosować na AfD, ale akurat dwa tygodnie temu nie mógł, bo miał sprzeczkę z żoną. Właśnie się rozwodzą, to jego trzecie małżeństwo.

Ale obraz Niemców rosyjskiego pochodzenia w Pforzheim daleki jest od jednoznaczności. Przekonujemy się o tym kilka przecznic dalej, gdzie spotykamy trójkę starszych kobiet, rozmawiających ze sobą po rosyjsku przed blokiem. Walentina mówi, że owszem po 2015 r., gdy do Niemiec przyjechali uchodźcy wzrosła przestępczość i że już nie poszłaby po zmroku na jarmark bożonarodzeniowy w mieście. Ale przyznaje, że u nich na osiedlu jest bezpiecznie. Mówi też, że na pewno nie głosowałaby na AfD. Dlaczego?

– Bo popierają Putina, a to zbrodniarz, który rozpętał wojnę – wypala nieoczekiwanie. Jej koleżanki specjalnie nie protestują, choć po ich nieco zakłopotanych minach widać, że nie jest to popularny temat. – Nie oglądam telewizji rosyjskiej, bo to propaganda – zastrzega Walentina.

Mówi, że zawsze czuła się Niemką, choć urodziła się w Związku Radzieckim. Jej potomkowie wyemigrowali do Rosji w drugiej połowie XVIII w. z dzisiejszej Nadrenii z powodu biedy i głodu. Caryca Katarzyna Wielka kuśliła nowych obywateli, nadając im ziemię i pozwalając zachować język oraz religię. Problemy rodziny Walentyny zaczęły się wraz z rewolucją bolszewicką, cza-

sem Wielkiego Terroru i przesiedleniami w głąb Związku Radzieckiego. Walentina mówi, że nie chce doświadczać wojen, tak jak jej przodkowie.

Aklimatyzacja to długi proces

Liana Bley w 1988 r. przyjechała do Pforzheim jako przesiedleńca z Rosji wraz z rodziną. Od wielu lat pracuje jako rzeczniczka Międzynarodowej Rady Doradczej w Pforzheim reprezentującej obywateli ze środowisk migracyjnych w administracji miasta. Pytam ją, dlaczego tak wielu mieszkańców głosowało na AfD. Bley tłumaczy, że to efekt szybkiego przyrostu ludności Pforzheim. Przed wojną miało 80 tys. mieszkańców, po jej zakończeniu połowę mniej. W ciągu 70 lat liczba ludności wzrosła trzykrotnie do 130 tys. osób, głównie za sprawą gasterbeiterów, przesiedleńców z Rosji i uchodźców. Teraz co roku wprowadza się 8-10 tys. nowych mieszkańców. W ostatnich dwóch latach osiadło wielu Ukraińców, uciekających przed wojną. Łącznie Pforzheim zamieszkuje 140 narodowości, a osoby z tzw. tłem migracyjnym stanowią już blisko 60 proc. mieszkańców.

Bley mówi, że aklimatyzacja w mieście i integracja to długi proces – zwykle zajmuje to przynajmniej jedno pokolenie. Do tego potrzebna jest infrastruktura, która zaspokoi potrzeby szybko powiększającego się miasta: przedszkola, mieszkania, szkoły. A z tym jest problem.

– Wiele gmin czuje, że zostało pozostawione z tym problemem samymi. Dla części mieszkańców to psychologiczna kwestia deficytów. Odczuwamy go, gdy musimy zrezygnować z rzeczy, do których się przyzwyczailiśmy, jak np. miejsce w przedszkolu czy ograniczenie prędkości w ruchu drogowym. Ludzie nie godzą się na to, uważają, że to jest coś, co sobie wypracowali i teraz mają obawy, że zostanie im to trwale odebrane. Wtedy zaczynają szukać winnych. I łatwiej do nich dotrzeć dzięki populistycznym hasłom – Bley wyjaśnia sukces AfD.

Mówi, że integracja w społeczeństwie może udać się tylko wtedy, gdy nie będzie się ich traktować według pochodzenia etnicznego lub wedle kryteriów politycznych.

Tylko jak rozmawiać o zmieniającym się społeczeństwie? I jak nie narazić się na zarzut rasizmu i ksenofobii? Dyskusja o migracji w Niemczech przypomina poruszenie się po polu minowym.

Burza wybuchła na początku mistrzostw Europy, gdy wiceprzewodnicząca Bundestagu z Zielonych skomentowała zdjęcie piłkarzy narodowej jedenastki. Obok wielopokoleniowych Niemców w składzie grają piłkarze pochodzenia tureckiego, nigeryjskiego czy uzbeckiego.

„Ta drużyna jest wspaniała. Wyobraźcie sobie tylko, że byłiby w niej jedynie biali gracze” – napisała w serwisie X Katrin Göring-Eckardt.

Dziennikarze, politycy, a nawet policyjni związkowcy zaczęli zarzucać jej „odwrócony rasizm”. – Jeśli kolor skóry czyni się tematem dyskusji i mówi o tym, że inny kolor jest lepszy, to należy to uznać za rasizm. To musi być kretyńskie dla kolorowych piłkarzy drużyny narodowej, że się w kółko mówi o tym, jaki mają kolor skóry – ocenił Peter Tiede, dziennikarz konserwatywnego „Bild”.

Göring-Eckardt przeprosiła i skasowała wpis.

Odwrotna historia przydarzyła się Borisowi Palmerowi, popularnemu burmistrzowi 90-tysięcznej Tybingi pod Stuttgartem. On swoich słów nie skasował. Przed pięcioma laty skomentował reklamę państwowej kolei Deutsche Bahn, gdzie na zdjęciu przedstawiającym Niemców uwidocznione były wyłącznie osoby z pochodzeniem imigranckim. Zapytał wtedy, „jakie społeczeństwo ma to odwzorowywać?” i z miejsca został oskarżony o szerzenie rasizmu. Za wypowiedź publicznie podziękowali mu politycy AfD.

– Tymczasem ja przecież nie napisałem, że chcę innego społeczeństwa – mówi Palmer, który od 18 lat wygrywa wybory w cu-

glach =. – To prawda, jesteśmy społeczeństwem różnorodnym, i to dobrze. Ale pochodzenie imigranckie ma tylko 25 proc. z nas, a pozostałe 75 proc. nie. Jeśli więc na plakacie nie można umieścić zdjęcia osoby białej, a takie jak ja i moi przodkowie żyją tutaj w Dolinie Rems od pięciuset lat, to znaczy, że ta reklama nie ma nic wspólnego z odzwierciedleniem przekroju społecznego.

Obojętni na kolor skóry

Palmer był prominentnym politykiem Zielonych. Do partii należał do ubiegłego roku, aż jego koledzy zdecydowali o wykluczeniu (ostatecznie sam zrezygnował z członkostwa). Poszło o jego wypowiedzi, dotyczące m.in. Afrykańczyków, o których mówił, że tylko oni zajmują się handlem narkotykami w parku w Tybindze, które podtrzymuje do dzisiaj („Nie widziałem tam innych dilerów niż czarnoskórych” – mówi). A także o to, że publicznie użył w debacie słowa „czarnuch”.

Jednocześnie Palmer mówi mi, że niemieckie społeczeństwo musi dojść do momentu, w którym będzie mu obojętne to, jaki kto ma kolor skóry. Gdy w ogóle przestanie się o tym rozmawiać.

Uważa jednak, że prawo jest zbyt pobłażliwe wobec migrantów w Niemczech, a za silki dla uchodźców za wysokie i zniechęcają ludzi do podjęcia pracy.

Przemilczanie tych problemów jego zdaniem nabija popularność radykałom zagrażającym demokracji. I to dlatego według niego młodzi zwrócili się ku AfD, która podczas eurowyborów odnotowała drugi wynik wśród najmłodszej grupy wyborców. Według niego spowodowały to coraz częściej pojawiające się wymuszenia grup imigrantów na szkolnych korytarzach.

– Tym młodym ludziom nie może pan powiedzieć, że migracja świetnie przebiega

stanie drożyć, a to przecież jedno z tych dań, które młodzi spożywają niemal codziennie.

Dzielnica Neukölln, o której Friedrich, mój rozmówca z Darmstadt, twierdził, że w sklepach czasem nie uświadczysz już Niemca, zamieszkała jest przez różnorodną społeczność, w tym tę arabskiego pochodzenia. Bejamin Jendro, rzecznik policyjnych związkowców w Berlinie mówi, że dla policjantów wiąże się to z wyzwaniem. Gdy Hamas 7 października ubiegłego roku zaatakował Izrael, zaczął mordować i porywać jego obywateli, 21 minut po opublikowaniu tej wiadomości na ulice Neukölln wyszli świętować ludzie.

– Niemal w każdym większym mieście w Niemczech istnieją środowiska ekstremistyczne. Do tego mamy demonstracje w związku z wojną w Ukrainie. To oznacza ogrom pracy w związku z zabezpieczaniem zgromadzeń, których w Berlinie jest rocznie ponad siedem tysięcy – mówi Jendro.

Dodaje, że do tego dochodzi ochrona ministerstw, instytucji państwowych. – Praca policji jest często determinowana przez polityków, którzy wyznaczają nam priorytety. Teraz są nimi ochrona państwa i walka ze zorganizowaną przestępczością. Przesunięcie priorytetów oznacza, że brakuje nam ludzi na inne zdania. Nie mamy ludzi do prewencji. Policjanci są przepracowani, chorują z tego powodu, nie wytrzymują obciążeń i dochodzą do granic swoich możliwości – mówi Jendro. Podkreśla, że jednym z powodów przybywającej pracy jest szybki wzrost ludności Berlina. W ciągu dekady przybyło 360 tys. nowych mieszkańców.

Przyznaje, że są rodzaje przestępstw, których wyjaśnienie z powodu braku ludzi jest niemal beznadziejną sprawą. Zaliczają się do nich kradzieże, zwłaszcza rowerów. Przeglądam policyjne statystyki za ubie-

Burmistrz Tybingi mówi, że niemieckie społeczeństwo musi dojść do momentu, w którym będzie mu obojętne to, jaki kto ma kolor skóry. Gdy w ogóle przestanie się o tym rozmawiać

i dlatego może przybyć do nas jeszcze więcej ludzi. Uczniowie, którzy doświadczyli tej przemocy, życzą sobie na to odpowiedzi. A do niedawna dawała ją tylko AfD – mówi Palmer.

Powszechny dostęp do kebaba

Jak odzyskać poparcie młodych, głowią się również Zieloni. W poprzednich wyborach, gdy ich wynik był powyżej 20 proc., młodzi najczęściej głosowali właśnie na tę partię. Ale teraz odwrócili się do AfD i CDU. Omid Nourpour, szef Zielonych, który w latach 80. sam musiał z rodziną uciekać z Iranu do Niemiec, mówi mi, że prawo azylowe nie zostanie zmienione. I że Zieloni nie zamierzają powstrzymywać napływu migrantów.

Szanse na odzyskanie młodego elektoratu widzi w zahamowaniu wzrostu cen i zagwarantowaniu młodym dostępu do tańszych mieszkań, ale też... kebaba. Oповіда, jak rok temu viralem stał się w niemieckim internecie postulat zahamowania cen Döner Kebaba (tzw. Dönerpreisbremse). O tym, że młodzi ludzie nagrywali filmiki do tego, na których śpiewali i tańczyli, domagając się Dönerpreisbremse. Nouripour twierdzi, że to dla młodych ważne. Pytam, czy na serio zamierza zadekretować zamrożenie cen kebaba w kraju i czy to w ogóle jest możliwe? Oczywiście, że zadekretować się nie da, odpowiada mi szef Zielonych i się uśmiecha. Ale, i tu już robi się zupełnie poważny, mówi, że zrobią wszystko, by ceny w Niemczech przestały rosnąć, bo dzięki temu döner prze-

gły rok – w ubiegłym roku z Berlina skradziono 28 tys. rowerów, tylko 4,5 proc. sprawców udało się złapać. Jendro mówi, że podobnie niski jest odsetek wykrytych kradzieży w sklepach, do których policja już praktycznie w ogóle nie jest wzywana. To właśnie kradzieże są prawdziwą plagą w stolicy Niemiec – w zeszłym roku było ich 226 tysięcy (wzrost o 6 proc.).

Udział sprawców z zagranicy w sumie wszystkich przestępstw jest znacznie wyższy (blisko 43 proc.), niż wynosi procentowo ludność Berlina (ok. 24 proc.).

– Przemoc nie jest zdeterminowana przez pochodzenie, ale przez szczególne okoliczności. Socjalizacja, doświadczenia z przemocą, lęki to tylko niektóre z nich, jak nieznanie środowisko, niepewna przyszłość i mało środków do przeżycia – tłumaczyła kilka miesięcy temu Iris Spranger z SPD, berlińska senator ds. wewnętrznych (odpowiednik szefa MSW).

Najwyższy wskaźnik obcokrajowców wśród sprawców w Berlinie to kieszonkowcy (91,1 proc. przypadków). Za włamania odpowiada w niemieckiej stolicy 64,4 proc. osób bez niemieckich paszportów. Jendro mówi, że to często bandy z Europy Wschodniej, m.in., Bułgarii, które stoją za kradzieżami.

A terroryzm? Przeglądam raport urzędu ochrony konstytucji, który wymienia salafistyczne organizacje. Za jedną z siedzib radykałów uznaje meczet Al-Nur w dzielnicy Neukölln. Do tego wymieniana organizacje działające w Berlinie: Hamas, Hizb-Allah,

Hizb Ut-Tahrir, które popierają lub stosują przemoc i terror. Ich łączną liczbę członków szacują na 470. Spoglądam w berlińskie statystyki, dotyczące przestępstw terrorystycznych: w zeszłym roku było ich 13 (wzrost o cztery).

Benjamin Jendro przestrzega, by nie wyciągać pochopnych wniosków. – Jesteśmy jedną z bezpieczniejszych metropolii na świecie. W ubiegłym roku mieliśmy 77 przypadków zabójstw, większość z nich dotyczyła awantur domowych – mówi Jendro.

Krytyczny wobec sposobu radzenia sobie z imigracją Boris Palmer mówi mi podobnie: – Nie jest tak, że Niemcy stały się jakimś bardzo niebezpiecznym krajem. Mamy wprawdzie codziennie przypadki zabójstwa czy gwałtu w niemieckim mieście, ale w jednym, a nie w każdym. Musimy otwarcie mówić o problemach z migracją, jednak zachowując proporcje tego, co się dzieje.

Kibicowałbym obu drużynom

Liane Bley z Pforzheim: – Jesteśmy w okresie społecznej transformacji i ona będzie jeszcze trochę trwać. My, Niemcy, zawsze chcemy rozwiązać wszystkie problemy najlepiej jak to możliwe. Teraz stawiamy sobie pytanie, jak to zrobić w oparciu o nasze zasady i wartości demokratyczne. Będziemy musieli znaleźć kompromis, a to zajmie trochę czasu.

Niemcy dyskutują wciąż o popełnionych błędach podczas przyjazdu tureckich gasterbeiterów, o kraju przed dekadami. To, że wielu mieszkańców zdołało się zasymilować, widać było gołym okiem podczas tegorocznych mistrzostw piłkarskich, gdy ulica świętowała sukcesy niemieckiej reprezentacji.

W fazie grupowej, gdy niespodziewanie w doliczonym czasie gry Niemcy strzeliły

wyrównującego gola na 1:1 ze Szwajcarią, na ulice Pforzheim wyszły tłumy młodych ludzi z flagami Niemiec. Na ulicach pojawiło się Autokorso – karawany trąbiących samochodów udekorowanych w narodowe barwy. Wielu z nich miało pochodzenie imigranckie.

Podobnie było, gdy sukcesy świętowała Turcja. W berlińskiej fanzonie przed Reichstagiem wybuchła euforia, gdy Turcja w samej końcówce meczu strzeliła Czechom gola na 2:1 i awansowała do 1/8 finału. Turcy, z którymi rozmawiałem, zgodnie mówili, że cieszyliby się tak samo, gdyby to Niemcy wygrały. – A co gdyby Turcja grała z Niemcami? – zapytałem 20-letniego Dileka, owiniętego w czerwoną flagę z białym półksiężycem.

– Kibicowałbym obu drużynom – twierdzi. Mówi, że łączy w życiu wartości z obydwu kultur. Na dowód pokazuje mi tatuaż na swoim przedramieniu z cytatem z Atatürka, twórcy nowoczesnej republiki tureckiej. Mówi o tym, że Turcy całego świata powinni się jednoczyć i zakopać podziały.

– A jakie przesłanie wziąłbyś z Niemiec? – pytam.

Dilek zastanawia się chwilę: – Że lepszy wygrywa. ●

Na Wyborcza.pl/swiat również rozmowy Michała Kokota z czołowymi politykami niemieckimi: Omidem Nouripourem – liderem niemieckich Zielonych, Dirkiem Wiese – wiceprzewodniczącym frakcji SPD w Bundestagu oraz cały wywiad z Borisem Palmerem – burmistrzem Tybingi.

Tomasz Ulanowski

Dla 10 proc. najbardziej inteligentnych z nas 90 proc. ludzi to głupcy. A dla procentu najinteligentniejszych beznadziejnie głupia jest niemal cała ludzkość (co większość myśli o mniejszości, też z grubsza wiadomo: nic dobrego!).

Nic na to nie poradzimy. Rządzi tym prawo natury nazywane rozkładem normalnym, krzywą Gaussa albo krzywą dzwonową.

Skąd ta nazwa? Prawdopodobieństwo rozkładu każdej cechy w populacji można narysować krzywą przypominającą dzwon. W przypadku ilorazu inteligencji (IQ) po lewej stronie znajdzie się mniejszość najmniej inteligentnych, w środku zdecydowana większość średniaków, a po prawej mniejszość najbardziej inteligentnych.

Podobnie jest w przypadku innych cech – choćby zdrowia psychicznego. Niewielu z nas jest zupełnie normalnych, dlatego to słowo jest w tym wypadku mocno mylące – w końcu norma dotyczy większości. Ta większość ma jakieś niewielkie zaburzenia neurologiczne, najczęściej niezdiagnozowane wychylenia ku prawej stronie spektrum – to ci naprawdę normalni. A zdecydowana mniejszość ludzi to kompletni, jak byśmy kiedyś powiedzieli, wariaci. Nic dziwnego, że tych ostatnich jest wielu wśród ludzi wybitnie inteligentnych. I jedna, i druga grupa znajduje się na tej samej krawędzi rozkładu normalnego.

Ale podobnie jest z mniej kontrowersyjnymi cechami, choćby ze wzrostem. U najniższych ludzi świata, czyli żyjących w Kongu Pigmejów Mbuti, kobiety mają 136 cm wzrostu, a mężczyźni 144 cm. Średnio, bo oczywiście zdarzają się wśród nich niżsi i wyżsi. Z kolei u najwyższych ludzi świata, czyli mieszkańców nomen omen Niderlandów, kobiety dorastają średnio do 171 cm, a mężczyźni – 184. W obu grupach etnicznych dwie trzecie populacji mieści się w granicach kilku centymetrów od średniej i stanowi normę.

Z kolei na tle całej ludzkości Mbuti i Holendrzy to ekstrema – zajmują przeciwne krawędzie rozkładu normalnego.

Skąd te różnice?

• Częściowo odpowiadają za nie tzw. różnice środowiskowe. Pod tym hasłem biolodzy chowają wszystko to, co przytrafia się nam w życiu poza naszym wyjątkowym DNA: m.in. wychowanie, znajomości, miejsce i czasy, w którym żyjemy, ekspozycję na różne związki chemiczne (także w łonie matki), przeżyte wypadki, dietę, w tym bogatą w nabiał dietę Holendrów. Inaczej mówiąc: rozkołysany świat, w którym przyszło nam żyć.

Są to jednak różnice tak chaotyczne i trudno uchwytne, że ich pomierzenie wciąż przekracza mędrca szkiełko i oko. Wsiądzemy do pociągu albo nie – i nasze życie może potoczyć się zupełnie inaczej. Poza tym, choć wielu sta-romodnych psychologów upiera



FOT. NICOLE J. JONES/SHUTTERSTOCK

INTELIGENTNI W POŁOWIE

**Uczniowie szkół społecznych i prywatnych mają odrobinę
inne warianty genów
niż uczniowie szkół państwowych**

się, że wychowanie czyni człowieka, wpływ czynników środowiskowych często jest przereklamowany (poza drastycznymi przypadkami w stylu wpadnięcia pod pociąg, które, znowu, układają się na skraj rozkładu normalnego). Przereklamowany relatywnie, czyli względem komponentu genetycznego.

Wiemy o tym dzięki coraz mocniej rozkręcającym się porównawczym badaniom DNA. Kiedyś przeprowadzano je przede wszystkim na niemal identycznych genetycznie bliźniętach jednojajowych – m.in. sprawdzając, jak potoczyły się losy bliźniąt wychowanych w różnych rodzinach. Dziś naukowcy zaglądają w tym celu do jąder komórek i porównują bezpośrednio DNA, szukając tzw. snipów, czyli różnic w pojedynczych nukleotydach, od których zależą wersje (mutacje) tych samych genów.

Badania te pokazały, że każda z ludzkich cech – których rozkład normalny w populacji, powtórzmy, można zakreślić krzywą dzwonową – ma swój znaczący fundament genetyczny. Przykładowo geny odpowiadają za 80 proc. zmienności wzrostu i aż za 95 proc. zmienności koloru oczu.

Ale dziedziczymy nie tylko cechy fizyczne. Na przykład osiągnięcia edukacyjne zależą od genów w 60 proc., osobowość w 40 proc. A inteligencja – w 50 proc.

Co ciekawe, wraz z wiekiem wpływ DNA na nasze życie zyskuje jeszcze bardziej na znaczeniu – zauważa w książce „Matryca. Jak DNA programuje nasze życie” prof. Robert Plomin, psycholog i genetyk behawioralny z College'u Królewskiego w Londynie. Być może właśnie dlatego z czasem żony coraz bardziej przypo-

minają teściowe, a mężowie teściów?

Dodatkowo cechy wyglądu czy zachowania są zazwyczaj kształtowane przez więcej niż jeden gen. I to dużo więcej niż jeden. Naukowcy zidentyfikowali dotąd kilkanaście tysięcy genów odpowiadających za sam wzrost – a najpewniej jest ich jeszcze więcej. I odwrotnie: jeden gen wpływa na wiele cech.

Mało tego, prof. Plomin podkreśla, że większość zmian genetycznych związanych z zachowaniem odkryto dotąd w tzw. niekodujących regionach ludzkiego genomu, stanowiących aż 98 proc. naszego DNA. A więc nie w samych genach, ale okolo-genowych instrukcjach odpowiadających m.in. za ekspresję genów – ich włączanie, podkreślanie oraz wygłuszanie i wyłączanie.

Co z tego wynika?

• Kiedy mówimy, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi, zaklinamy rzeczywistość. Nie rodzimy się tacy sami i równi. Rodzimy się różni. Statystycznie rzecz biorąc, każdego z nas różni od drugiego człowieka ledwie promil DNA. Ale jest to promil krytyczny, który czyni nas osobnymi bytami. Osobami.

Nie mamy też żadnego wpływu na własny DNA – będący unikalnym zapisem nutowym naszego wyjątkowego życia. W ograniczonym zakresie mają nań wpływ nasi rodzice, którzy dobierają się w taką parę, a nie w inną, a potem ze swoich własnych genów nieświadomie „lepia” nas.

Genetyczna ruletka nie jest zresztą jedyną, w którą bezwolnie gramy od urodzenia (czy też poczęcia). Podobnie skazani na ślepy los jesteśmy w sprawie statusu społeczno-ekonomicznego rodziny, w której przychodzimy na świat. Na jednych od dziecka kapie złoto, inni rodzą się w stajence. I nie jest to przecież nasz wybór. Nawet w grze w kości bylibyśmy bardziej sprawczy. Bo przecież to my tymi kośćmi byśmy rzucali.

Jak w książce „The Genetic Lottery. Why DNA Matters for Social Equality” („Genetyczna loteria. Dlaczego DNA jest ważny dla równości społecznej”) podkreśla prof. Kathryn Paige Harden, psycholożka i genetyczka behawioralna z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin, „życie w oczywisty sposób jest niesprawiedliwe”. Czy też – jeśli już koniecznie chcemy ślepy los wartościować; ale czemu nie, w końcu w grze społecznej, jaką jest życie, wszystko ma wartość realną lub tę przez nas nadaną – od początku mamy albo szczęście, albo pecha. Rodzimy się w czepku, bez niego, a bywa, że w jeszcze gorszym stanie.

Choć ci, którym w życiu się udało, nie lubią o tym słuchać. W końcu uważają, że nie tyle trafiło się ślepej kurze ziarno, co sami na wszystko zapracowali. Co z kolei prowadzi do kolejnego pytania: Jak mamy sobie z tą nierównością i różnorodnością społeczną radzić?

• W sprawie przepaści ekonomicznej sprawa jest w miarę jasna – należy ją zasypywać i wyrównywać metodami fiskalnymi, redystrybucyjnymi oraz wysoką jakością dostępnych dla wszystkich usług publicznych. Choćby dlatego, że w bardziej równościowych społeczeństwach wszystkim żyje się lepiej – takimi wspólnotami targa mniej napięć, agresji i przemocy. Kto w to nie wierzy, niech odwiedzi bogatą, równościową Danię i bogate Stany Zjednoczone, w których panuje społeczno-gospodarcza wolnoamerykanka.

Z natury nie lubimy zresztą przesadnego rozwarstwienia. Wyewoluowaliśmy w relatywne równościowych wspólnotach zbieracko-łowickich. W trwającej blisko 315 tys. lat ewolucji gatunku *Homo sapiens* dłużej żyliśmy w prostych, ledwie 50-osobowych nomadycznych „wioskach” (w których wszyscy zajmowali się tym samym – zdobywaniem pożywienia) niż w skomplikowanych, hierarchicznie rozwarstwionych społecznościach wielomilionowych aglomeracji, w któ-



rych jedni czyszczą buty, a drudzy je noszą.

Dobra edukacja to znacznie twardszy orzech do zgryzienia.

Zasadniczo polskie szkoły dzielą się na dwa typy – państwowe i społeczno-prywatne. Te drugie stanowią mniejszość i – jak za- uważa prof. Plomin, opierając się na przykładzie szkół brytyjskich – zazwyczaj są dobre nie dlatego, że oferują lepsze wykształcenie od szkół państwowych. Po prostu zbierają dzieci i młodzież o więk- szych zdolnościach. A delikatnie zróżnicowany DNA, przypomnij- my, odpowiada aż za 60 proc. po- pulacyjnej zmienności w osią-gnięciach edukacyjnych.

Badania genetyczne pokazu- ją, że uczniowie szkół społecz- no-prywatnych, w których przed przyjęciem selekcjonuje się dzie- ci i młodzież, mają odrobinę in- ne warianty genów odpowiedzial- nych za zdolności edukacyjne niż uczniowie szkół nieselektywnych, czyli państwowych. Niestety, ze szkołami państwowymi jest jesz- cze gorsza sprawa. Wciąż funk- cjonują w pruskim modelu, który miał kształcić przyszłych robotni- ków XIX-wiecznych fabryk.

Co to oznacza w praktyce – po- za wtłaczaniem dzieci w ławki, dzwonki, pruski dryl, bezwzględ- ne posłuszeństwo i kompendium „niezbędnej” wiedzy? Oznacza to, że każde dziecko – niezależnie od swojego potencjału genetycznego – ma otrzymać od szkoły to samo.

Pomyślmy. Co dzieje się z ludź- mi – i innymi zwierzętami, ale one mają to szczęście, że nie mu- szą chodzić do prusko-polskiej szkoły – jeśli wrzuca się ich do te- go samego kotła? Jakie różnice stają się najważniejsze pomiędzy organizmami bytującymi w iden- tycznym środowisku? Oczywiście, są to różnice genetyczne.

Jaki z tego wniosek? Ano ta- ki, że równa, identyczna edukacja powszechna nie ma sensu. Bo za- miast niwelować nierówności po- między ludźmi, jeszcze je pogłę- bia. Mimo to wciąż istnieje i za- truwa życie kolejnym pokole- niom. Bo edukacja jest dziedzina najwolniej przyswajającą zdoby- cze badań genetycznych – sarka prof. Plomin.

• Być może przyswajając w końcu najnowszą wiedzę, powinniśmy więc postawić przed powszechną edukacją inne zadania:

- wyluskania brylantów, któ- re w przyszłości mogą pozwolić na dalszy, skokowy postęp cywilizacji;

Genetyczna ruletka kręci się już przed zapłodnieniem

- Dziewczynka rodzi się z blisko 2 mln niedojrzałych komórek jajo- wych. Przed menopauzą dojrzeje ledwie około 400 z nich.

- Mężczyzna w ciągu całego życia produkuje ponad 500 mld plemni- ków.

- Każda komórka jajowa i każdy plemnik to dzieło meiotycznego podziału redukcyjnego, w któ- rym rekombinacji podlegają pary chromosomów odziedziczone po rodzicach, a połowa spadku gene- tycznego przepada.

- Dlatego nasi przodkowie gene- alogiczni niekoniecznie są naszymi przodkami genetycznymi. Prawdę mówiąc: większość z nich nie jest.

- Każda para rodziców może teo- retycznie spłodzić 70 bln (tysięcy miliardów) różniących się genetycz- nie potomków.

- pomocy najmniej zdolnym;
- ale przede wszystkim wtło- czenia przeciętnej – normalnej! – większości w społeczne koleiny.

Przy okazji można by zlikwi- dować systemową dyskrymina- cję chłopców. Bo badania już nie- genetyczne i statystyka potwier- dzają indywidualne doświadcze- nia wielu z nas: szkoła faworyzuje dziewczynki, nagradzając je wyż- szymi stopniami za tę samą wie- dzę, za którą chłopcy dostają oce- ny niższe. Nie jest jasne, skąd ta nierówność – być może nauczy- cielki i nauczyciele nagradza- ją „grzeczne uczennice” i karzą „krnąbrnych uczniów”.

Paradoksalnie rzecz biorąc, naprawdę równościowa edu- kacja wymagałaby podejścia bar- dziej indywidualnego – do które- go w zatłoczonych polskich kla- sach niedoinwestowani pedago- dzy nie mają serca.

A być może, jak radzi uczony, szkoły powinny nie tylko uczyć podstaw wiedzy i umiejętności jej zdobywania, ale przede wszyst- kim powinny dawać przyjemność z uczenia się. Przykład? Niech dzieci czytają, co chcą, byleby tyl- ko nauczyły się czerpać radość z czytania. Narzucając im kanon lektur, tylko tę radość zabijamy. Albo przynajmniej nie pozwala- my jej się wykluć.

To tym groźniejsze, że – jak znowu pokazują badania DNA – koktajl genetyczny odpowie- dzialny za osiągnięcia w szko- le dobrze koreluje z późniejszy- mi zarobkami. Mówiąc po ludz- ku: ludzie lepiej wykształceni wię- ciej zarabiają (statystycznie rzecz biorąc, nie oznacza to, że tak mu- si być zawsze).

A z kolei ludzie bogatsi dłużej żyją (znowu: statystyka). Prof. Pa- ige Harden podaje dane dotyczą- ce mocno rozwarstwowionego spo- łeczeństwa amerykańskiego. Jak pisze, w USA najbogatsi żyją śred- nio o 15 lat dłużej niż najbiedniej- si – których oczekiwana długość życia jest równa tej w Sudanie czy Pakistanie. A dzieci dorastające w biednych rodzinach starzeją się szybciej od tych żyjących w rodzi- nach bogatych. Pokazują to tzw. markery epigenetyczne, a więc związane z ekspresją konkret- nych genów – bo nasz wiek biolo- giczny zależy przede wszystkim od epigenetyki, na którą ogromny wpływ ma środowisko, w którym żyjemy. Dlatego można być chro- nologicznie młodym biologicz- nym starcem i dziarskim siedem- dziesięcioletkiem.

Musimy jednak szczerze sobie powiedzieć, że choć potencjalnie

każdy człowiek może zostać no- blistą, to jednak nie każdy z nas może zostać noblistą w tym sa- mym czasie. Niektórym zajmie to lat kilkadziesiąt, innym na to osią-gnięcie nie wystarczy życia. I nic na to nie poradzimy.

Najlepszym nowoczesnym przykładem wpływu unikalnego DNA na życie jednostek jest inter- net – demokratyczna, tak samo otwarta dla wszystkich wirtualna przestrzeń, w której można zna- leźć niemal wszystko. Jedni dzie- ki internetowi się samodoskona- lą, inni zasilają szeregi zwolen- ników teorii spiskowych. I w wy- borach głosują na skrajne forma- cje polityczne.

• Jednak skoro z definicji głupia jest większość, to głupcami nie mogą być tylko wyborcy Konfe- deracji czy PiS (choć wielu z nas chce ich tak szufladkować). Skąd więc tak ogromne różnice w wy- borach poszczególnych ludzi? Skąd spory o te same fakty? Skąd opinie od Sasa do Lasa, a nawet „fakty alternatywne”?

Wszyscy głosujemy w zgo- dzie ze swoim charakterem czy też osobowością – w błyskotliwej rozmowie o kreatywności, prze- prowadzonej w Galerii Narodo- wej w Ottawie, elegancko tłuma- czy prof. Jordan Peterson, znie- nawidzony i kochany przez wie- lu kanadyjski psycholog ewolu- cyjny i kliniczny, który niebez- piecznie dla siebie stąpa po cien- kiej linii pomiędzy konserwą a postępem. A populacyjne róż- nice osobowościowe, jak pamię- tamy, są w 40 proc. kształtowane przez DNA.

Psycholodzy opisują je w mo- delu nazwanym Wielką Piątką, bo obejmującym pięć składowych.

1. Otwartość na doświad- czenie. Osoby otwarte nie boją się nowości. Działają na granicy i wychodzą poza nią. Są kreatyw- ne i często zostają artystami (bo sztuka, jak celnie punktuje prof. Peterson, to nie dekoracja, ale eksploracja). Ludzie mało otwar- ci i nieciekawi nieznanego zostają raczej księgowymi. Choć wyjątki się zdarzają i są nimi... kreatyw- ni księgowi.

2. Sumiennność. Jej niski po- ziom oznacza skakanie z kwiat- ka na kwiatek i robienie rzeczy na ostatnią chwilę. Sumiennność przy- daje się więc nie tylko księgowym, ale wszystkim tym, którzy mu- szą ciężko i długo pracować, że- by osiągnąć jakiś cel. Albo inaczej: osoby o dużym poziomie sumie- ności wybierają zawody wymaga-

jące systematyczności i pracy na okrągło. Np. zostają prawnikami.

3. Ugodowość. Jej wysoki po- ziom kłóliwym z zawodu praw- nikom oczywiście nie sprzyja – są więc z natury mało ugodowi. Lu- dzie ugodowi łatwo idą na kom- promisy. A bardzo ugodowi – ule- gają cudzym wpływom, co może przeszkadzać choćby w kierow- niu zespołem.

4. Neurotyczność. Jej wyso- ki poziom oznacza duże waha- nia nastroju i problemy z podej- mowaniem decyzji. Neurotyczne- go szefa nikomu nie życzymy. Le- piej, żeby przywódca miał niski poziom neurotyczności, a więc był stabilny emocjonalnie. Jak ro- botnik.

5. Ekstrawersja. Czy robotni- cy powinni być również ekstra- wertyczni? Najlepiej umiarkowa- nie. Nie powinni raczej być total- nymi introwertykami, skoro ma- ją współpracować z innymi ludź- mi. Z drugiej strony wysoki po- ziom ekstrawersji może sprawić, że będą gwiazdorzyć i sporo pary w pójdzie w gwizdek.

Możemy więc opisać wła- sną osobowość – stosowne testy bez trudu znajdziemy w inter- necie – zastanawiając się, w któ- rym miejscu spektrum każdego składnika Wielkiej Piątki w na- szym przypadku znalazł się su- wak ślepego losu. I znowu: więk- szość ludzi, czyli norma, nie mieści się wcale na skrajach tych spektrów.

Oznacza to – znowu zaczerp- nę z prof. Petersona (łatwiej by- łoby docenić to, co mówi, gdy- byśmy nie zasklepiali się w swo- ich intelektualnych bąbelkach) – że ludzie, którzy myślą i głosują inaczej niż my, nie muszą być od nas głupszy. Po prostu w inny spo- sób postrzegają rzeczywistość. To trudne do zaakceptowania, bo przecież rzeczywistość powinna być obiektywna. I jest, tyle że każ- demu z nas przyroda inaczej do- stroiła zmysły, a także mózg, któ- ry przekształca zmysłowe dozna- nia w uczucia. A to nasze zmysły i mózg filtrują dla nas obiektyw- ną rzeczywistość.

Zrozumienie wyborcy PiS- u czy Konfederacji może zatem być dla wyborcy KO, Trzeciej Dro- gi czy Lewicy równie trudne jak pojęcie, jak to jest być nietope- rzem. Różnimy się tak mocno, że dosłownie żyjemy w innych, równoległych rzeczywistościach (choć z zasady większość ludzi to konserwatyści, a postępowcy po- trzebują wyjątkowego zbiegu oko- liczności, żeby popchnąć świat do przodu).

■
*Wraz z wiekiem
wpływ DNA
na nasze życie zyskuje
jeszcze bardziej
na znaczeniu.
Być może właśnie
dlatego z czasem
żony coraz bardziej
przypominają
teściowe,
a mężowie teściów?*

■
*Z natury nie lubimy
przesadnego
rozwarstwienia.
Wyewoluowaliśmy
w relatywnie
równościowych
wspólnotach
zbieracko-łowieckich*



FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

60

• PROC.
W takim stopniu od genów zależą osiągnięcia edukacyjne. Osobowość – w 40 proc., inteligencja – w 50 proc

15

• LAT
O tyle dłużej żyją średnio najbogatsi w USA od najbiedniejszych – których oczekiwana długość życia jest równa tej w Sudanie czy Pakistanie

17

• PKT
Tyle wynosi statystyczna różnica IQ między osobami losowo wybranymi z populacji. Między najbliższymi krewnymi – rodzicami i dziećmi, rodzeństwem – 13 pkt

Czy więc żyjemy w dyktaturze własnych genów?

Tak, ale tylko do pewnego stopnia. Nie powinniśmy zapominać, że wpływ DNA na nasze życie jest nie tyle deterministyczny, ile probabilistyczny. Podane wyżej procenty wyrażają przecież prawdopodobieństwo tego, że każda z opisujących nas cech zrealizuje się w różnych rejonach rozkładu normalnego.

Nawet posiadanie pechowych wariantów genów BRCA1 i BRCA2 nie oznacza pewności zachorowania na raka piersi. Zwiększa ją z 12-procentowego prawdopodobieństwa w ogólnej populacji kobiet do ryzyka wynoszącego 45-85 proc. (mężczyźni też chorują na raka sutka, ale o wiele rzadziej). To dużo, ale wciąż daje sporo miejsca na marnewr.

Dobrze pokazuje to przykład wzrostu – w 80 proc. zależnego od genów. Ja i moi bracia znacznie przzerośliśmy naszych wspólnych rodziców, choć każdego z nas z każdym z nich łączy blisko 50 proc. wspólnego DNA. Po prostu dorastaliśmy w lepszych, bardziej sytych czasach. Lepiej jedliśmy, choroby zwalczaaliśmy lekami i dzięki temu nasze organizmy mogły dokonać większych inwestycji we wzrost.

Geny nie działają w próżni. Grają w koncercie ze wszystkimi instrumentami środowiska, w którym przychodzi nam żyć. Jak w zespole jazzowym. Wpływ DNA możemy sobie wyobrazić jako sekcję basową, a wpływ środowiska – jako trąbkę, saksofon i fortepian. Co więcej, w zależności od improwizacji sekcji środowiskowej perkusja i bas mogą być podkreślane albo wyciszane – to epigenetyczny wpływ środowiska na DNA. – Dziedziczenie cech nie opisuje więc tego, co jest, ale to, co może być – podkreśla prof. Robert Plomin.

W przypadku inteligencji różnica IQ pomiędzy losowo wybranymi z populacji osobami wynosi statystyczne 17 pkt. A różnica pomiędzy najbliższymi krewnymi (rodzicami i dziećmi, rodzeństwem) to średnio niewiele mniej, bo 13 pkt. Jak pisze uczony, daje nam to sporo szans na wspięcie się po drabinie hierarchii społecznej. Ale też oznacza ryzyko spadku o kilka szczebli niżej.

Jednocześnie, radzi prof. Plomin, łatwiej płynąć z nurtem własnego DNA niż przeciwko niemu. „Jeśli ci się nie udaje, spróbuj,

spróbuj jeszcze raz – żartował dawno temu amerykański komik W.C. Fields – ale potem daj sobie spokój. Nie ma co robić z siebie cholernego durnia”. W końcu, jak już przeszło dwie dekady temu wskazywał słynny psycholog prof. Steven Pinker, żaden człowiek nie rodzi się tabula rasa – białą kartą, na której można zapisać wszystko, czego dusza zapagnie.

Poza tym, choć wysoki IQ ma walor adaptacyjny – pozwala się lepiej dostosować do zmienności środowiska – to być może nadajemy mu zbyt dużą wartość kulturową (tym bardziej że większość z nas, ci normalni, to głupcy)? Podobnie sprawę widzi prof. Kathryn Paige Harden. – Dlaczego wyższy IQ ma być lepszy? – pyta uczona.

Tym bardziej że wysoka inteligencja wcale nie musi oznaczać mądrości utożsamianej z doświadczeniem, wiedzą, empatią i pewnego rodzaju wrażliwością społeczną (osobiście dodałbym jeszcze poczucie humoru). Szczególnie bardzo wysoka inteligencja, która może chodzić w parze nie tylko z szaleństwem, ale również z arogancją. Sam spotkałem ludzi mądrych, których inteligencja wyraźnie plasowała się po lewej stronie rozkładu normalnego. Spotkałem też absolutnych kretynów wśród osób z prawej strony „dzwonu”.

Wszystko to nie powinno nas jednak zniechęcać do dyskusji o różnicach genetycznych i o wynikających z nich konsekwencjach społecznych.

Prof. Paige Harden zauważa, że niechęć do przyznania, iż nasz losowy DNA jest ważny dla równości społecznej, bije po oczach zwłaszcza wśród akademików i innych intelektualistów. Myląc to, co jest, z tym, co ich zdaniem powinno być, postrzegają oni dyskusję o wpływie genów na nierówność jako rasistowską, klasistowską i bez mała eugeniczną.

A przecież chowanie głowy w piasek i zaprzeczanie faktom nigdy nie kończy się dobrze. I na pewno nie prowadzi do wzrostu równouprawnienia i sprawiedliwości społecznej. W końcu jak bez zrozumienia rzeczywistości mamy dopasować do niej systemy społeczne?

A dlaczego warto próbować? Bo choć to przede wszystkim biologią decyduje o tym, kim jesteśmy, to sama nikogo nie dyskryminuje. Jej jesteśmy doskonale obojętni. Czynnikiem dyskryminującym jest zawsze kultura i przyjmowane przez nią wartości. ●

Oświadczenie Stowarzyszenia Romów w Polsce

Bronimy pamięci Jerzego Ficowskiego

W związku z wywiadem zamieszczonym w dniu 05.07.2024 w „Gazecie Wyborczej”, w którym dr hab. Emilia Kledzik zarzuca Jerzemu Ficowskiemu, że opublikowane przez niego wiersze Papuszy to falsyfikaty, pragniemy wyrazić nasze jednoznaczne stanowisko w tej sprawie.

Czujemy moralny obowiązek bronić pamięci Jerzego Ficowskiego, autora przekładu, który już nie żyje i nie może bronić się sam. Uważamy, że przedstawione zarzuty są niesprawiedliwe i wymagają uwzględnienia odpowiedniego kontekstu historycznego.

Wkład Jerzego Ficowskiego

Odegrał on kluczową rolę w odkrywaniu i promowaniu twórczości Papuszy. Dzięki jego pracy świat poznał poezję Papuszy, która stała się fundamentem współczesnej literatury romskiej. Bez jego zaangażowania, talent Papuszy mógłby zostać niezauważony i zapomniany. Z wielkim oddaniem pracował nad tym, aby poezja Papuszy była dostępna dla szerszej publiczności, co przysłużyło się w dużym stopniu do popularyzacji kultury romskiej. Dzięki działalności popularyzatorskiej Jerzego Ficowskiego, Romowie w Polsce uniknęli brutalnych represji, jakie spotkały naszych pobratymców w innych krajach ówczesnego obozu sowieckiego.

Proces twórczy i język tłumaczenia

Warto podkreślić, że Ficowski dokonywał zmian w oryginalnych tekstach Papuszy, co można postrzegać jako adaptację, a nie falsyfikację. Jego celem było uczynienie poezji Papuszy bardziej dostępną dla szerszej publiczności. Takie działania są stosowane przez wielu badaczy literatury, którzy starają się przybliżyć twórczość różnych autorów szerszemu gronu odbiorców. W swojej pracy, zawsze kierował się szacunkiem do twórczości Papuszy i jej unikalnego stylu, podchodząc do tego z wielką wrażliwością, wyczuciem i zrozumieniem dla naszej kultury i tradycji.

Tłumaczenie poezji Papuszy wymagało wyjątkowego talentu. Jego praca nad przekładami była aktem miłości i szacunku do twórczości Papuszy, a także do całej kultury romskiej.

Kontekst historyczny

W tamtych czasach praktyki takie jak adaptacje były bardziej akceptowane. Porównanie do „Pieśni Osjana” wskazuje, że podobne działania miały miejsce w historii literatury.

Przykłady literackie takie jak „Hamlet” w przekładzie Wojciecha Bogusławskiego, „Dworzanin polski” Łukasza Górnickiego czy „Kubuś Puchatek” Ireny Tuwim pokazują, że takie adaptacje są powszechne i akceptowane. Podobnie jak „Ballady i romanse” Adama Mickiewicza pokazują, że adaptacja i redakcja tekstów literackich w celu ich lepszego zrozumienia przez czytelników jest praktyką stosowaną od wieków.

Przyjęte a priori założenie przez Emilię Kledzik, że intencją autora było fałszowanie oryginalnego przekazu Papuszy jest daleko posuniętą insynuacją i nie jest zgodne z prawdą.

Nie można bowiem z perspektywy ponad 70 lat wchodzić w buty tłumacza i przypisywać mu intencje, których tak naprawdę nie możemy znać. Jest to to nieuzasadnione i krzywdzące.

Falsyfikat jest tworzony z złej wierz, z intencją, aby kogoś oszukać, wprowadzić w błąd, zafałszować rzeczywistość. Nie można przypisać takich pobudek autorowi przekładów Papuszy.

Ważne jest, aby oceniać takie działania w kontekście historycznym, a nie z perspektywy współczesnych standardów.

Intencje Jerzego Ficowskiego

Jerzy Ficowski nie miał intencji fałszowania, lecz promowania unikalnej kultury romskiej poprzez poezję Papuszy. Jego praca była aktem miłości i szacunku do tej twórczości. Jak sam mówił: „Moim celem było pokazanie światu piękna poezji Papuszy, jej unikalnego głosu i ducha”.

Nie odnosimy się do jego wyborów osobistych ani do skomplikowanej sytuacji panującej w Polsce w okresie komunizmu. Odnosimy się tylko do jego zasług na rzecz społeczności romskiej. Zachęcamy do dalszych badań nad twórczością Papuszy, ale prosimy o szacunek dla pracy i dziedzictwa Jerzego Ficowskiego.

Jego twórczość jest ważna dla kolejnych pokoleń Romów oraz całej rzeszy romskich intelektualistów, którzy wychowali się na jego dziełach. Dorobek, który zostawił, choć nie wolny od błędów i nadinterpretacji, nie może zostać zdezaktualizowany i odrzucony. Jesteśmy wdzięczni za jego wkład i będziemy go bronić przed niesprawiedliwymi zarzutami. ●

Roman Kwiatkowski

Prezes Stowarzyszenia Romów w Polsce

Przedstawiam perspektywę pomówionych wykładowców UAM

WSZĘDZIE WIDZĄ
TYLKO BRUDNĄ BIELIZNĘ

Kobiety, które zarzucają mi przynależność do Konfederacji, najwyraźniej mają problem z odróżnieniem konfederatki od liberałki

Magdalena Czyż

Mój ojciec już w dzieciństwie skutecznie wpoił mi, że jestem równa chłopcom. Kiedy mama próbowała strofować mnie, że nie wypada, aby dziewczynka wchodziła na drzewa, albo ganiała się po podwórku z chłopakami, stawał zawsze w kontrze do niej, mówiąc przy mnie, że mam prawo robić wszystko, to co chłopcy, jeśli tylko mam taką ochotę. Nie jestem w stanie podać liczby bójek, które stoczyłam z moimi dwoma starszymi braćmi o to, jaki film będziemy oglądać na wideo, albo o to, kto zajmie dziś najwygodniejszy fotel przed telewizorem. Dzieciństwo pamiętam jako jedną, długą bitwę z braćmi. To ojciec uczył mnie zadawania ciosów braciom. Niestety, z żalem przyznaję, że z nie do końca satysfakcjonującym mnie skutkiem.

Być może to jest powód, dla którego, jak napisała Natalia Waloch w polemice po moim pierwszym tekście o sytuacji na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, nie biorę jeńców.

Skontaktowałam się z pomówionymi, przedstawiam – podkreślam to – poniżej ich perspektywę. Od razu zaznaczam, że nic nikomu nie zostało udowodnione. W dokumencie z Fundacji Czas Kobiet, która uważa, że pomaga tym kobietom, czytamy o sześciu wykładowcach i sześciu kobietach, które ich oskarżają o picie z nimi alkoholu, imprezowanie i uprawianie seksu. Nie wnoszą nigdzie żadnego oficjalnego oskarżenia. Prośby rektora uczelni o przekazanie dowodów, bo donos to nie dowód, pozostają bez odpowiedzi ze strony Fundacji i rzekomych ofiar.

Dwóch z tej szóstki miało, według tego donosu, relacje erotyczne ze studentkami. Zarzut wobec kolejnego dotyczy jednocześnie dowodów, bo donos to nie dowód, pozostają bez odpowiedzi ze strony Fundacji i rzekomych ofiar.

Dwóch z tej szóstki miało, według tego donosu, relacje erotyczne ze studentkami. Zarzut wobec kolejnego dotyczy jednocześnie dowodów, bo donos to nie dowód, pozostają bez odpowiedzi ze strony Fundacji i rzekomych ofiar.

nagie zdjęcie. Zdjęcia jako dowodu nie ma, nie wiadomo też, kto konkretnie oskarża tego wykładowcę o oglądanie czy też robienie tego zdjęcia.

Kolejny pomówiony jest o nieprawidłowe wydawanie pieniędzy uczelni na podróże pracowników uczelni, artystów. Ten zarzut wiąże się z barwnymi opowiadaniem rzekomych ofiar o tym, co ich ówczesni partnerzy, czyli ci wykładowcy, widzieli podczas podróży służbowych. Zarzut ten został już przez uczelnię sprawdzony i odrzucony. No i jeszcze taki, że podrywał dziewczyny na imprezach. Ale które dziewczyny, nie wiadomo. Mowa jest o jakiejś 17-latce, świeżej maturzystce, która miała pić alkohol przy nim. Tej rzekomej maturzystki nikt od siedmiu lat nie widział. Zatem dowodu też nie ma.

No i ostatni, mój ulubiony, dotyczy pomówionego o strzał ze stanika (jeden strzał) dziewczynnie w plecy ponad dwadzieścia lat temu, przed egzaminem. Ona, jak pisze w liście/donosie, do tej pory nie może się po tym pozierać. Ciągłe nie wie, co ma ze sobą zrobić.

Nieścisłości i przekłamania zaczynają się od problemu stosunku zależności. Otóż w żadnym z tych dwóch przypadków dłuższych romansów stosunek zależności nie istniał, i to jest sprawdzalne.

Ale to nie wszystko. Natalia Waloch w polemice ze mną pisze: „W rzeczywistości skargi, które dotyczą profesorów Uniwersytetu Artystycznego, mówią o oblaściu, licznych niechcianych seksualnych aluzjach, a nawet próbach dyskredytowania byłych kochanek jako stalkerek (kobieta wygrała sprawę w sądzie z byłym wykładowcą, sąd nie dopatrzył się stalkingu w tym, że chciała od niego odebrać swoje rzeczy po tym, jak zerwali)”. To jedyny konkretny użyty jako argument w tekście Natalii Waloch. W rzeczywistości, i to też jest sprawdzalne, on nie był jej wykładowcą. Był wówczas zwykłym doktorantem. Ona była pracownicą uczelni. I jeśli istniał stosunek zależności, to należy mówić o tym stosunku w drugą stronę.

Po drugie, ta kobieta sama przyznała się przed policją do złośliwego niepokojenia jego i jego narzeczonej. Gdy sąd wydał jej wyrok nakazowy w postaci grzywny za złośliwe niepokojenie, ona odwołała się od niego. Jakkolwiek sąd ostatecznie uznał, że nie można przypisać jej winy i sprawstwa w zakresie zarzucanego jej wykroczenia, to jednak takie rozstrzygnięcie nie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że bezprawne zachowanie z jej strony nie miały miejsca. Te złośliwe działania to głównie oczernianie go w środowisku i próby uniemożliwienia mu pracy jako artysty. I to jest sprawdzalne.

Złośliwe niepokojenie, czyli próba odebrania swoich rzeczy przez tę kobietę, mia-

ła miejsce w środku nocy, nad ranem właściwie. W sądzie kobieta tłumaczyła się pokretnie, że przyszła o tej porze i dobijała się do jego drzwi przez prawie godzinę, bo myślała, że tak może. Te zeznania też są sprawdzalne.

Dziennikarka „Newsweeka” opisująca tę sprawę miała znać te fakty, ponieważ narzeczona tego pomówionego poprosiła o kontakt, aby przedstawić swoją perspektywę. Dziennikarka ją wysłuchała, ale poszczególne fragmenty kwitowała np. stwierdzeniem „Znam mechanizmy obrończyń oprawców”. Co dziewczyna odebrała jako sugestię, że jej narzeczony jest podstępny manipulatorem, a ona sama może nawet nie wiedzieć, że jest jego ofiarą... Dziennikarka miała zresztą przyznać, że zadzwoniła do niej, bo myślała, że także jest ofiarą panów z UAP – jest ofiarą, ale nie tej strony, której narracją redaktorka była zainteresowana.

Zastanawiam się, co trzeba mieć w głowie i w sercu, żeby dziewczynie, która jest na etapie wyboru sukni ślubnej, sugerować, że jest zmanipulowaną ofiarą swojego przyszłego męża?

No i jeszcze jest w tym przypadku problem zarzutu o zarażanie kobiet przez tego oskarżonego wirusem HPV. Zrobił wszystkie możliwe testy, wszystkie wyszły negatywne. Fałszywe oskarżenia tego typu są nie tylko wstrętne. Są również karalne. I nie piszę tego, żeby kogokolwiek straszyc, piszę to, bo to fakt! Być może tym rzekomym ofiarom ktoś źle doradza i wypycha je w kłopoty? Nie wiem tego. Wiem jedynie, że nie rozumiem tego rodzaju działań ze strony „obrończyń” z Fundacji Czas Kobiet.

Fundacja ta od lat współpracuje z UAP. Justyna Ryczek, pełnomocniczka rektora ds. równego traktowania w UAP, w odpowiedzi na moje pytanie o tę sprawę napisała mi: „Z fundacją „Czas Kobiet” współpracowałam od kilku lat, zatem ze zdziwieniem przyjąłam przygotowane pismo. Tym bardziej że właśnie w tym czasie kilkakrotnie byłam w siedzibie Fundacji i nikt nie poinformował mnie o nim ani o opisywanych w nim sytuacjach. Taka rozmowa pozwolilaby podjąć odpowiednie działania mające na celu wyjaśnienie zarzucanych spraw”.

Ale wszystko to, co powyżej, to mały pikus. Pojawia się bowiem słowo: „narkotyki”, a przy tym słowie żarty się kończą. Rektor UAP przekazał sprawę prokuraturze. Taki jest obowiązek każdego obywatela, gdy dowie się o możliwości popełnienia przestępstwa. Prokuratura rozpoczęła działania. Zastanawiam się, czy „obrończynie” dobrze to przemyślały, bo z donosu wynika, że rzekome ofiary wiedziały o narkotykach od siedmiu lat i... nie powiedziały. Nie powiadomiły organów ścigania. To, zdaje się, podpada pod ten sam paragraf, z którego Roman Giertych zamierza wsadzić do więzienia Jarosława Kaczyńskiego.

Marta Danielewicz, autorka serii tekstów w „Wyborczej” o donosach dotyczących sytuacji na UAP, zaczęła polemikę ze mną od informacji, że zadzwoniła do niej po lekturze mojego pierwszego tekstu roztrzęsiona, jedna z rzekomych ofiar. Mam dla niej, jej koleżanek i obrończyń, złą informację: dopiero teraz macie podstawy do roztrzęsienia.

Dlatego, na przyszłość, bardzo proszę wszystkie siostry i samozwańcze obroń-

czynie ofiar samczej agresji: jeśli ja kiedykolwiek zostanę taką ofiarą, to błagam, nie pomagajcie mi!

Dla prawdziwego dobra rzekomych ofiar i wszystkich zaangażowanych w tę kuriozalną sprawę najlepiej będzie, jeśli zostanie na nią spuszczone zasłona milczenia. I wszyscy spróbują o tym zapomnieć. Może da się to jeszcze wyciszyć. Chociaż szczerze wątpię, bo oskarżeni już zaczęli odczuwać działania tzw. cancel culture, czyli kultury linczu. Ich prawnicy już zapo- wiadają pozwy w tych sprawach.

Nie mam już wątpliwości, że sprawa studentek z UAP położy się długim cieniem na ruchu #MeToo w Polsce. I teraz przyglądając się wszystkiemu, co powyżej, i fali hejtu wylanej na mnie, a głównie odnoszącej się do opisanego przeze mnie mojego romansu sprzed lat z profesorem, zastanawiam się, w którą stronę zmierza ruch feministyczny w Polsce.

Zarzuca mi się przynależność do Konfederacji i próbuje się mnie w ten sposób zasufladkować. Te, które to robią, najwyraźniej mają problem z odróżnieniem konfederatki od liberałki. Za tą ostatnią stoi liberalizm, który w skrócie sprowadza się do zdania, że jedyną granicą mojej wolności jest wolność drugiego człowieka. Za konfederatką stoi faszyzm, który mówi: damy ci tyle wolności, ile my uznamy, że jest dla ciebie dobre. Możesz jeździć szybko i bez pasów, ale nie wolno ci usuwać ciąży. Nawet tej z gwałtu.

Kwazifeministki (używam przedrostków kwazi i neo w konkretnym celu; jak mawia moja mama: inteligentny się domyśli, a głupiemu i tak się nie wytłumaczy) idą dalej, wchodzi w intymne życie ludzi głębiej i mówią: możesz usuwać ciążę, kiedy chcesz, ale nie wolno ci romansować z wykładowcami. Nie wolno ci też romansować ze współpracownikami w firmie. Jak pisze Natalia Waloch z aprobatą, „nie bez kozery wiele firm niechętnie patrzy na romanse pracowników, a jeszcze więcej zakazuje seksualnych relacji szefów z podwładnymi”.

Nie wolno ci chodzić bez stanika i epatować swoim biustem, bo nie wolno w ten sposób przyciągać męskiej uwagi, męską uwagę możesz przyciągać tylko w sposób, który my wyznaczamy (vide sprawa zdjęcia białoruskiej opozycjonistki walczącej o swój kraj). Nie wolno śmiać się ze sprośnych żartów, bo my decydujemy, który żart jest śmieszny, a który nie. Nie wolno ci nosić szpilek, bo my zdecydowałyśmy, że to symbol męskiego ucisku kobiet. Nie wolno ci przyjmować komplementów, bo my ogłosiłyśmy, że to forma męskiej manipulacji kobietą. Przykłady tego typu myślenia mogłabym podawać jeszcze długo. Komu tu bliżej do konfederackiego faszysmu? Tak jakby kwazifeministki zupełnie nie przyjmowały do wiadomości, że żart, który jedno kobiety będzie oburzał, inne będzie śmieszył. Nie wszystkie kobiety godzą się, aby za te żarty facetów od razu kopać po...

Oczywiście, że istnieje problem zależności i nadużywania władzy przełożonych nad podwładnymi, ale oprócz nadużyć istnieją jeszcze normalne relacje damsko – męskie! Tymczasem kwazifeministki zachowują się jak praczki, które wszędzie widzą tylko brudną bieliznę. Czy jedynym rozwiązaniem problemu zależności jest

Kwazifeministki wchodzą w intymne życie ludzi głębiej i mówią: możesz usuwać ciążę, kiedy chcesz, ale nie wolno ci romansować z wykładowcami

wylewanie dziecka z kąpielą i zakazywaniem tych relacji? Tym samym zmuszanie dorosłych przeciw ludzi do odgrywania współczesnej wersji „Szkarlatnej litery”?

Czy to normalne, że tworzy się ludziom sytuację, w której jeśli się w sobie zakochają, albo chociaż pojawi się jakaś wzajemna fascynacja, muszą się przed wszystkimi współpracownikami ukrywać z obawy, że jedno będzie zmuszone zmienić pracę? Bo zakaz tych relacji wiąże się z takimi konsekwencjami.

Na argument, że ewentualny „rozwód kochanków” popsuje atmosferę w firmie i dlatego pracodawcy nie chcą brać takiego ryzyka na siebie, mam kontrargument: bankructwo też popsuje atmosferę w firmie, a jednak każdy pracodawca bierze to ryzyko na siebie. Wzajemne relacje, nawet erotyczne są jednym z wielu ryzyk, które bierze na siebie każdy, kto buduje firmę. Pod oczywistym warunkiem, że nie wiążą się one ze zmuszaniem kogokolwiek do tego.

Kwazifeministki rzuciły mi się do gardła za to, że w nieuczciwy sposób zdobyłam dobrą ocenę z zaliczanego przedmiotu i jeszcze się tym chwale. Zastanawiam się, jak to jest, że w kraju, w którym psa z kulawą nogą nie interesuje problem plagiatów na uczelniach, w kraju, w którym afera „humanum tumanum” trwała może z półtora dnia, taki szum robi wyznanie jednej kobiety, że dostała fory na jednym z kilkadziesiątu egzaminów podczas studiów? Jak zauważył jeden z redakcyjnych kolegów: „Kto tym hejterkom uwierzy, że chodzi o te fory, a nie o tego profesora?”. To wystarczający komentarz do tego dzikiego ataku przypuszczonego na mnie.

Alę zmierzam do czego innego: jak to jest, że taka fala pretensji wylała się na mnie z powodu mojej nieuczciwości, ale te same kwazifeministki siedziały cichutko, gdy Monika Strzępka, jedna z twarzy polskiego kwazifeminizmu, zdobywała fotel dyrektora Teatru Dramatycznego w mocno dyskusyjny i problematyczny sposób, dla wielu obserwatorów w nie do końca przejrzystym konkursie? Z sympatii dla ratusza nie będę kontynuować tego wątku. Dorzucę tylko, że Tadeusz Słobodzianek, który został wtedy celowo upokorzony jako rasowy przedstawiciel dziadocenu, dziś pracuje nad premierą swojej sztuki na Broadwayu, a gdzie dziś jest Monika Strzępka?

Zapytam tylko przy okazji ministrę kultury, czy polską kulturę stać na zsyłanie na banicję tak wybitnego artysty w imię wykoślawionego feminizmu?

Przez ostatnie dwadzieścia wieków mężczyźni wbili nam w serce wielką zadrę sposobem, w jaki urządzili świat, i nas w nim traktowali. I ta zadra ciągle w nas siedzi.

Kiedyś na pierwszej randce przyjaciel wyznał mi, że mężczyzna na pierwszej randce najbardziej boi się, że zostanie przez kobietę wyśmiany. Odpowiedziałam mu, że kobieta na pierwszej randce najbardziej boi się, że zostanie zgwałcona i zamordowana. To pokazuje różnicę w poczuciu bezpieczeństwa w relacjach kobiet i mężczyzn. Potrzeba bezpieczeństwa to najbardziej elementarna z ludzkich potrzeb. Od poziomu jej zaspokojenia zależy postrzeganie otaczającej nas rzeczywistości i relacji międzyludzkich. Myślę, że wszystkie się co do tego zgodzimy.

Nie wiem tylko, czy wszystkie zgodzimy się co do metody budowania właściwych relacji pomiędzy kobietami a mężczyznami i tym samym co do metody budowania neofeminizmu. Czy wybierzemy metodę permanentnej zemsty i rewanżyzmu, którą bardzo precyzyjnie opisała Masza Potocka w swojej książeczce, czy też wybierzemy budowę feminizmu nie przez kłamstwo i manipulację, nie przez rewanż, tylko przez powolny, trudny proces rekonyliacji z mężczyznami. Który oczywiście będzie miał swoją cenę, będzie miał swoje dramatyczne zakręty, ale który po latach będziemy mogli ocenić jako nasz, feministek sukces. ●

W obronie kobiet przeciwko kobietom

Jestem dumna z tego, że Magdalena Czyż w swoim tekście (Wolna Sobota z 29 czerwca - red.) zaliczyła mnie do wspólnego klubu. Nawet bardziej dumna z tego, że znalazłam się w tym gronie niż z faktu, że cytowała moją książkę. Klub pod nazwą „Czyż” to miejsce dla kobiety niezależnej, pewnej siebie, nie grającej „na mężczyznę”, szukającej przyjemności w seksie, a w życiu podejmującej działania, które przynoszą korzyść innym.

Do leż rozbawiła mnie natchniona moralnością uwaga, że Magda prześpała się z wykładowcą dla dobrej noty w indeksie. Osoba, która to zasugerowała nie dopuściła do siebie myśli, że z profesorem można się przespać dla przyjemności. I to jakiej! Podwójnej, bo fizycznej i intelektualnej.

Wiele kobiet – dramat cywilizacyjny – nadal uważa seks za transakcję, niekoniecznie pieniężną. Wiele studentek oddaje się na „miękkko” – lekkie

odkrycie ciała, gest, poza, minka, wymowne spojrzenia, mimowolny dotyk. Takie zachowania są powszechne i przy dobrym aktorstwie przynoszą skutek. Ale jest to skutek na tróję, a nigdy na piątkę. Nie nazywa się tego prostytucją, chociaż w wykonaniu mężczyzny część z tych zachowań podpada już pod molestowanie.

To tytułem luźnego wstępu. Tekst Magdaleny Czyż dotyczy „donosów” byłych studentek – i to czego: Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu – na swoich wykładowców, z którymi piły, paliły marihuanę, całowały się i nawet sypiały. Jednak cały czas były według nich wykorzystywane, bo nie bardzo rozumiały o co chodzi, albo raczej myślały, że chodzi o coś innego. Ich nadzieję się nie spełniły i stąd rozgoryczenie. Ale o co im chodziło? Nie dostały lepszej noty, nie skontaktowano ich z galeriami, nie poznano z wybitnymi artystami? Za tą spóź-

nioną aferą stoi odwet wynikający z faktu, że to, co z nimi „robiono” nie zostało odpowiednio wynagrodzone. A więc od samego początku były to transakcje?

W imieniu godności kobiet protestuję przeciwko dorosłym kobietom, które udają nieświadome istotki, dające się upijać, oszalać i deprawować, a potem, po paru latach uświadamiające sobie co się stało i w odwecie próbujące zniszczyć życie mężczyznom, którzy niedostatecznie się nimi zachwycili. Przecież postępowanie tych kobiet obraża uczciwie myślące feministki! Po dwóch tysiącach lat uwolniłyśmy się od traktowania nas jak niemyślące istotki, za które myśli mąż. I znowu chcemy być za takie uważane? ●

Anna Maria Potocka,
dyrektorka Muzeów Sztuki
Współczesnej w Krakowie MOCAK
i „Bunkier Sztuki”

Dyscyplinowanie kobiet trwa

W Polsce nie mieliśmy rewolucji seksualnej, która uwolniłaby możliwość zadawania pytań, czy promowanie myślenia bardziej przyjaznego ciału. Właściwie cała transformacja jest okresem « prześnionej » wojny o ciało, która kręci się wokół nawrotu religijnego fundamentalizmu i zakazu prawa do aborcji, który również jest formą karania kobiet za ich seksualność.

Włoska feministyczna historyczka Sylvia Federici dowodzi, że przymoc wobec kobiet i szerzej przymoc ze względu na płeć pojawiła się w epoce nowożytnej nie przypadkiem, a celowo.

Duży przypływ kapitału wymusza nową społeczną strukturę: kobiety znikają z przestrzeni życia publicznego, choć jeszcze w średniowieczu pełniły ważne funkcje w cechach rzemieślniczych czy zawodach medycznych. Procesy czarownic jako spektakl tortur zadawanych kobiecie seksualności ma zdyscyplinować kobiety i uregulować powstające napięcia społeczne.

Od tej pory według Federici przymoc seksualna jest regulatorem społecznych napięć. Z kolei filozofka feministyczna Amia Srinivasan w książce „Prawo do seksu. Feminizm XXI wieku”, zastanawia się, jak przekroczyć przymoc seksualną, by otworzyć drogę do samospelnienia i umocnienia kobiet, do bezpiecznego i stabilnego społeczeństwa. Dla obu autorek pytanie o seksualność jest zawsze pytaniem politycznym, które wprowadza wątek władzy, zależności, uprzedzeń seksualnych, klasowych i rasowych oraz dyskryminacji. Pożądanie seksualne, to kogo pragniemy a kogo nie, jak i prawo do seksu – są to fenomeny ściśle przesiąknięte przez politykę i społeczne niesprawiedliwości.

Rysuję te konteksty, by umiejscowić mój głos w debacie z tekstem Magdaleny Czyż, przywołującej tezy Marii Anny Potockiej z jej pamfletu na feminizm « Kobieta post feministyczna. Dyktatura kobiet ».

Sytuuję się tu w po stronie myślenia wyznaczonego już przez Emilię Dłużewską i Natalię Waloch, chciałam jednak pewne tezy mocniej uwypuklić.

Czyż w swym wakacyjnym felietonie wspomina czasy studenckie, gdy

uprawianie seksu z mężczyznami, stojącymi wyżej w akademickiej hierarchii, przynosiło jej korzyści fizyczne i intelektualne, a przyjemność połączona była z bardzo dobrą oceną na egzaminie końcowym. Przywołuje do tego cytaty z eseju Potockiej, by zdyscyplinować kobiety, które nie chcą myśleć o swoich osiągnięciach czy pozycji życiowej tylko w kontekście seksualnej dostępności.

Problem z esejem Potockiej polega właśnie na tym, że jest to tekst dyscyplinujący kobiety wobec kwestii seksualnej przemocy. Głównym jego celem jest bowiem obrona najsłynniejszych predatorów seksualnych ostatnich lat czyli Harveya Weinsteina i Jefreya Epsteiną przed napastliwym w jej rozumieniu « pruderystycznym » feminizmem.

Konstrukcja myślowa oparta na obwinianiu feminizmu za problemy kobiet wynika z całkowitego niezrozumienia procesów społecznych, w których uczestniczymy. Ale też, w przypadku Potockiej, z braku orientacji w refleksji feministycznej z wnętrza której pragnie mówić.

Jej wywód oparty jest o myśli zachodnich filozofów (a jest to tradycja z gruntu patriarchalna i w skutek nieobecności kobiet stronnictwa), cytuje tylko jedną autorkę Mary Wollstonecraft, na dodatek z błędnie przetłumaczonym tytułem jej dzieła « Wolanie o prawa kobiet ». Teza, że « ukryta owulacja » w paleolicie nauczyła kobiety, że seks może być transakcją i feminizm tego nie zmieni – gdyby na poważnie uruchomić dorobek filozofii feministycznej zajmującej się ciałem, intymnością, seksualnością i władzą – musiałaby być ostro przededefiniowana.

„Pruderystyczny” feminizm, czyli najważniejsze oskarżenie Potockiej, to zwykła kalka wiktoriańskiej wizji kobiecości, która nie ma z feminizmem za wiele wspólnego. Dodajmy, że wytworzył ją wiek XIX, zwany również wiekiem « triumfu męskości », który utworzył z męskości uniwersalną normę widzenia świata na skale wcześniej w historii niespotykana. Wytworzył figurę histeryczki, czyli kobiety cierpiącej patologicznie na własną seksualność. I wibrator, który medykaliował orgazm.

Wiem to wszystko ze wspaniałej książki o seksie Rachel Maines «

Technologia orgazmu », która polecam wszystkim jako wakacyjną lekturę i antidotum na przemocowe myślenie o seksie.

I podkreślmy, że polskie #metoo się nie odbyło, lub też ciągle odbywa się partiami, czasami grzęznąć na manowcach. Potrzebujemy edukacji seksualnej jako edukacji obywatelskiej. Polska kultura, wyobrażenia, literatura i film pełne są ciągle przemocowych klisz (wspomnijmy choćby polski hit Netfliksa « 365 dni », dziwna apologię gwałtu i porwania, która uzmysławia nam w jakiej seksualnej mizerii wyobraźniowo tkwimy).

W polskim ustawodawstwie wysiłkiem kilku feministycznych aktywistek, polityczek i prawniczek doszło do sytuacji przełomowej, w której możemy mówić o zgodzie na seks i konsensualnej koncepcji relacji w odróżnieniu od gwałtu i molestowania.

Warto mieć na uwadze cały ten kontekst, gdy w publicznej debacie musimy dyskutować o tym, czy jakiejś kobiecie seks na parapecie przyniósł chwile życiowego spełnienia. Jako feministka wielbię to przeżycie, jeśli dla danej osoby było ono ważne. Kłopot, gdy ukrywamy przemocowe wory, które za tym stoją. Nie o taką Polskę walczyliśmy.

A na koniec wróćmy na pole sztuki w obronie studentek Uniwersytetu Artystycznego, które odważyły się podważyć działania przełożonych, zmierzające do groomingu i zachowań skracających intymny dystans.

Banałem jest powtarzanie, że trauma seksualna działa powoli i czasami przez dekady uzmysławiamy sobie, że jesteśmy przetrwaną gwałtu. Studentki kierunków artystycznych słusznie zadają pytania o swój status, skoro jest ich przeważająca większość na studiach, a przerażająca mniejszość we władzach uczelni, w kolekcjach muzeów i w pamięci historii sztuki.

Do autorki eseju Anny Marii Potockiej chciałabym skierować zaś jedno pytanie: dlaczego w MOCAKU – jednej z najważniejszych instytucji artystycznych w Polsce, kobiety stanowią zaledwie, według dostępnych danych, 29 procent kolekcji?

Agata Araszkiewicz
Badaczka, pisarka,
aktywistka feministyczna

Podnieca mnie
widok świata,
bo na nim już niedługo
zabawię

A PO CO PTAK ŚPIEWA?

Z **EWA KURYLUK**, WYBITNĄ MALARKĄ
I PISARKĄ ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

EWA KURYLUK: Wystawa, na której są pani dzieła jeszcze z lat 60. XX wieku, to konfrontacja z własną twórczością?
WOJCIECH SZOT: Panie Wojtku, ja się z niczym nie konfrontuję. Jestem zadowolona, że wszystko wisi równo na czystej ścianie. Podpisy się zgadzają, więc jestem usatysfakcjonowana. To tak stare obrazy, że patrzę na nie jak na prace obcej młodej osoby. Niektóre mi się podobają, niektóre mniej. I tyle.

Co pani myśli o tej osobie?

– Wiele o niej wiem, więc nie myślę. Sporo też o sobie napisałam w książkach.

Wymyka się pani.

– Wymykam, bo nie chce mi się znów tego opowiadać. Przecież się znamy – z panem, z czytelnikami, z widzami. Kto coś o mnie wie, odczyta moje obrazy. A jeśli nie, będzie musiał zadać sobie trochę trudu. Autorka ich sensu nie wyjaśni, nie powie, co znaczy ten kolor, a co tamten. Tym bardziej że ja już sama tego nie wiem. To odległa epoka: po śmierci ojca, po Marcu 68', po wybuchu choroby mojego brata. Epoka pewnie najtrudniejsza w moim życiu. I to jej rezultatem są te obrazy.

Na sopockiej wystawie łączą je zdjęcia. Są tu zdjęcia z 2023 r. zestawione z tymi zrobionymi w latach 70.

Tak, fotografie rzeczywiście łączą. Moja kuratorka wybrała około 20 z mniej więcej 10 tys., więc z tej garstki nie należy wyciągać dalekosiężnych wniosków. Każda wystawa jest wypadkową tego, co jest dostępne: co się jeszcze samemu ma, co uda się wypożyczyć z kolekcji.

Na szczęście to już nie ja kompletuję prace na wystawę. Mam 78 lat i muszę oszczędzać siły, by je mieć na coś innego niż wystawy – na to, co jeszcze chciałabym robić.

A co by pani chciała?

– Być może nawet nic. Jestem już stara, spragniona spokoju i czasu dla siebie. Wystawy ciekawią mnie dziś z socjologicznego punktu widzenia. Artyści szli dawniej do piachu około czterdziestki. Ja sama byłam słabego zdrowia i rokowano mi odejść w połowie trzydziestki. Pod koniec XX wieku wpadłam przypadkiem na ulicy na młodego lekarza, który mi taką właśnie diagnozę postawił. Nie mógł uwierzyć, że mnie widzi żywą i w dobrym zdrowiu. A mnie przeleciało przez myśl, że się trzymam lepiej od niego.

Artyści rzadko mieli dawniej szansę, by doczekać tego, co dziś przeżywam, czyli retrospektyw w późnym wieku. Mogli sobie zwykle co najwyżej wyobrazić, co będzie się z ich sztuką działo, w czasie gdy sami będą już spacerować po niebieskich Polach Elizejskich lub raczej smażyć się w pie-

kle, bo artyści niebiosom przeważnie się nie podlizywali.

Teraz żyjemy coraz dłużej i budzi to moje zdumienie. Nie mogę się nadziwić, że dożyłam ery telefonu komórkowego i robię zdjęcia iPhone'em. A zaczęłam przecież fotografować w 1959 roku aparatem Bilo-ra Box – prymitywnym pudełkiem, choć z niezłą optyką.

Sądziłam, że w tym zmienionym świecie nie będzie malarstwa ani żadnego nim zainteresowania. Dziwię się więc i cieszę, że ludzie nadal oglądają obrazy. A moje dawne malarstwo, które nikogo w PRL-u nie interesowało, coś dziś ludziom mówi.

I to mnie ciekawi bardziej od samych obrazów, bo one same są przecież ciągle takie same. Namalowała je zdolna młoda artystka, mająca niewiele ponad 20 lat, w reakcji na to, co się działo dookoła. Dostrzec i opowiedzieć o tym, jak przekłada się na sztukę presja świata, to zadanie dla wnikliwych historyków sztuki.

A co pani widzi?

– Widzę, że po zamalowaniu obrazu na czarno zarysowywałam go białym tuszem tak obsesyjnie, jakbym chciała „zamówić” cały ten świat. Widzę horror vacui, dziś dla mnie niepojęty, bo odeszłam od tego dawno i przywykłam rysować jedną kreskę na pustej powierzchni.

Myślę, że po powrocie z Wiednia względnej wolności do Warszawy lat 60.

próbowałam się uporać w swojej sztuce z życiem w totalitaryzmie, też względny i w sumie dość łagodny, ale który nas jednak dotknął.

Co dzisiaj panią podnieca?

– Jak każdego starego człowieka – widok świata, bo na nim już niedługo zabawię. Jak się zmienia! I w jakim tempie! Obserwuję nowe problemy i jak na nie reaguje sztuka. I jakie reakcje budzi. Cieszę się, że słońce jeszcze dla mnie świeci. I że mogę popatrzeć na niebo, ptaszki, zwieraczki... Na tych truizmach, panie Wojtku, poprzestaną.

Teraz, gdy wnet wypadnie opuścić świat, podoba mi się bardziej niż dawniej. W młodości, gdy malowałam „Człeko-pejzaże” i „Ekran”, świat wydawał mi się przerażający, na skraju apokalipsy. Nie wierzyłam, że przetrwa. Ale co w tym dziwnego?

Urodziłam się w Krakowie w 1946 roku, gdy rodzice przeprowadzili się ze mną w beciku do Warszawy, mama mówiła o niej „morze czarne”. Dzieciństwo w ruinach Warszawy określiło zapewne w sporej mierze mój obraz świata w czasach strachu, że wojna nuklearna wybuchnie jutro.

Poczucie, że jesteśmy na krawędzi apokalipsy, było po II wojnie światowej i na początku ery atomu silniejsze niż dziś, gdy wojna w Ukrainie jest tuż obok. Spaceru-

FOT. ADRIAN SOKOŁOWSKI / PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE



• **Wystawa Ewy Kuryluk, „Spotkanie na brzegu morza”, Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie** FOT. TOMASZ MARYKS / PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE (3)

jąc nadmorską promenadą w Sopocie, oddalonym około 200 km od rosyjskiej granicy w Kaliningradzie, podsluchuję rozmowy na pozór beztrzeskie. I zastanawiam się, czy matka, mówiąc do dziecka: „Popatrz synku, to leci samolot”, ma świadomość, że mógłby nas zbombardować.

Mam, panie Wojtku, szczególną biografię. Kto zna moją rodzinną trylogię, ten wie, że brak mi pewności, kto jest moim biologicznym ojcem, a moim ukochanym tatą „Łapką” był Karol Kuryluk z polsko-ukraińsko-tatarskiej rodziny, biedoty ze Zbaraża w Ukrainie.

Moja mama Miriam Kohany urodziła się w Bielsku-Białej w rodzinie żydowskiej, niemieckojęzycznej i ewangelickiej. Z Karolem poznali się w czasie wojny we Lwowie. Ojciec pomógł uratować się mojej przyszłej mamie i jej pierwszemu mężowi Teddy’emu Gleichowi. W czasie wojny powstał między nimi trójkąt. Oczywiście nic o tym w dzieciństwie nie wiedziałam. Ale widok ruin i strasznych zdjęć w gazetach sprawił, że byłam gotowa wypisać się z ludzkości.

Dlatego tak mi się podobało w zoo. To był mój świat. Kiedy doktor Żabiński nazwał mnie żartobliwie „Kangurem”, potraktowałam to serio.

Słyszac wierszyk: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały”, cieszyłam się, że mój znak to „kangur biały”.

Skończyłam akurat 12 lat, kiedy Gomułka szurnął Kuryluka z Ministerstwa Kultury. 1 stycznia 1959 roku pojechaliliśmy na placówkę do Wiednia, gdzie zdecydowałam się zostać malarką i pięć lat później



*Słyszac wierszyk:
„Kto ty jesteś? Polak mały.
Jaki znak twój? Orzeł biały”,
cieszyłam się, że mój znak to
„kangur biały”*

zrobiłam maturę. Ojciec miał przyjaciół na Zachodzie gotowych sfinansować mi studia. Ale wychował mnie w duchu patriotycznym, więc chciałam wrócić do Warszawy.

W niej prosto na studia na ASP.

– Jak śliwka w kompot. Na ASP uznali mnie za zdemoralizowaną Zachodem „córeczkę ambasadora”. Zakwestionowali moją teczkę. O tym mi opowiedział po latach profesor Porębski. Ledwie zdałam egzamin wstępny.

Po raz pierwszy w życiu poczułam się dyskryminowana. A jednocześnie uświadomiłam sobie, jak byłam wcześniej uprzywilejowana. „Łapka” był prawdziwym demokratą, człowiekiem pełnym empatii i tolerancji. Uważał, że każdy może zrobić wszystko, a co dopiero „Kangur”, taki zdolny i pracowity.

W Austrii, gdzie mama spędziła większość czasu w szpitalu psychiatrycznym, „Łapka” przymykał oko na nastoletnie „Kangurze” wysoki.

W Wiedniu chodziłam do szkoły dla dziewcząt z dobrych domów. Na ASP zaskoczyło mnie jednak, że koleżanki zabiegają o karierę artystyczną, ładnie się ubierając i siedząc profesorom na kolanach. Wiedziałam od ojca, kto z profesorów jest z przydziału partyjnego. Widziałam, kto jest zdolny, kto mniej.

Szokowali mnie nauczyciele alkoholicy rozpijający studentów. Stawiałam się

i byłam studentką krnąbrną i pewną siebie. Malowałam płasko i jaskrawo. Kapi- stów miałam za nic, szczególnie tych, któ- rzy się z socrealistów przekabacili na abs- trakcjonistów. Działalam na nich jak płach- ta na byka.

Nie znosiłam węgla i dostałam alergii, więc pozwolono mi używać innych tech- nik. Po prostu problematyczna studentka.

W 1967 roku umiera „Łapka”.

– Na zawał w Budapeszcie. Mama choruje psychicznie od mojego urodzenia. Nagle się okazuje, że po śmierci naszego opiekuna to na mnie spada rola głowy rodziny. Młodszy ode mnie o cztery lata Piotruś jest zbyt labil- ny. 8 marca został pobity na uniwersytecie i rzucił studia fizyki.

Ten koszmarny okres przekładający się na apokaliptyczne wizje w malarstwie przetrwałam z pomocą Mietka Porębskie- go, wykładowcy historii sztuki na ASP, i je- go żony Hani. Znali pewnie historię mamy i wiedzieli o jej chorobie. Należeli do nie- licznych, którzy nam wtedy podali rękę.

Powiedziała pani, że w dzieciństwie wy- pisała się z ludzkości. Zapisała się pani do niej z powrotem?

– Nie.

Sprawia pani inne wrażenie.

– Udaję osobę przyjazną ludzkości, bo tak mnie wychowywał „Łapka”, powtarzając uparcie, że jesteśmy na świecie po to, że- by zrobić coś dobrego. Staram się więc. Ale daleko mi do idealizmu ojca, który napraw- dę wierzył, że w gatunku *Homo sapiens* do- bro przeważa nad złem. Niestety, w moich oczach człowiek jest podszyty kanibalem.

W wypracowaniu maturalnym z nie- mieckiego napisałam „kanibal ante por- tas”. A kiedy na egzaminie ustnym zwró- cono mi uwagę, że powinno być Hannibal ante portas, odparłam, że nie: Hanibal był wtedy pod Kannami, a „kanibal” jest z na- mi zawsze. I dlatego właśnie tak trudno zmienić świat na lepszy.

Dlatego nie uczestniczę w ruchach poli- tycznych ani nawet artystycznych, chyba że chodzi o grupy koleżeńskie.

Nie określałabym siebie jednak mia- nem mizantropki, bo jest we mnie współ- czucie dla niezliczonych miłych, porząd- nych i zdolnych ludzi, którzy ciągle dostają po głowie. Próbuję im troszkę pomóc. Ale nie mam w sobie empatii „Łapki” gotowe- go dla drugiego narazić życie.

Empatia to rzadka cecha u artystów i ar- tystek. Skupienie na własnej wizji świata i praca, żeby tej wizji nadać kształt, spra- wiają, że bohema to raczej banda egocen- tryków i egocentryczek.

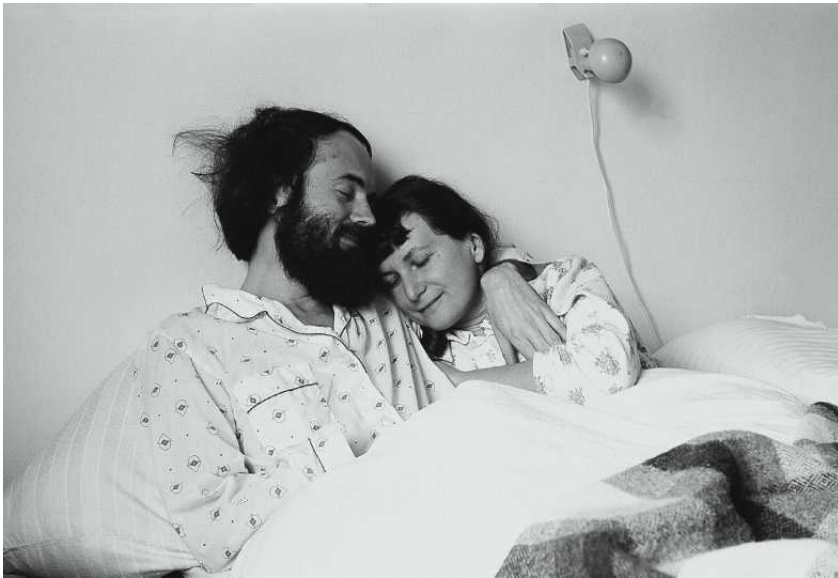
O pani autoportretach pisze się, że nie są narcystyczne.

– Bo autoportret nie musi bynajmniej świadczyć o narcyzmie. Do pracy arty- stycznej trzeba modeli i modelek. Jeśli ich brak, można użyć własnego wizerunku.

Po powrocie z wakacji we Włoszech w 1964 roku, nim rozpoczęłam studia na ASP, posłużyłam się własnym wizerun- kiem, malując Jezusa na krzyżu i Maryję z Dzieciątkiem, jak wcześniej lanię i jelon- ka. Sztuka to dar imaginowania sobie, że jest się oblokiem, kamykiem, kolorem błę- kitym. A ja nie pracuję przecież dla niko- go poza sobą.

Moim prawdziwie autobiograficznym projektem jest autofotografia. Na niej opie- ram całą swoją sztukę. Kto się przyjrzy mo- im zdjęciom, ten spostrzeże, że ja i Helmut Kirchner, mój towarzysz życia, to para słu- żąca mi dawniej do obrazów, rysunków i grafik, później do instalacji.

Jestem zdania, że po pięćdziesiątce na- stępuje w nas regres i mniej możemy zdziałać w nauce, sztuce i w ogóle. Oczy- wiście są w malarstwie wyjątki typu Ty- cjan. Ale z mojej własnej obserwacji wyni- ka, że po pięćdziesiątce ubywa oryginalno- ści i siły wyrazu. Może to się zmieni i poja- wia się cudowne stulatki, ale to mało praw- dopodobne.



• Ewa Kuryluk z Helmutem w Wiedniu w 1976 roku FOT. ARCHIWUM PRYWATNE EWY KURLUK

Jeśli ludzkość przetrwa, co wcale nie jest pewne, pojawi się sztuka, o jakiej się nam nie śni

A czyje dzieła panią porywają?

– Sofonisby Anguissoli, malarki z Bergamo, już o niej nieraz pisałam.

To może jakieś aktualne zachwyty?

– Na starość o zachwyt w sztuce coraz trudniej, bo już tyle się widziało. No i gusta się zmieniają. Gdy pierwszy raz pojechałam do Włoch, zachwycało mnie duecento, trecento, nie mogłam się oderwać od malarstwa szkoły sienie- skiej.

Na Rafaela nie zwracałam zbytnej uwa- gi, ale doceniłam go z wiekiem. Olśnienia artystyczne przeżywam jak miłość, gdy na- gle wybucha.

Wzruszam się, odkrywając wspania- łych artystów przeszłości, tak niedoce-

nionych i pominiętych jak na przykład Jacobus Vrel, niemal rówieśnik Verme- era. Dwa lata temu widziałam w Pary- żu pierwszą w historii jego retrospekty- wę: malarza życia w cieniu, smutku i nie- szczęściu, a więc jakby Vermeera od po- dwórza i podszewki.

Nie mogę się nacieszyć, że coś dla nas przetrwało, nie padło ofiarą katastrof, woj- ny, ludzkiej obojętności. I doczekało uwa- gi potomnych.

Na ekranie smartfona mamy dziś do dyspozycji cały zdigitalizowany świat sztuki. Ta wygoda to problem. Nad- miar wyklucza zachwyt i domaga się sen- sacji. Co z tego wyniknie, trudno prze-

Co u pani wisi nad tapczanem?

– Nie mam tapczanu.

Pani Ewo...

– No dobrze, zdradzę panu, co mam u sie- bie na Montparnassie.

Kocham od małego rzeźbę tzw. pierw- szych narodów: drewniane bożki i święt- ki, totemy i maski. W odróżnieniu od rzeź- by klasycznej, za którą nigdy nie przepa- dałam, moje serce bije dla sztuki nazywa- nej dawniej „prymitywną”. To za jej sprawą sztuka europejska stała się nowoczesna.

Kubizm, surrealizm, ekspresjonizm i ty- le innych kierunków współtworzyła sztu- ka Afryki, Oceanii i trzech Ameryk. I sztu- ka ludowa niezliczonych krajów świata. Fascynowało mnie to od dziecka i wiele tej sztuce zawdzięczam.

Razem z Piotrusiem przetłumaczyliśmy trzy tomy „Sztuki Ameryki” Fredericka J. Dockstadera. Gdy wydawnictwo zapytało Piotrusia, co dałby na okładkę pierwszego tomu, wybrał laleczkę, dzieło Indian Hopi.

W tym roku, na 60. Biennale w Wenecji, można obejrzeć w pawilonie amerykań- skim dzieła Jeffreya Gibsona, artysty po- chodzenia indiańskiego, dla którego Hopi i inni to źródło inspiracji.

Znam tego zdolnego artystę od daw- na, ale ta wystawa sprawiła mi przykrość: wszystko jest na niej za wielkie, za koloro- we, za spektakularne, zrobione pod wymo- gi rynku komercyjnego. Sztuka ludowa ła- two zamienia się w cepelię. I nie ma chyba na to rady, bo nie da się wrócić do „złotego wieku” i znów zacząć od początku.

Na początku XX wieku sztuka „pry- mitywna” przeobraziła sztukę europej- ską i amerykańską. A od tamtej pory arty- ści i artystki całego świata oddziałują na nas, a my oddziałujemy na nich. Takie są prawa zglobalizowanego świata i to już się nie zmienia.

Dlatego tak mnie poruszył pawilon ho- lenderski, w którym pokazano prace Cerc- le d’Art des Travailleurs de Plantation Con- golaise [Koło artystyczne kongijskich pra- cowników plantacji]. Członkowie tego ko- lektywu pracują przy tłoczeniu oleju pal- mowego, na roli. Pracują z miejscowymi materiałami, ale dokładają do tego techni- ki „tradycyjne”.

Z ich dzieł poruszyła mnie najbardziej niewielka rzeźba Irène Kangi przedstawia- jąca gwałt czarnej kobiety przez białego mężczyznę wykonana w glinie, a następnie odlana w brązowej masie z oleju i kakao.

Dobrze jest też pamiętać, że znajomość sztuki i refleksja o niej są zawsze zapóźnio- ne. Trzeba było ok. II wieków, by się dowie- dzieć, że pierwszą powieść świata – „Gen- ji monogatari” – napisała w Japonii kobie- ta Murasaki Shikibu. O tym, co dziś w sztu- cie naprawdę nowe i ważne, dowiemy się za jakiś czas, a zadecyduje o tym prawdopo- dobnie przypadek.

Nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć siebie tu i teraz?

– Poznajemy świat i siebie samych stopnio- wo. Dzisiaj wiem o sobie więcej niż w wie- ku 23 lat. Malując obrazy, które dziś wi- szą w Sopocie, wiedziałam tylko, że chcę je namalować. Młoda osoba w akcji nie ma wglądu w siebie. Francuskie przysło- wie mówi: „si la jeunesse savait, si la vieil- lesse pouvait” – „gdyby młodość wiedzia- ła, gdyby starość mogła”. Teraz, gdy wiem o sobie niemal wszystko, nic już z tą wie- dzą nie zrobię.

Sztuka jest nie inaczej niż śpiew ptaka. A po co ptak śpiewa? Co pragnie wyrazić? Co jego śpiew znaczy? To przecież drugo- rzędne. Sztuka nie jest po coś, lecz po pro- stu jest. To część człowieczeństwa. Kto od- kryje w sobie chęć, by sztukę robić, ten ją robi, choć trzeba do tego uporu i wytrwa- łości. No i musi nam, jak we wszystkim, sprzyjać w twórczości los. ●

Wystawa Ewy Kuryluk „Spotkanie na brzegu morza” – malarstwo, kolaże, autofotografie, instalacje – potrwa w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie do 18 sierpnia.

Co mnie urzekło

Miłosność gestu diplodoka



Cieszą mnie te dwa obrazy. Na tle martyrologicznej twórczości Wróblewskiego pozorne błahostki

AGA KOZAK

O pasle diplodoki zmierzają w stronę wiśniowej tarczy. Trochę wataha dziwnych piesków, trochę oble jak niepokojące robaki. Mają zachwycające, umięśnione zady i ogony jak u jaszczurów – to taki kształt, który zawsze trochę zawstydza.

Jeden z nich obraca małą kłódkę w stosunku do cielskiej główki, jakby czujnie sprawdzał, czy towarzyszy ze stada bezpiecznie zmierza w stronę słońca.

Podpis – podobno prawie nie do odczytania – głosi „Dyluwialna romantyka” i pozwólcie, że uprzedzę was z ogłoszeniem: dyluwium to starsza epoka czwartorzędu cechująca się m.in. wielkim zlodowaceniem i pojawieniem się człowieka neandertalskiego. Inaczej plejstocen czy epoka lodowcowa.

Co w tym romantycznego? Czy chodzi o nieuchronność śmierci, czy o miłosność gestu dbania jednej istoty o drugą? Bo przecież chyba nie o spacerkę o zachodzie? Nie mam pojęcia, bowiem jeszcze bardziej zaskakujące jest to, że autorem tego tuszu jest Andrzej Wróblewski, kojarzony raczej z szokującymi obrazami rozstrzelań czy „Człowiekiem rozdartym”.

Tymczasem zarówno ta praca, jak i wisząca obok na ścianie w kolorze palonej sieni w Muzeum Brukenthala-

ła (najstarszym muzeum w południowo-wschodniej Europie) noszą ślady, jeśli nie poczucia humoru, a za tym bym optowała, to przynajmniej ogromnego zainteresowania światem artysty.

Jak mówi mi jedna z kuratorek wystawy Magdalena Ziółkowska, zazwyczaj był bardzo ironiczny; z powodu mamrotania pod nosem komentarzy nazywany był przez kolegów z uczelni „pieprzonym okularnikiem”.

Obok diplodoków wisi praca o nazwie „Pierwsze białko”. Jak opisuje to Ziółkowska: „w odmętach oceanu, morza rodzi się świat. Z molekuł, drobin, pierwiastków powstaje życie”.

Skąd u artysty akurat takie zainteresowania? Czyżby było to tematem powszechnej dyskusji? Czy też pojawiło się w prenumerowanym wtedy przez wszystkich wspaniałym piśmie „Świat”? Było ogromną inspiracją dla artysty, jego fizycznych fragmentów użył do mniej znanych frywolnych monotypii czy erotycznego kolażu.

I co zdjęcia z białkiem oraz dinozaurami robią na wystawie „Tatry. Wróblewski, Karłowicz, Wyczółkowski”, której tematem jest pasmo górskie?

Otóż w tle obydwu obrazów kuratorzy – prof. Anna Król, Magdalena Ziółkowska i Wojciech Grzybała z Fundacji Andrzeja Wróblewskiego – dostrzegli właśnie szczyty.

Wróblewski zresztą na wystawie (wcześniej prezentowanej już w krakowskim Muzeum Manggha, ale bez tych dwóch prac!) pokazuje Tatry najmniej oczywiste, bardzo symboliczne.

Na zdjęciach Karłowicza, który tak jak Wróblewski w Tatrach umarł, mamy granie czy przełęcz tak wystrzone, że można śledzić na nich potencjalne trasy czy zmiany w zalesieniu. I o ile na pejzażowych pracach Wy-

czółkowskiego też da się oszacować, który z masywów malarz maluje, o tyle Tatry Wróblewskiego to swobodna impresja na temat tej wielkiej przyrodniczej miłości artysty.

O której – dodajmy – tak jak i o reszcie życia przedwcześnie zmarłego artysty, mało wiadomo. Jak się zaczęła, co najbardziej lubił, co było jej treścią. Ziółkowska, Grzybała i inni badacze odtwarzają biografię artysty niczym detektywi – z poszlak, lakonicznych wpisów w notesikach, relacji innych osób.

Tym bardziej cieszą mnie te dwa obrazy. Na tle martyrologicznej twórczości Wróblewskiego pozorne błahostki. I te ich przedziwne nazwy: większości prac Wróblewskiego, o wiele cięższych gatunkowo, tytuły nadała pośmiertnie jego matka.

Te artysta opisał sam. Są dla mnie dowodem błyskotliwości, czułości, jak również poczucia humoru malarza. Zdjęciem go z piedestału. Podarowaną nam zabawką. I niezaprzeczalnym dowodem na to, że jeśli coś kochasz, jak Wróblewski Tatry – będziesz to widział wszędzie. ●

Wystawa „Tatry. Wróblewski, Karłowicz, Wyczółkowski” prezentowana jest w Muzeum Brukenthala w Sybinie w Rumunii od 22 czerwca do 1 września 2024 r. Organizatorami wystawy są Instytut Adama Mickiewicza, Fundacja Andrzeja Wróblewskiego, Muzeum Narodowe Brukenthala oraz Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie, we współpracy z rumuńskim Ministerstwem Kultury oraz Instytutem Polskim w Bukareszcie.

Wystawa zainaugurowała Sezon Kulturalny Polska Rumunia 2024–25. Pełen program Sezonu można znaleźć na stronie Instytutu Adama Mickiewicza.

Z **PAWŁEM KOŚLIKIEM***, AKTOREM, ARTYSTĄ KABARETOWYM ROZMAWIA **AGA KOZAK**

PAWEŁ KOŚLIK: A mówiłem ci, że nie mam zębów?

AGA KOZAK: Od tego chcesz zacząć tę rozmowę?!

– No tak. Aktorem chciałem być od łebka. Ale powiedz mi, kto aktorem jest albo zostaje? Mężczyzna około dwóch metrów wzrostu. Wysportowany, dobrze wyglądający. Kobieta – blondynka, metr siedemdziesiąt parę, rozmiar 36.

Ostatnio nawet niedoszli studenci Akademii Teatralnej i aktualni wykładowcy zwracali uwagę na to, że wybierane są osoby „od jednej sztancy”, że nie ma różnorodności, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety.

– No więc wyobraź sobie, że ja – ja! – chcę być aktorem i mam w głowie ten wizerunek amanta. A w szóstej klasie pojechaliśmy z harcerstwem w góry i na brzuchu zjeżdżałem – bo nie było sanek – na reklamówce po śniegu. I oczywiście glebnałem w skalę.

Dobrze, że tylko zęby straciłem... Wybiłem sobie prawą jedynkę i dwójkę. W efekcie nosiłem taką protezę – dwa zęby na haczyku zawieszone na trójce.

Było widać, kiedy się uśmiechałeś?

– Ba! Wiele razy przeżyłem taką sytuację: przerwa, biegniemy z chłopakami się bawić, gramy w kosza i kiedy się śmieję, to zęby mi wypadają. Oni się śmieją, ja cały czerwony wkładam tę protezę.

Ale chłopaki to jeszcze pół biedy. No bo dochodzą w pewnym momencie rozkminiki: jak ja się z dziewczynami całować będę? A jak mi to wyleci? A obejrzałem jeszcze taki film z Robem Lowe’em, który się całował ze starszą kobietą i jej proteza wypadła, na co on uciekł...

Jak zdawałem do szkoły aktorskiej, miałem już protezę nową.

Nowocześniejszą?

– Trochę. Też wyciąganą, dwa zęby osadzone na połowie plastikowego przezroczystego podniebienia – trochę jak aparaty korygujące, zaczepy były na zęby trzonowe.

Na drugim etapie zdawania egzaminów do szkoły aktorskiej, są konsultacje logopedyczne. Powiedzieli, że „S, CZ” jest do wyprostowania. I ja się przełamalem, swój wstyd i im pokazałem tę protezę. A nie wiem, czy wiesz, jak to za moich czasów było w szkole aktorskiej?

Nie mam pojęcia.

– Jak się jakiś profesor uprze, że cię nie chce, to znajdzie jakiegoś współlasa do tego – innego profesora, dwie-trzy osoby go poprą – i lecisiz. Więc ja miałem tak wylecieć – argumentem było między innymi to, że nie mam zębów, a generalnie nie rokuje.

Wstawił się za mną profesor Cieślak, który powiedział, że przecież wiedzieliście, przyjmując go, że nie ma zębów, więc o co chodzi. Czyli pokonując wstyd, nie zgrywając bohatera, pokazując ułomność – wygrałem. Cieślak jeszcze dodał, że zamiast wyrzucać, to by mi można pomóc. Fundacja Ryszardy Hanin dołożyła mi dzięki temu fundusze na most.

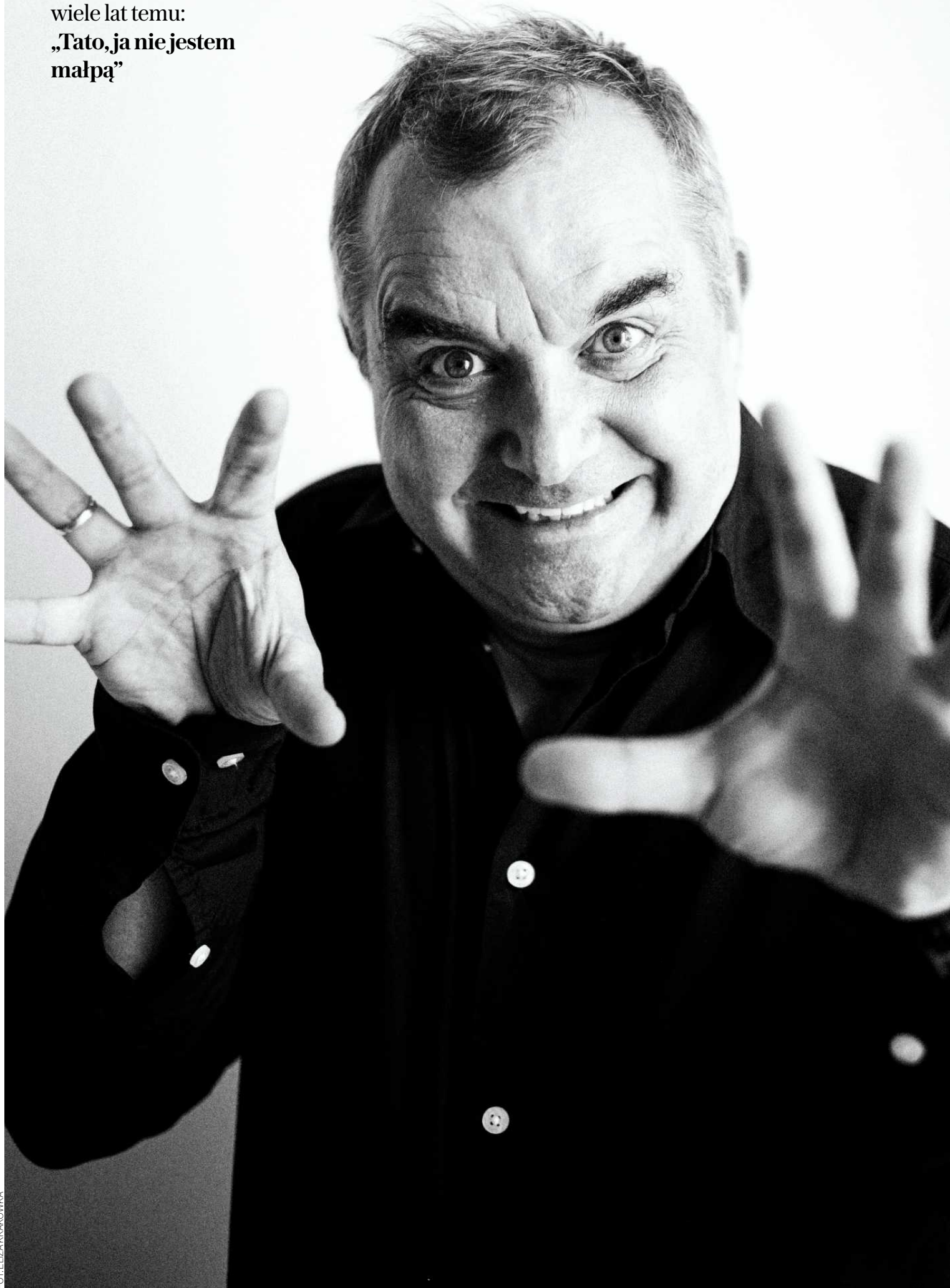
Ale amantem nadal nie byłeś...

– ...nasz rocznik akurat na szczęście był specyficzny: jeden gruby, inny chudy, mały, niski, krzywy – różni byli. Ale rok przed nami Leszek Lichota, Michał Żurawski, Wojtek Solarz – wszyscy prości i wysocy.

Dziewczyny u nas też były różne... Po latach się można, wiesz, śmiać z tego, że się tyle człowiek porównywał, ale... Ale ja chciałem powiedzieć o tym, że rzeczywistość to jedno, ale to, co my mamy w głowie, te wszelakie wewnętrzne wymagania wobec siebie, to, że jesteśmy niewystarczający – to drugie.

DEPRESJA KOMIKA

Aż ojcu kiedyś
powiedziałem
wiele lat temu:
„Tato, ja nie jestem
malpą”



FOT. ELIZABETH KOWKA

I my tej części nie widzimy, nie wiemy, jak człowiek się boi. Nawet aktor. Nawet taki, który pozwala się innym z siebie śmiać.

To jest trudne?

– Wiesz, ludzie, którzy traktują mnie nie jako wykonawcę roli, tylko utożsamiają mnie z postacią kabaretową czy komediową – to jest trudne. To ci, co podchodzą i krzyczą: „Ty jesteś ten no? Ten śmieszny! Powiedz coś śmiesznego! Jurek! Jurek! Tu jest ten, co gra w tych kabaretach! Rozśmiesz nas!”. To mnie też spotykało nawet wśród najbliższej rodziny, na imprezach.

Aż ojcu kiedyś powiedziałem wiele lat temu: „Tato, ja nie jestem małpą”. I on sobie to zapamiętał i gdy któryś z jego kolegów tak do mnie startował z „Ty śmieszny jesteś”, to on powtórzył moje słowa. Super to było!

Tymczasem śmieszność czy komediowość to jest strasznie poważna rzecz, co? Ja się często zastanawiam, jak to jest wyjść przed ludzi i przekształcić największy lęk w siłę: dać się ludziom z siebie śmiać.

– „W kabaretach” – takich z publiką od 2 do 7 tys. osób – niektórzy grają, „dociskając”. Mam teraz tego pogłębiany ogląd, bo jeżdżę na występy kabaretowe w halach na 7 tys. osób. Gram w „Moralniakach” postać Tadeusza Sznuka w zastępstwie za Roberta Górskiego, który postanowił sobie trochę odpocząć.

Faktycznie kabaret rządzi się innymi prawami: tu można udawać, podegrać, ale jeśli chcesz naprawdę być śmieszny, to musisz siebie odsłonić.

Pokazywać prawdziwe reakcje, to, jak ty byś się zachował w danej sytuacji – w sensie ja, Paweł Koślik. I wtedy to naprawdę działa, bo człowiek czuje, że nie oszukujesz widzów.

Można oczywiście przegiąć: ubrać perukę, zmienić głos – niektórzy to lubią bardzo. Ale moim zdaniem ta prawdziwa komedia jest strasznie blisko tragedii.

Jak miłość nienawisci.

– Przypomina mi się od razu anegdota: na planie jakiegoś filmu Zbigniew Buczkowski, który nie był w szkole teatralnej, zapytał, jaka jest różnica między komedią a tragedią. I mu powiedzieli: „Śluchaj, wyobraź sobie takie małe miasteczko, starówka, fontanna w środku i piesek lata wokół tej fontanny. I on się nie może załatwić, kupy zrobić. I jego uciska, wygina, i on skuczy. I dla niego to jest tragedia. A ludzie patrzą na to i się śmieją. I dla nich to jest komedia”.

Nic tak, niestety, nie rozśmiesza jak nie-szczęście drugiej istoty.

A ty jak to ogarnąłeś? Te swoją komediowość? Przecież ty jesteś megawrażliwym, poważnym, a miejscami smutnym człowiekiem.

– Będąc na studiach, chciałem grać poważne role. Hamlety. Naprawdę! Tylko tragedie. Siedzenie w roli, gmeranie w sobie, cierpienie. A mnie w szkole mówili: graj śmieszne rzeczy.

A to nie jest upupiające, że ty taki śmieszny? O i patrz, sama uznałam, że jak komedia, to gorsza.

– No widzisz. W szkole – chcąc grać te Hamlety – zagrałem jednak na prośbę koleżanki wioskowego głupka. Z uprzejmości. I okazało się, że to była moja najlepsza scena na egzaminie. Dlatego że ja zrobiłem to od niechcenia.

Ta koleżanka czuła, że to jest ten kierunek, że ja idealnie tam będę pasował. Ktoś z zewnątrz mnie zobaczył z moim talentem. Ale to było daleko od Hamleta, więc w głowie powiedziałem sobie: „Nie chcę tego grać”. „To nie moje”.

I co było potem?

– Ciągłe gmeranie w sobie, poszukiwanie tzw. głębi, schodzenie w mrok, czemu nie-jednokrotnie, niestety, towarzyszył alkohol i narkotyki. Doszło do tego, że chciałam

już rezygnować z tego zawodu, zresztą nie-ostatni raz.

Siłą rzeczy wylądowałem na terapii. Psychiatrzyca na oddziale półotwartym, gdzie leczyłem nerwicę, też tak mi mówiła: „Panie Pawle”... Poczekaj chwilę, bo jak mi się to przypomina, to jakby mi ktoś otwierał klatkę piersiową i dotykał serca.

Siedzimy tam sobie na którymś spotkaniu – to były zajęcia grupowe, a raz na jakiś czas spotkania indywidualne, więc ona mnie już zdołała poznać. „Panie Pawle, pan ma talent. I pan nie może go zmarnować”.

Nikt tak mi nigdy nie powiedział, tak mocno, jakby właśnie serca dotknął. I ona też mówiła: „Niech pan spróbuje w komedii”. I fakt, ja nawet w kłótni potrafię ludzi rozbawić. Nawet jak się zaciętrzewiam, to to wygląda śmiesznie.

Ludzie się śmieją nie dlatego, że szydzą ze mnie, tylko dlatego, że moja twarz, nawet gdy wyraża poważne emocje, to to wygląda zabawnie. To się nazywa vis comica, czyli po polsku wis komika.

I to jest talent!

– To jest talent, to jest mi dane. Podobnie ma Rowan Atkinson, który odgrywa Jasia Fasolę – a swoją drogą też opowiada ostatnio o swojej depresji. Więc to mam dane, a reszty – warsztatu – jak to coś wykorzystać, się już uczyłem.

Ta depresja komika...

– Niejednokrotnie się dziwię, z czego ludzie się śmieją. Ale to jest przecież nasz za-

Wiesz, ludzie standardowo pracują osiem godzin dziennie. Aktor na planie różnie: czasem popracuje dwie-trzy godziny i ma wolne, ale generalnie mają prawo cię trzymać 12 godzin. Dwanaście. Dolicz dojazd tam, gdzie masz zdjęcia, i powrót do domu. Ile zostaje ci na dom, na sen?

Czasem jest na styk albo wychodzisz na minusie. A jako aktor pracujesz cały czas, trybiki w głowie się obracają, tu coś podłapiesz, tu coś ci się przypomni.

Aktor ma tak, że instrumentem jego pracy jest on sam. Musi się nauczyć tu [Paweł wskazuje klatkę piersiową] – szarpać.

To dlaczego chciałeś zostać aktorem?

– Żeby mieć dużo kochanek, szybkie samochody (*śmiech*)...

A dostałeś uzależnienie i lęk.

– Od dziecka przebierałem się w czerwony szlafrok, przytracałem sobie zabawkowy miecz i odgrywałem sceny. Robert Górski mówił mi kiedyś, że też tak robił – odgrywał sam przed sobą Łukaszewicza zapałłego na gruźlicę.

Ja z wypiekami oglądałem na VHS Bruce’a Lee. Wchodziłem w wymyśloną rzeczywistość. Z punktu widzenia terapeutycznego „uciekałem przed życiem”, bo „miałem trudne dzieciństwo”. Kurwa, kto miał lekkie dzieciństwo – ja się pytam?

Ale słuchaj: jak w Zgorzelcu się przeprowadziliśmy do nowego mieszkania, gdzie był prysznic, to pod nim odtwarzałem scenę z filmu „Terminator”, kiedy Schwarze-

Uzależnienie to choroba tajemnic przed drugim człowiekiem.

Mnie bardzo pomaga moja żona i nasze kocury

negger zostaje zrzucony nago na ziemię i się z wolna wyprostowuje. Ja pod tym prysznicem byłem po prostu Terminatorem.

Terminator w Zgorzelcu. Nikt w rodzinie nie był „artystyczny”?

– Ani zamożny. Ojciec był wojskowym przez 20 lat. Potem poszedł na wczesną emeryturę, bo już wojska nie mógł znieść. To były czasy transformacji – w pewnym momencie targowisko w Zgorzelcu było większe niż Targ Europa w Warszawie.

Wychodziłem ze szkoły, a tu wszędzie stragany. Ludzie wszystkim handlowali. No i ojciec próbował się w tym odnaleźć, czymś tam handlować, ale nie był w tym dobry.

Czyli nie było pieniędzy.

– Były na zakładkę. Ojciec w Niemczech pracował na kuchni, potem na targowisku jako inkasent. Jakoś tam żeśmy sobie radzili. Nie to, że bida, ale pamiętam, jak ojciec przynosił z tego targowiska – bo tam była taka budka z hot dogami – resztki z bułek. Jedliśmy je z mlekiem – nie tyle z biedy, co z etosu niemarnowania. On zawsze był oszczędny, pochodził ze wsi, a tam trzeba było się liczyć z każdym groszem. I te bułki z mlekiem, trochę cukru, masła. O, jakie dobre!

Naprawdę?

– Nie, na dłuższą metę to danie męczące. Pamiętam, jak tato szykował nam kanapki do szkoły i pakował je w takie plastikowe worki po mleku, bo przecież to się „nadaowało”. Rozumiem – zwłaszcza teraz – jego podejście, ale wstyd mi było wówczas, gdy kanapki w szkole wyjmowałem z takiej foliowy. Ale czemu o tym mówię? Bo potem jakoś się sytuacja unormowała. Mama sprzątała w jednej knajpie.

No i na tę stabilizację ja nagle zrzucam bombę, że chcę pójść do szkoły aktorskiej. Ojciec powiedział: „Zwariowałeś. A za co?”.

Wiem, że poszedłeś, ale czy się dostałeś?

– Jak pierwszy raz zdawałem do szkoły do Łodzi – nie. Jak zobaczyłem, że mnie nie ma na liście na drugi etap, to zdębiałem. Jak to? Gitarę przecież nawet na egzamin przywiozłem!

Trafiłem do SPOT-u do Krakowa, takiego studium przygotowującego do egzaminów na Akademię Teatralną. Kosztowało, ojciec znów powiedział, że zwariowałem, matka – że damy radę. Trudno mi było wziąć jakąś zarobkową pracę, bo zajęcia były porożrzucane na cały dzień, więc na weekend wzięłem. W knajpie.

Wracałem z niej na piechotę, bo już nie było nocnych autobusów. A że mieszkalem pod Krakowem we wsi Węgrzce, to szedłem godzinę do domu. I po roku znów egzaminy, czekanie na listę z nazwiskami, kto się dostał. Nerwy.

Pamiętam, że spaliśmy w akademiku. Z nowo poznanymi kolegami znieczuliliśmy się wówczas chemicznie, coby nie myśleć o kolejnym dniu, kiedy ogłoszone mają być ostateczne wyniki egzaminów.

Rano, przed wyjściem na uczelnię, podprawiliśmy trochę nasz stan. Teraz wiem, że próbowałem tym zagłuszyć strach. Lęk przed odrzuceniem. Teraz też często się pojawia, ale inaczej sobie z tym radzę. Nie narkotykami, ale zajem, pójdę spać – żeby tylko nie myśleć o czymś.

Uzależnienie to choroba tajemnic przed drugim człowiekiem.

Mnie bardzo pomaga moja żona i nasze kocury

No ale się dostałeś?

– Na chłodno to przyjąłem. Byłem odurzony. Jakbym był na trzeźwo, tobym tam chyba zszedł na zawal. Do matki zadzwoniłem z budki z tą wiadomością i ucieszyła się, ale ja nawet tej jej radości nie poczułem.

Kiedy nastąpił ten moment, że zdałeś sobie sprawę, że przeginasz z substancjami?

– Moja „przygoda z chemią” zaczęła się w liceum, ale dość szybko zorientowałem się, że mi to nie służy. Niestety, w Krakowie jak przysłowiowy pies spuszczoney z łańcucha wkręciłem się na nowo w swoje uzależnienie.

A co ci to dawało?

– Wyobraź sobie, że jak przyjechałem do Krakowa, musiałem pierwszą noc spać w schronisku. Pięć obcych osób w pokoju. Kurwa, z nerwu rzygałem ze trzy godziny. Czemu? Zgorzelec ma z 40 tys. mieszkańców i jeden autobus. Pięćdziesiątka, co jedzie przez całe miasto.

A przyjeżdżasz do takiego Krakowa, tramwaje, autobusy, głośno, ruch, odległości. Dlatego piłem, żeby znieczulić ten lęk. Jak się dostałem na studia, no to prawie dzień w dzień, żeśmy palili. Wieczorami.

Potem weszły te mocniejsze narkotyki – kwasy, grzyby, ekstazki i wachanie. Na zajęcia z piosenki przyszedłem zwąchany. „O, coś nie idzie”. „Pani profesor, to za tydzień, dobrze?”. Czasem na zajęciach z filozofii byłem zjarany.

I co było dalej?

Na drugim roku studiów – jak dziś to wspomnam, to musiała być jakaś łaska, jakiś cud – została mi odebrana obsesja, przymus zżywania pewnych substancji.

Alkohol jednak na stałe stał się ważnym towarzyszem. Coraz bardziej się zatracalem. Na czwartym roku, na którym graliśmy już swoje przedstawienia dyplomowe, miałem pierwsze ataki paniki na scenie. Potem już również w codziennym życiu. O, teraz słyszę, że robię spikerkę.

Czyli?

– Na spotkaniach grup samopomocowych tak się mówi, gdy godzinę gadasz o sobie, są emocje i wręcz w międzyczasie ci to wszystko wchodzi.

Po studiach załamka, że dużo osób do stało pracę w serialu. Inni w teatrze. A ja – wielkie rozczarowanie. Wskoczyłem w taki teatr offowy, grałem w spektaklu i tam już zacząłem pić za dnia. I rano, i przed spektaklem. I idealnie mi się grało. Trochę jak na tym ogłoszeniu wyników na studia, że było mi wszystko jedno.

Tak samo tu. Setka żołądkowej przed spektaklem i wszystko mogłem grać.

I nadchodzi rok 2005. Maj. Alkohol już mi nie pomaga, ale piję. Bo nie wiem, nie mam pomysłów, jak to inaczej opanować. Czuję, że zaraz zwariuję. Mam ataki paniki w autobusach. W miejscach publicznych.

Kiedyś chodziłem do kina i się dziwiłem, że ludzie piją w tych DKF-ach, przecież filmy są takie fajne i bez tego. Zacząłem pić w kinie przed seansem. W knajpach chodziłem do kibla, piłem swój alkohol, żeby mniej wydawać, żeby się zaprawić i móc legalnie siedzieć przy jednym piwie.

Rano na kacach chodziłem do sklepu szybko, żeby kupić setkę żołądkowej i piwo. Setka, żeby się uspokoić, i potem powoli piwo, by przedłużyć „błogostan”. Wychodziłem z domu dopiero wtedy, gdy połączyłem kąpiel z piwem. No i ten maj.

Co się wydarzyło?

– Jadę na komunię chrześnicy. Dzień wcześniej oczywiście też popiłem. Pociąg z Warszawy do Zgorzelca to 10 godzin. W przedziale przeżywam piekło. Wychodzę do kibla. Modłę się – modlitwa nie pomaga. Nawet płakać nie potrafię. Po prostu chaos. Rozpadam się na kawałki.

I wtedy pojawiła się chęć odebrania sobie życia: wyskoczyć z pociągu. I kiedy już chwyciłem za klamkę, podszedł jakiś chłopak i zaczął do mnie gadać. Wtedy to zadziałało. „Daleko jedziesz?” – zapytał. I ja się uspokoiłem. Nie podjąłem kroków ostatecznych. A on zniknął.

Dojechałeś do domu.

– W sobotę na drugi dzień była ta komunia. A ja już nie wyrabiałem. Powiedziałem mamie, że sobie nie radzę. Że przesadzam z alkoholem. „Ja wiedziałam. Ja czułam”.

Wtedy w tym maju...

– ...matka powiedziała rodzinie, że mam gorszy moment, dała ziołowe tabletki na nerwy i w poniedziałek poszedłem do psychiatry.

Lekarz mi mówi: „Dla niektórych alkohol jest, dla niektórych nie, dla pana nie”. Dostałem antydepresanty. Od tamtego momentu nie piłem, poznałem dziewczynę, za kochałem się i pewnego dnia ona powiedziała: „Nie pijesz już pół roku, może możesz jedno piwo na spółkę?”.

Na mityngu byłem raz, nie byłem na żadnej terapii, a raczej byłem – poszedłem i stwierdziłem: „A, to nie dla mnie, ja tak źle jak inni nie miałem”. I to jedno piwo na spółkę no to wypijmy. Jak szklankę wypilem, latałem jak szmatka po ścianach, śmiałem się jak dziki. Ona się też śmiała, ale powiedziała, że ona w sumie nie ma ochoty na to swoje piwo. No to szkoda, żeby się zmarnowało – wypilem. To nie jest tak, że ty od razu idziesz w cug. To się rozkręca.

W końcu i my się rozstaliśmy, a ja piłem. Odwiedziłem znów psychiatrę, zmiana leków.

Zacząłeś pracować w Teatrze Polskim.

– Nie piłem, bo i terapia weszła. Odkryłem, że jestem DDD. Przyjrzałem się nerwicy. Ale dwa tygodnie przed premierą zrezygno-

wałem ze spektaklu – z lęku. Spektakl był w 80 proc. zrobiony, wszystkie sceny.

Nie brałem leków, mieszkalem sam, nie czułem, że mam jakiegokolwiek wsparcie. Też żebyśmy się zrozumieli: na własne życzenie byłem sam, to nie tak, że świat mnie skrzywdził, wiesz, ale też nie potrafiłem inaczej.

Aktorzy mi pomagali, chodziłem dwa razy w tygodniu na terapię, sztuka była komedią, a ja miałem takie napięcie, że zrezygnowałem. Zapłaciłem za wydrukowane plakaty.

Na szczęście dostałem w międzyczasie rolę w reklamie i od tamtego czasu zaczęło się wszystko ustawiać. W kabarecie zacząłem grać, trafiły się główne role, pojawiały w serialach. Teraz bywają i występy przed 40 tys. ludzi, i jeszcze czasem się pojawiają te lęki, ale to już nie na taką skalę i nie mam już ataków paniki.

Trudny ten teatr, co? Kiedyś mi brat – który bynajmniej nie zajmuje się aktorstwem – wyskoczył, że on mnie u siebie w interesie nie widzi. I ja mu po tych terapiach odparaowałem, że ja jego w teatrze też nie. Nie trzeba uderzyć kogoś albo być twardym, żeby pokazać siłę. Mężczyźni często tego nie rozumieją.

Ja bym chciała wiedzieć, co zrobiłeś – oprócz pójścia do specjalistów – że ty z tego wszystkiego wyszedłeś?

– To jest proces. Rozłożony na lata, bo uzależnienie jest czubkiem góry lodowej. Uzależnieniem sobie radzisz z czymś: z napię-

Setka żołądkowej przed spektaklem i wszystko mogłem grać

ciami, z lękami, z problemami – i się przyzwyczajasz do tych niezdrowych rozwiązań. Takich środków przeciwbólowych na różne bóle istnienia, których nie możesz odstawić, bo od razu cię życie atakuje ze zdwojoną siłą. To może być alkohol, narkotyki, kompulsywny seks, zakupoholizm, ćpanie uczuć i miłości też. Objadanie się – to teraz wydaje mi się dość powszechnym izmem, a tak niewiele jest spotkań akurat tej wspólnoty samopomocowej w Warszawie.

Pojawia się tyle nowych form uzależnienia, one się zmieniają wraz ze zmianami cywilizacyjnymi. Wydaje ci się, że pozbyłeś się jednego uzależnienia – okazuje się, że wpadłeś w inne. Dlatego tak ważna jest terapia pogłębiona i treningi interpersonalne, czyli grupy. One są też bardzo ważne dla DDA czy DDD – dzieci z rodzin dysfunkcyjnych.

Czy jak się jest uzależnionym, to się staje ekspertem od uzależnienia?

– Jeśli jest się uzależnionym i się coś z tym robi – tak. Poznajesz mechanizmy. Jeśli jesteś szczerzy wobec siebie, wobec swojej pracy nad uzależnieniem, wychodzeniem z uzależnienia – schematy są wszędzie podobne.

Na przykład ja nie piję, ale pojawiają mi się napady kompulsywnego jedzenia. Rozpoznaję znajome mechanizmy: że planuję sobie, jak by tu pójść do sklepu, wiem, jaką tu mają czekoladę, a gdzie inną, wiem, o której ten sklep zamykają... Przyglądam się temu i widzę – jak z alkoholem.

Czy w wychodzeniu z nałogu pomogła ci któraś z metod aktorskich? W końcu ty te techniki uwielbiasz.

– One mogą być wspierające, ale to zależy, jak się je traktuje. Nie jako owo gmeranie w sobie w poszukiwaniu ciemności, które wspominałem, ale jako kontakt z uczuciami – to tak. Z czystym sercem polecam technikę Meissnera jako technikę aktorską mogącą pomóc poradzić sobie z pewnymi po-

kładami niewyrażonych emocji. Podczas takiego ćwiczenia jak repetitions – powtórzenia – dwie osoby po prostu stają naprzeciwko i patrząc sobie w oczy, odzwierciedlają swoje uczucia.

To ćwiczenie ciekawe na poziomie neurologicznym, na poziomie otwarcia na siebie i drugą osobę, na ściąganiu wstydu, na empatii. I to może trwać nawet kilkanaście minut: ludzie śmieją się, płaczą, krzyczą.

Uwielbiam zapisy na YouTube podobnego do tego tzw. eye contact experiment, kiedy pary nawet z długim stażem, patrząc sobie po prostu w oczy przez cztery minuty, mówią o pogłębionej intymności, a ludzie, którzy się nie znają, prawie się w sobie zakochują.

– Bo dają sobie obecność. Uważność. I to jest bardzo ważne nie tylko w metodach aktorskich, ale przede wszystkim w życiu codziennym.

Dla alkoholika ważna jest obecność innej osoby, bo – jak się często mówi – dla alkoholika najgorszym towarzystwem jest jego własne towarzystwo. Wtedy jego myśli idą w złą stronę. I kiedy on czy ona wychodzą na zewnątrz, do innych – już jest dobrze. Wspieramy się wtedy na kimś.

Dla mnie – samotnika – koszmarem jest granie monodramu. Czy stand-upu. Trzymanie napięcia i odpowiedzialności za całość projektu, wystąpienia z uwagą tylko na sobie nie jest dla mnie. Dla nas lecząca jest

obecność, że nie czujesz się samotny, samotna. I możesz być sobą. Bo uzależnienie to choroba tajemnic przed drugim człowiekiem. Mnie bardzo pomaga moja żona i nasze kocury.

A jak ty się teraz masz?

– Bezpiecznie. Gram w kabaretach, teatrze, filmach. Ludzie wiedzą, że mogą na mnie polegać, podobno przez to nawet ze mnie kpią, że jestem „mokrym snem producenta”.

Może też dlatego, że ja jestem jak żółw – powolnym, wytrwałym długodystansowcem. W biznesie sobie nadal nie radzę, to nie moja działka, wszystko bym rozdał. U nas to ogarnia żona, ona jest lokomotywą, ja jestem wagon sypialny i restauracyjny.

No i muszę ci powiedzieć, że cieszę się, że nie skończyłem jak Robin Williams. Może w tej tragedii komika o to chodzi, że człowiek potrafi być strasznie zabawny w zmaganiu się z życiem, ze światem, z przeciwnościami losu.

Niektórzy oczywiście zawsze wyglądają śmiesznie, ale przecież bywa taki Forrest Gump, że jest i tragicznie, i komediowo.

Widziałam cię w spektaklu, w którym grasz ojca chłopca z autyzmem. Naprawdę rewelacyjny „Dziwny przypadek psa nocną porą” wystawia Teatr Miejski w Gliwicach.

– Ten spektakl jest nieprzytłaczający, a szalenie mądry. I gram tam rolę nietypową, bo w sumie nie jest komediowa, za to chyba ważna.

Musiałem się zastanowić do niej – nie mając dzieci – kto to jest „prawdziwy ojciec”. Bo przecież chyba mi obydwójce znamy pokolenie ojców nieobecnych. Mój i twój wojskowi... A taki wizerunek mężczyzny troskliwego, ojca, który rozmawia, dopiero się przebija. „Jak się czujesz, synu?” zamiast „Co było w szkole?”.

Moje wyobrażenie ojcostwa czerpię m.in. z rozmów z moim chrześniakiem. Tej

frustracji, kiedy próbujesz coś dziecku wytłumaczyć, ale trzeba wielkimi literami. Bo osoby w spektrum są non stop bodźcowane.

Wiem to od mojej żony, osoby w spektrum, która też pomogła mi zrozumieć tę postać. Czytałem podsunięte przez reżysera książki. Oglądałem ukochany serial „Miłość w spektrum” na Netflixie. W głębi serca mam też ukryte pokłady ciepła.

W głębi serca? Przecież ty jesteś totalnie ciepłym facetem.

– Ale potrafię też być apodyktyczny. No z siebie też brałem tego ojca, bo ja lubię troszczyć się o kogoś, zajmować się kimś, lubię rozmawiać, słuchać, doradzić, jeśli ktoś chce.

To jest męskie.

– Tak? Nie? A widzisz, mi się kojarzy z kobiecością. Ale odkrycie!

Chyba wszyscy chcielibyśmy mieć takich ojców – takich też jak ten twój z „Psa...”. Tam nawet jest taki aspekt siły czy złości tego ojca, który jest prawdziwy, równowagę go miłość i oddanie.

– Gdy sobie wyobrażałem, jak by to było mieć syna takiego jak Christopher i tę ogromną frustrację jego rodziców, i to, że czasem po prostu nie można tego opanować, to...

Może to dziwnie zabrzmiało, ale emocje wszędzie są podobne, tylko z różnych powodów się pojawiają. Więc ja, myśląc o ojcostwie i synu w spektrum, myślę o swoich dwóch kotach. Darzę je wielkim uczuciem. I są takie momenty: Czarek strasznie miauczy, a ty jesteś w napięciu, bo masz coś do załatwienia i tu ktoś jeszcze dzwoni, czegoś chce.

Momentami mam ochotę go rozszarpać. Dlaczego akurat w tym momencie musisz miau, miau, miau? Ja sobie wyobrażam, że podobnie jest z dziećmi. Wkurw bywa uzasadniony i choć go nie pochwalamy, to trzeba go zrozumieć.

Czy aktorzy są osobami, które lepiej rozumieją emocje? Czy to pomaga w terapii?

– Granie nie jest terapią i trzeba o tym pamiętać, ale może działać terapeutycznie. Za dużo psychologizowania w teatrze też nie pomaga. Bo siedzimy i robimy gówno na atomy.

A ty nie masz opisywać z zewnątrz, tylko poczuć. Masz być tą postacią. Można pogadać o emocjach, ale czy o nich się na co dzień gada, czy je przeżywa? Ja jak gram spektakl we flow, to czuję, jak moje – Pawła Koślika – emocje z życia się uwalniają. Jakieś zaciski, niewyrażone uczucia. Kanalizują się i wychodzą w postaci innych emocji, ale grając – pozbywam się ich z ciała. Jest reset. No, to jest przyjemne.

Rzadko się zdarza na takim poziomie, ale się zdarza. Następuje wtedy, kiedy podejmujesz ryzyko odważenia się bycia naprawdę aktorem – a może po prostu człowiekiem – tzn. że grasz i się odsłaniaasz. Nawet w tym kabarecie. Najlepsi to mają.

Bill Murray, Tom Hanks.

– Mam czułość do Hanksa: przecież on grał przez długi czas głupkowate role, a teraz Oscary. Rola Forresta Gump'a jest i komediowa, i poważna. Bo życie jest i takie, i takie, co nie? ●

Paweł Koślik

• aktor teatralny, filmowy, serialowy, artysta kabaretowy. W świadomości szerokiej widowni zaistniał jako jeden z twórców serialu komediowego „La la Poland” oraz Prezydent w „Uchu Prezesa”. W latach 2005-12 aktor Teatru Polskiego w Warszawie, obecnie współpracuje z warszawskimi teatrami Dramatycznym, Kamienica, 6. Piętro oraz scenami impresaryjnymi. Od 2012 r. jest jednym z filarów Kabaretu na Koniec Świata. Ukończył wydział aktorski w Warszawskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza.

JAKI MASZ HANDICAP?



• Otwarcie pola golfowego
zbudowane na wysypisku
śmieci. Gorzów Wielkopolski,
7 czerwca 2013 r.

FOT. DANIEL ADAMSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Katarzyna Staszak

Swinie mogły chodzić koło trzeciego dołka albo tu, gdzie stoją dziś domki dla golfistów. A może były hodowane dalej od centrum wioski, a bliżej zabudowań rosły buraki, ziemniaki i zboże? Próbuję sobie wyobrazić, jak w Kalinowie wyglądał PGR. Teraz to 100 hektarów pola golfowego.

Właścicielką pola jest Ewa Zawistowska. Pokazuje mi, które drzewa trzeba było przesadzić, bo rosły na linii strzału do dołków. 500 świerków i brzozy przenosiła w inne miejsce maszyną podobną do dźwigu na budowie.

– Patrzyłam na to i myślałam, że ta operacja chyba się nie uda – wspomina Ewa. Udała się. Drzewa rosną w nowych miejscach już 15 lat.

Telefon od taty: Kup buty

Ewa golfa sobie nie wymarzyła. Była na wakacjach nad morzem, gdy odebrała telefon od taty. – Powiedział kup buty do golfa, bo zapisałem cię na obóz w Modrym Lesie w Choszczynie. Myślałam to, co większość trzydziestolatek myśli o golfie. Że to sport dla emerytów i że na lekcjach umrę z nudów. Niespodzianka: spodobało mi się – opowiada Zawistowska.

Jej ojciec, Andrzej, zaczął grać w golfa, bo miał coraz więcej zawodowych kontaktów z Amerykanami, a oni lubią załatwiać interesy na polu golfowym. Pomyślał, że warto zainwestować w pole w Polsce.

Duże pieniądze zarobił na produkowaniu urządzeń do obróbki cieplnej metali. Czegoś takiego potrzebuje chociażby prze-

Zetki rozluźniają golfową modę. Chcą grać na polach z ekorozwiązaniem. I zamiast chodzić między dołkami, biegają.

mysł lotniczy. Dla Amerykanów robił to, czego oni nie chcieli – jeździł do krajów, które nie są w czołówce ulubionych turystycznych kierunków.

Andrzej Zawistowski kupił tereny po dawnym PGR-ze i od razu planował z rozmachem. Pagórki, stawy, dołki, które będą wyzwaniem dla zaawansowanych graczy, akademie dla początkujących – to wiadomo, podstawa. A do tego domy dla graczy – tak, jak w Ameryce.

Dziś Kalinowe Pola to 27-dołkowe pole. Gdy na 18 dołkach odbywają się turnieje, na dziewięciu mogą grać osoby, które nie chcą startować w zawodach. Trzy dziewiątki dają możliwość układania rozgrywki w kilku kombinacjach. Graczom trasa się nie nudzi – część pola ma charakter leśny, część to tzw. parland z przewagą niższych roślin, a trzecia dziewiątka to tzw. links, czyli bardziej otwarta przestrzeń.

Golf jak stonka i coca-cola

W Polsce mamy 37 pól golfowych. Z tego 24 ma 18 dołków, czyli rozmiar mistrzowski. W dziesiątkach miejsc działają tzw. driving range, czyli przestrzenie do trenowania dalekich uderzeń i dołki, przy których ćwiczyć można uderzenia z bliska. W Łodzi w zeszłym roku powstało największe w Europie kryte pole golfowe, gdzie można trenować niezależnie od pogody.

Golf w Polsce rozwija się, ale powoli. – Na świecie to bardzo popularny sport. Regularnie gra w golfa ponad 100 mln ludzi.

W Polsce liczbę graczy szacujemy na ok. 15 tys. Władze PRL zniszczył polskiego golfa, wsadziły go do jednego worka ze stonką, coca-colą i burzującą. Nie zdarzyło się to w Czechach. Tam komuniści pozwalali grać w golfa. Czesi mają więc wiele pól i wielu graczy: ponad 50 tys. na niespełna 10 mln obywateli – mówi Radosław Frańczak, prezes Polskiego Związku Golfa (PZG). Na co dzień to przedsiębiorca z branży IT, związany z konsultingową firmą EY.

Prezes PZG mówi, że mamy w Polsce blokady mentalne, zapisane w głowach obraz golfa jako sportu ekskluzywnego. A po pierwsze, to przyjemna forma spędzania czasu.

Po upadku PRL powstały w Polsce pierwsze pola golfowe. Ale na początku lat 90. XX w. – jak przypominała niedawno Agata Młynarska – wszyscy byliśmy biedni. Kto w tamtym czasie miał pieniądze na wybranie się na golfa i zainwestowanie w strój, który do takiego miejsca pasował, wydawał się bajecznie bogaty. To nie pomogło w promowaniu golfa jako sportu dla każdego. Zdjęcie z polskich pól golfowych wyglądały jak nie z Polski.

Dziś na pole golfowe można ubrać się w sieciówkę, np. w Decathlonie. Można przyjść na pole w adidasach, które nosimy na co dzień.

Dla bogaczy czy dla każdego?

Golf w Polsce jest naprawdę dostępny cenowo. Jest na pewno tańszy niż jazda na

nartach – mówi prezes PZG. Porównanie z nartami słyszę od niemal każdego golfisty. W samym włoskim Trydencie w sezonie narciarskim jest 150 tys. Polaków. Tygodniowy pobyt pochłania co najmniej kilka tysięcy złotych, sam skipass na tydzień (karnet potrzebny na wyciągi) to koszt ok. 300 euro, czyli prawie 1,3 tys. zł. Za osobę.

Jeden wyjazd na narty jest więc droższy niż roczna gra w golfa. Ale Instagram i Facebook pełne są zdjęć Polaków na nartach w Aplach. Coraz więcej osób uprawia też w Polsce nietanie kolarstwo – inwestuje w drogie rowery, specjalne stroje na różną pogodę, kaski. Jazdą na nartach i na rowerze łatwiej się pochwalić niż grą w golfa – żeby nie wyjść na burżujkę czy burżuja.

Ceny na polach się różnią, ale np. w Gorzowie Wielkopolskim w czwartki 1,5-godzinna lekcja z trenerem kosztuje tylko 40 zł. Za pojedyncze wejście na pole zapłacimy ok. 200 zł. Wypożyczenie koszyka piłek kosztuje w Rumianku pod Poznaniem 20 zł, a wypożyczenie kija – 10 zł.

Możemy zestawiać koszty gry w golfa z paleniem papierosów. Paczka najtańszych papierosów kosztuje 16 zł. Przeciętny palacz wypala paczkę dziennie, czyli miesięcznie puszcza z dymem 480 zł, rocznie – 5,76 tys. zł. Taka kwota wystarczy na roczne członkostwo w większości klubów golfowych w Polsce, albo na ponad 20 jednorazowych wejść na pola.

Być jak Adrian Meronk

W każdą niedzielę na Kalinowe Pola rodzice mogą przyprowadzić dzieci na bezpłatną lekcję. 11 lat temu z próbnej lekcji skorzystał Jan Rybczyński. Dziś jest w kadrze narodowej golfistów, właśnie wrócił z Nowego Jorku po czterech latach studiów. Dy-

plom amerykańskiej uczelni zawdzięcza stypendium golfowemu.

Rybczyński wychował się w Świebodzinie, teraz mieszka jeszcze bliżej Kalinowych Pól. Chociaż zaraz zastrzega, że nie wie, czy tu mieszka. Zawodowo zajmuje się golfem, a to oznacza nieustanne podróże między turniejami.

Czy profesjonalny golf też wymaga reżimu, jaki kojarzymy z innymi dyscyplinami sportowymi? – Mamy treningi na polu, na siłowni, przygotowanie motoryczne, ćwiczenia z fizjoterapeutą. Jesteśmy pod opieką psychologów sportowych i dietetyków – zdradza Rybczyński.

Jego kolega z kadry Adrian Meronk to najbardziej utytułowany i najlepiej opłacany polski golfista w historii. Będzie reprezentowała Polskę na Olimpiadzie w Paryżu. Zawody zaczynają się 1 sierpnia.

Golfiści są pod wrażeniem milionowych zarobków Meronka. Życzą takiej kariery swoim dzieciom i zapisują je do golfowych akademii. Zastrzegają, że dla „rozrywki” i „ogólnego rozwoju”, ale „warto sprawdzić, może dziecko ma predyspozycje”, „może będą z tego studia”. Meronk też studiował w USA i ten etap był kluczowy dla jego kariery. A zaczął grać w golfa przez ojca, który weekendy i wakacje chciał spędzać na polu golfowym.

Golf jak orliki, czyli po szwedzku

Powszechne kojarzenie golfa z bogactwem na pewno odpycha od tej dyscypliny wiele osób. Mysłą, że nie odnajdą się na polu golfowym. Namieszały nam w głowach amerykańskie filmy i seriale. Jeśli fabuła zakłada rozmowę milionerów, czy poszukiwania miliardeira, który nie odbiera telefonu, to zobaczmy go na polu golfowym. Do tego najczęściej okaże się nieprzyjemną osobą. Przez takie obrazy pola wydają się enklawą nadąsanych bogaczy.

A dla nas wzorem powinna być Szwecja. – My budowaliśmy boiska orliki, Szwedzi budowali publiczne 9-dolkowe pola golfowe. Te, które cieszyły się największym powodzeniem, przekształcały się w 18-dolkowe. Dziś Szwecja jest liderem w szkoleniu młodzieży – mówi Rybczyński.

A prezes PZG wylicza: – Na 10 mln mieszkańców Szwecji aż 800 tys. gra w golfa. To prawie 10 proc. narodu. Działa tu 446 pól. To pokazuje, jak wielki potencjał ma polski golf, ile jeszcze mogłoby się zdarzyć. Gdybyśmy byli jak Szwecja, grałoby u nas niemal 3 mln ludzi.

Choć golf wymaga hektarów przestrzeni, to w niektórych miastach na pole dotrzeć można miejską komunikacją. W warszawskiej dzielnicy Wilanów działa prywatne pole treningowe. Małeństwo w porównaniu z prawdziwymi polami, ale można poćwiczyć.

W Bydgoszczy miejskie pole z dziewięcioma dolkami znajduje się obok ogrodu botanicznego, a miejskie pole w Gorzowie Wielkopolskim dosłownie uratowało ważną część miasta.

Turnieje na wysypisku śmieci

W PRL pięć minut od centrum Gorzowa, przy południowym brzegu Warty, powstało wysypisko śmieci. Działo tu do 1992 r. Do stadionu żużlowego, istotnego dla miasta, było z wysypiska zaledwie 700 m. Zakład Utylizacji Odpadów wiedział, że musi zająć się rekultywacją tego terenu.

Jednocześnie lokalni wielbicieli golfa założyli stowarzyszenie i zaczęli prosić ratusz o kawałek gruntu na pole. „Kawałek” to w przypadku golfa teren równy ponad 40 boiskom piłkarskim. I to w tej skromniejszej, dziewięciodolkowej wersji.

W końcu dwie grupy interesu się spotkały. Komunalna spółka i tak miała w perspektywie przykrycie dawnego wysypiska ziemią. Jeśli wyrośnie na niej trawa, nikomu to przeszkadzać nie będzie. Budowa pola 11 lat temu kosztowała 4,5 mln zł.

Prezydentem miasta był wtedy Tadeusz Jędrzejczak z SLD. – Mógł latać drogi, a zdecydował się na „snobistyczną” inwestycję, która nie zwiększy mu liczby wyborców

– wspomina Witold Siwko. Był wśród golfistów, który prosił miasto o ziemię. Dziś jest managerem pola golfowego, które działa na dawnym wysypisku. Prowadzi je w sposób zupełnie niesnobistyczny.

Uczniowie mogą zapisać się do szkółki juniorskiej. Poza tym pole otwiera się na osoby w wieku emerytalnym. – Golf jest w Gorzowie wpisany w miejską kartę seniora, czyli dokument dla osób po sześćdziesiątce. W poniedziałki wypożyczamy im bezpłatnie sprzęt. W wakacje zapraszamy im babcie i dziadków z wnukami. Dla seniorów są potańcówki, dla dzieci bezpłatne lekcje golfa. Latem, w poniedziałki po południu, bezpłatne granie jest też dostępne dla wszystkich, niezależnie od wieku. Przez cały rok pierwsze lekcje dla dzieci są bezpłatne – wymienia Siwko. W kalendarzu imprez na polu są też rodzinne pikniki, ogólnopolskie zawody w nordic walking, biegi.

Gorzowskie pole leży na terenach potencjalnie zalewowych. Między rzeką Wartą a Kanałem Ulgi. Siwko stworzył plan rozbudowy pola w oparciu o miejskie nieużytki. W planie – oprócz kolejnych dziewięciu dołków i akademii golfa – są m.in. korty tenisowe, boiska do siatkówki, ścieżka biegowo-rowerowa. – Wszyscy są za, tylko nikt nie chce wydać pieniędzy – śmieje się Siwko. Na poważnie dodaje, że jakieś szanse na realizację planu są, bo jest ujęty w strategii rozwoju miasta. Na 20. pozycji.

Zamieszkać na polu. Chętnych więcej niż domów

Przy wjeździe na Kalinowe Pola stoją domki do wynajęcia – dla graczy, którzy chcą zostać na polu przez kilka dni. Śniadanie jedzą w restauracji w domu klubowym. Z tarasu widać różne części pola i graczy. Pchają wózki z parasolkami przeciwsłonecznymi.

O 6 rano grę zaczyna założyciel pola Andrzej Zawistowski. O 7 Ania Komierowska-Szweycer jest już w golfowej spódniczce i czapce z daszkiem, wstała wcześniej i ćwiczyła jogę. Jak tylko odda synów do szkółki golfowej wyjdzie z mężem na pole.

Śniadanie jedzą patrząc na staw i dołek numer 18. Siedzą przy świerku przeniesionym z innej części pola. Ania Komierowska-Szweycer z mężem Januszem Szweycerem mieszka w jednym z domów zbudowanych na obrzeżach Kalinowych Pól. Na ul. Golfowej. W innych częściach pola budują się kolejne domy. Chętnych na takie nieruchomości jest wielu. Gracze kupują i budują też domy w miejscowościach przy polach golfowych.

U Ani Komierowskiej-Szweycer było inaczej – dom na polu, jako inwestycję, kupili jej rodzice. Jednak Andrzej i Ewa Zawistowscy, wuj i kuzynka Ani, namawiali ją, żeby przyjechała na lekcje.

Początki miała trudne. – Ale się uparłam – mówi Ania.

Na pole zabrała męża. Lubili razem uprawiać sporty, żeglowali i jeździli konno. – Była majówka, postanowiliśmy połączyć jazdę konną z lekcjami golfa. O naszym golfowym rozwoju zdecydował koń. Przewrócił się na Janusza w czasie jazdy w lesie. Pojechaliśmy do szpitala. Janusz miał złamane żebro i dłonie całe w bąblach od trzymania kija golfowego. Lekarka ze współczuciem spojrzała na te ręce i zapytała „To od łopaty?”. Myślała, że ciężko pracował fizycznie. To częste u początkujących graczy – źle trzymają kij, ale bardzo się starają. Tak bardzo, że aż boli – śmieje się Komierowska-Szweycer.

Z niemowlakiem po polu

Po tamtej majówce Ania i Janusz stwierdzili, że skoro chcą założyć rodzinę, to powinni poświęcić się bezpieczniejszej dyscyplinie niż jazda konna.

Zrobili kurs na zieloną kartę golfową. Jest ważna na wszystkich polach świata, uprawnia do samodzielnej gry. Oznacza, że gracz zna zasady, nie robi krzywdy sobie i komuś. Np. gdy widzi innych graczy na linii strzału, nie podchodzi z kijem do swojej piłki, czeka aż ludzie znikną z horyzontu.



Adrian Meronk to najbardziej utytułowany i najlepiej opłacany polski golfista w historii. Będzie reprezentował Polskę na Olimpiadzie w Paryżu.

FOT. PAPIER/CJ GUNTHER

– Ten kurs był dla mnie potwornym przeżyciem, na egzaminie płakałam pod okularami przeciwsłonecznymi. Nie pamiętam, żeby jeszcze w życiu coś mnie tak frustrowało. Do tego bolało mnie całe ciało. Golf na początku boli – wspomina Ania.

Gdy urodziła pierwszego syna uznała, że nie będzie siedzieć z niemowlakiem w mieszkaniu w Warszawie. Po co, skoro może zajmować się dzieckiem w Kalinowie, w otoczeniu zieleni.

Pchałam wózek z dzieckiem po polu i grałam. Wtedy się w golfie zakochałam. We wszystkim, co daje. Zamiast chodzić z wózkiem po ulicy, pić z innymi matkami kawę w kawiarni, szłam wśród zieleni. Czasem umawiałam się z innymi golfistkami. Podpatrywałam, co robią. Dlaczego ich uderzenie podrywa piłkę w górę i wybija daleko, a mój kij ryje trawę i toczy piłkę płasko? Odkryłam w praktyce to, co pokazują badania naukowe: w golfie liczy się ustawienie. Zrelaksowany człowiek gra lepiej. Napinanie się nie poprawia wyników – mówi Komierowska-Szweycer.

Z drugim synem też przyjechała na Kalinowe Pola. Chłopcy grają w golfa, od kiedy pamiętają.

Technika i analizy Harvardu

Gdy spotykam Anię Komierowską-Szweycer na Kalinowych Polach, gra akurat szybko, tłumaczy mi szybko, co robi i się usprawiedliwia: – Chcę przejść dziewięć dołków zanim chłopcy skończą trening.

Wydaje się, że gra bez zastanowienia, ale ma plan. Piłka ma pokonać staw, wy-

łądować na półwyspie, stamtąd Ania chce oddać kolejny strzał przez staw. Potem jeszcze jeden, żeby trafić do dolka. Gdy mi to opowiada, wybiera kij, strzela zgodnie z planem, szybko wsiada do meleksa, podjeżdża na półwysp, dalej robi, co zaplanowała. Mąż zabiera elektryczne auto do garażu, a my skrótem, przy mostku, przez furtkę od strony stawu wchodzimy do ich ogrodu.

W salonie stoją puchary z turniejów golfowych. Właśnie przeszła kolejny etap World Amateur Golfers Championship.

Organizuje wyjazdy łączące jogę z golfem. Na Kalinowym Polu prowadzi ligę damską.

Kto nigdy nie trzymał kija golfowego w rękach, może pomyśleć, że za dobrym strzałem stoi tylko intuicja czy dobrze wytrenowana ręka. Golfista może wydawać się natchniony, ale w rzeczywistości to bardzo techniczny sport.

– Trzeba oszacować, jak daleko polecą piłka. Widzę, że jestem w stanie uderzyć ją na potrzebne mi 120 m, ale którym kijem mam to zrobić? Muszę wziąć pod uwagę prędkość i kierunek wiatru. Może być wilgotno, może na trawie jeszcze leży rosa. Czy piłka siedzi nisko w trawie czy wysoko? Czy lecąc ma pokonać jakąś przeszkodę? Inaczej zagram, jeśli chcę, żeby piłka skreśliła z prawej do lewej itd. – tak Rybczyński opisuje myśli przed uderzeniem. Mówi, że na Harvardzie czy Oksfordzie robi się analizy, poważne badania, żeby znaleźć jakiś wzór na najlepsze uderzenie. – Gdy na turnieju rywalizujesz z osobami podobnymi do siebie, to dla wy-

Trump chwalił się wygranymi w klubowych turniejach golfowych. Biden odpowiedział, że chętnie z nim zagra, jeśli będzie nosił własną torbę z kijami

granej liczy się choćby minimalna różnica – tłumaczy Jan Rybczyński.

Co daje golf?

– Golf sprzyja nawiązywaniu czy umacnianiu relacji. Gdzie jeszcze spędzimy z kimś tyle czasu sportowo, a jednocześnie mamy czas na rozmowę? Po każdym skupieniu na uderzeniu jest spacer, okazja do bycia z inną osobą – mówi prezes PZG.

Golf – w jego ocenie – daje wszystko, czego potrzebujemy dla dobrego samopoczucia. Rzeczywiście, na stres i niepokój naukowcy zalecają ruch, przyjacielskie kontakty z innymi ludźmi i z naturą. Mózg golfistów zalany jest dobroczynnym działaniem zieleni. Parzą na trawę, gdy uderzają kijem w piłkę. Patrzą na hektary zieleni, gdy idą do wystrzelonej piłki. A z tysięcy badań wynika, że już samo opatrzenie na zieleni może obniżyć ciśnienie krwi i stężenie kortyzolu, czyli hormonu stresu. Na polu jesteśmy oddzieleni od samochodowego ruchu, oddychamy lepszym powietrzem.

Niesłychana jest demokratyczność golfa. Może ją uprawiać każdy, na każdym poziomie zaawansowania, w każdym wieku, z każdą sprawnością fizyczną – podkreśla prezes Frańczak.

Jan Rybczyński widzi się na polu przez całe życie. – Jest liga seniorska. Można umrzeć zawodowo grając w golfa – mówi. – Najważniejszym polem, na którym rozgrywa się mecz golfa, jest 20 cm między uszami. Wiek czasami więc nawet pomaga, lepiej panuje się nad emocjami. Golf nazywany jest grą błędów. Chodzisz przez pięć godzin po polu i popełniasz błędy. Kto popełni tych błędów mniej, wygrywa – mówi Rybczyński.

Zaznacza, że takie spojrzenie, dotyczy sportu zawodowego. – Dla amatorów wizyta na polu golfowym to najczęściej spotkanie z przyjaciółmi, czas spędzany z rodziną. Można zabrać kanapki i mieć chodzony piknik. Choć są amatorzy, którzy lubią rywalizację.

Niektórzy, żeby podkreślić presję zakładając się o pieniądze, czasami duże. W tym golf przypomina bilard. Tylko że podczas jednej wizyty na polu golfowym możemy stracić nawet 3 tys. kcal, przy stole bilardowym to niewykonalne – stwierdza Rybczyński. Prezes PZG zwraca uwagę, że grać może każdy z każdym, np. dorośli z dziećmi. I będzie to prawdziwa rywalizacja. Pozwala na to specjalny system, czyli handicap.

O co spierali się Trump i Biden

Ten system był jednym z wątków niedawnej debaty kandydatów na prezydenta USA. Zaczęło się od pytania o wiek. 78-letni Donald Trump podkreślał, że jest w dobrej formie i chwalił się wygranymi w klubowych turniejach golfowych. Stwierdził, że Joe Biden nie byłby w stanie wybić piłki na 50 jardów (ok. 45 m).

81-letni Biden odpowiedział, że chętnie zagra z byłym prezydentem w golfa, jeśli będzie on nosił własną torbę z kijami. Dodał, że poprawił swój handicap i że obecnie wynosi on sześć. Trump nazwał to „kłamstwem” i stwierdził „Widziałem twój zamach”.

Istnienie handicapu to dowód na inkluzywność golfa. Inkluzywności oczekujemy od zakładów pracy i innych środowisk. Każdy człowiek – bez względu na tożsamość, płeć, zdolności, pochodzenie i cechy – ma być akceptowany i doceniany. Golf ma na to specjalny algorytm.

Gdybyśmy chciała rozegrać rundę z moją koleżanką Anią Komierowską-Szweycer, bez handicapu możemy już na początku ustalić, że ona wygra. Ma za sobą 10 lat na polu, a ja dwie godziny. Gdy ona trafi do dołka dając trzy strzały, ja będę potrzebować na ten sam dołek osiem uderzeń. Żeby każdy mógł grać z każdym, żeby doświadczony gracz mógł zaprosić na pole niedoświadczoną osobę, wymyślono handicap.

To formalne wyrównanie szans. Jeśli profesjonalista jest w stanie przejść pole golfowe wykonując 72 uderzenia, amator dodaje do tego swój aktualny handicap. W Polsce osoby rozpoczynające grę otrzymują handicap 54.

Grając regularnie poprawiamy swoje umiejętności. Sprawdzamy je startując w amatorskich turniejach golfowych. Po rozgrywce wyniki wprowadzane są do programu komputerowego, który określa na ich podstawie, jak dobrymi golfistami jesteśmy. Im lepszy gracz, tym niższy handicap. Profesjonaliści handicapu nie mają.

Żeby uznać wynik na danym polu golfowym za miarodajny dla określenia handicapu, pole musi być skalibrowane przez komisję PZG. Czyli w systemie handicapowym zostanie ustalona liczba uderzeń „idealnych” dla rozgrywki w tym miejscu.

Gdy wchodzimy na pole widzimy na mapce, że np. zaliczenie szóstego dołka wymaga pięciu uderzeń. Kto wykona ich mniej, jest świetny, kto wykona ich więcej, nie musi się martwić, bo ma swoje dodatkowe uderzenia w handicapie.

Po turniejach aktualizować można swoją kartę handicapową wydawaną przez PZG. Karta jest honorowana na całym świecie. Można więc porównać się z prezydentem

lepsze uczelnie na świecie robią badania dotyczące pielęgnacji trawy.

U nas często pielęgnacja zieleni opiera się na wymianie informacji między Mietkiem a Krzyśkiem. Ja wolę sprawdzać doniesienia naukowców, zapisuję się na zagraniczne webinary. Lubię wiedzę opartą na dowodach i sprawdzanie danych. W ostatnich latach przybywa pomysłów na naturalne środki – opowiada manager pola w Gorzowie.

Jak naturalnie dokarmia się trawę? Modne są np. wspomagacze oparte o fermentację i algi. Siwko na jednym z dołków testuje właśnie rozwiązanie opisane przez francuski uniwersytet. – Chodzi o grzyby, które pod ziemią tworzą sieć podobną do pajęczyny. Ta sieć zatrzymuje wilgoć na dłużej. Dania główne dla zieleni są znane i muszą je dać. To azot, fosfor, potas, siarka, sole mineralne. Desery serwujemy tylko organiczne. Wszystko idzie w kierunku ograniczenia chemii na polach golfowych – mówi.

A co z wodą? Skoro nawet przydomowy trawnik wymaga jej mnóstwo, jak radzą so-

W Polsce gra w golfa może być tańsza niż palenie papierosów. Na pewno jest tańsza niż wyjazd na narty

Bidenem. I zawsze ma się temat do rozmowy: Jaki masz handicap?

Co wie twój caddie

– Można kupić kije za 6 tys. zł, ale to nie jest to potrzebne, żeby dobrze się bawić czy nawet dobrze grać. Jeśli chcemy mieć własne kije, wystarczą używane znalezione na OLX. Gdy cztery lata temu grałem swój najlepszy sezon, nie miałem ani jednego naprawdę własnego kija. Jeden był pożyczony, inny od trenera, inny dostałem, bo się z kimś na coś wymienilem – wspomina Rybczyński.

Profesjonalnych golfistów wyróżnia pomocnik – caddie. To osoba, która niesie torbę z kijami, ale też, a może przede wszystkim, podpowiada, po jaki kij w danym momencie sięgnąć.

Jak byłem w Stanach, dorabiałem sobie jako caddie na ekskluzywnym polu golfowym na Long Island. W amerykańskich prestiżowych klubach, gracze nie mogą nosić swoich toreb sami. To wynika z regulaminu i koniec – tłumaczy Rybczyński.

Mówi, że pola w okolicy Nowego Jorku, to ewenement na skalę światową. – Niby wszyscy w USA są otwarci na różnorodność, ale są kluby, które konsekwentnie odmawiają komuś członkostwa, choćby nie wiadomo, ile miał pieniędzy.

Są miejsca, gdzie wciąż nie wpuszcza się kobiet. I takie, gdzie, żeby się zapisać, trzeba mieć listy polecające od trzech innych członków. Oprócz rocznej opłaty zapłacić 2 mln dol. wpisowego.

Nauka w służbie trawy

W amerykańskich filmach i serialach gracze nie chodzą po polu, tylko jeżdżą meklemsem. Tak jest szybciej.

To znowu przekłamany obraz, bo – jak opowiada Rybczyński – są w USA kluby, w których meleksów używać nie wolno. – Jeśli pole powstało dano temu i jest to wyjątkowy projekt, zieleni jest tu święta. Korzystanie z meleksa byłoby, jak jeżdżenie elektrycznymi hulajnogami po Bazylice Mariackiej – podsumowuje.

Na każdym polu golfowym pracuje greenkeeper, czyli specjalista od trawy. Podobnych ekspertów mają stadiony piłkarskie. – W Wielkiej Brytanii, USA, Skandynawii greenkeeper to poważny zawód. W Polsce nie kształcimy takich specjalistów. Naj-

bie pola? Stawy, które są wymagane przez szkoda dla graczy, wypełniają się wodami gruntowymi. Zraszacze odpalane nad ranem korzystają właśnie z takiej wody.

Roboty koszące zasilane słońcem

Pole Black Water Links w Rumianku koło Poznania korzysta z „nadwyżek” wody z miejskiej oczyszczalni ścieków. Wpływała w ziemię, która zapewniała jej naturalną filtrację. Teraz płynie do stawów i zbiorników na terenie pola, stąd system pobiera ją, żeby podlać zieleni. Z trawy znowu wraca do stawów, które powstały w punktach, w jakich naturalnie zbierała się woda.

O tym polu gracze mówią „najbardziej ekologiczne w Polsce”. Atrakcją są tu 34 roboty koszące zasilane fotowoltaiką. Gdy o 4 rano zaczynają pracę, przypominają domowe, bezprzewodowe odkurzacze. Mają 12 trybów cięcia – mogą ścinać trawę w pasy, rąby czy szachownicę. – Kosiarki same wracają do stacji dokujących. Są ciche, energooszczędne, nie przeszkadzają graczom – mówi Waldemar Rumiński, dyrektor zarządzający Black Water Link.

Jeśli graczy w golfa będzie więcej, skorzystają na tym wszystkie pola. Każda gra jest inna, bo zmieniają się warunki. Trawa może być mokra lub sucha, zmienia się prędkość i kierunek wiatru. Inne jest towarzystwo czy – jeśli widzimy to spotkanie bardziej sportowo – nasi rywale.

Każde pole jest inne, inaczej położone, inaczej zaprojektowane. Dlatego kwitnie turystyka golfowa. W dużej mierze napędza ją krótki sezon w wielu krajach.

Golfiści żyją dłużej

Z badania przeprowadzonego w Szwecji wynika, że golfiści żyją średnio o pięć lat dłużej. Oczywiście, na ten wynik może wpływać nie tylko sam golf, ale w ogóle styl życia golfistów. Mogą być osobami, które średnio lepiej niż reszta społeczeństwa dbają o to, co jedzą, więcej się ruszają także poza polem golfowym i bardziej pilnują kontrolnych wizyt u lekarzy.

Ktoś mógłby powiedzieć: pewnie chodzi o pieniądze. Kogo stać na grę w golfa, tego stać na zdrowszy styl życia. Ale ze szwedzkiego badania wynika, że golf wydłuża życie niezależnie od poziomu dochodów.

Naukowcy z Finlandii porównali grę w golfa z bardziej popularną w Polsce ak-

tywnością, czyli nordic walking. Okazało się, że golf ma większy wpływ na zdrowie serca i całego układu krążenia niż chodzenie z kijkami. Gra w golfa oznacza dłuższe bycie w ruchu, a więc korzystniej wpływa na poziom cukru we krwi i profil lipidowy, czyli stężenie cholesterolu.

Golf zalicza się do aktywności, które mogą zmniejszać ryzyko rozwoju 40 chorób w tym cukrzycy, demencji, depresji czy raka jelita.

W jednym z hrabstw w Szkocji, uniwersytet medyczny sprawdzał, jakie skutki będzie miał golf zapisywany na receptę. Lekarze podstawowej opieki zdrowotnej proponowali starszym osobom receptę na zajęcia golfowe. Terapia trwała od sześciu do ośmiu tygodni. „Pacjentów” przyjmowały lokalne pola. Efekty? Gracze opowiadali o lepszym nastroju, radości z przebywania na świeżym powietrzu i nowych przyjaźniach.

Kocha to Spider-Man i Justin Biber

W analizach o stanie i przyszłości golfa eksperci podkreślają nową energię, jaką do tej dyscypliny wnosi generacja Z. Osoby urodzone po 1995 r. nie znają świata bez internetu, ale wizyty na polu golfowym cenią właśnie za odcięcie od telefonu – wynika z badań. Golf to dla zetek przede wszystkim sposób na stres i zmęczenie przebodźcowaniem.

Zetki cenią technologie, które pomagają im grać w golfa lepiej. Lubią symulatory gry oraz aplikacje i zegarki do analizowania swingu, czyli ruchu ciała związanego z uderzeniem piłki.

Urządzenia oceniają grę i dostarczają danych. Są jak osobisty trener, który może korygować błędy. Zetki zajmują się więc intensywnie golfem także wtedy, gdy nie grają.

Zetki przenoszą dyskusje o golfie z domu klubu, do mediów społecznościowych. Wykorzystują hobby do nawiązywania relacji, tak jak rodzice i dziadkowie, ale online mogą być ze znajomymi z pola w nieustannym kontakcie.

Inkluzywność to dla zetek świętość. Nie będą szanować na polach golfowych barier wynikających z tradycji, które uważają za krzywdzące. Mogą na „konserwatywne” pola nie przychodzić. Ale kto by nie chciał mieć wśród członków klubu Justina Bibera?

Ten piosenkarz, którego obserwuje na Instagramie 294 mln osób, formalnie do zetek się nie zalicza, bo urodził się w 1994 r., ale z żoną Hailey są dla generacji Z jedną z najbardziej ulubionych par świata. W golfa gra też Tom Holland, odtwórca roli Spider-Mana. Sam ma 65,4 mln obserwujących na Instagramie, ale jego dziewczyna Zendaya aż 183 mln. Często wspomina o pa-sji swojego chłopaka.

Zetki rozluźniają golfową modę. Noszą ubrania bardziej obszerne, kolorowe, mniej przypominające szkolne mundurki. Nie chcą rezygnować na polu ze swojego stylu. Bibera często gra boso, a nawet z gołym, za to wytatuowanym, torsem.

Marki reagują na oczekiwania młodych. Sportofino, czyli sklep ze sportową odzieżą premium, informuje, że zainteresowanie kategorią „golf” rośnie. Zeszły rok przyniósł w Polsce wzrost sprzedaży o 30 proc. W porównaniu z rokiem 2022. – Możemy mówić o pojawieniu się młodsze go konsumenta, a także o zwiększonym udziale sprzedaży produktów golfowych przez internet – podaje Sportofino.

Jak zagrać szybciej

Zetki chcą grać na polach, które wprowadzają ekologiczne rozwiązania. I wymyślają sposoby, jak wpadać na golfa często, ale być na nim krócej. Zamiast chodzić między dołkami, można biegać, co sprawia, że trening jest intensywniejszy.

Zetką jest Jan Rybczyński. Pytam, czy pamięta, dlaczego jako 13-latek wciągnął się w golfa. Przecież miał już wtedy swój ulubiony sport – poważnie trenował pływanie.

Rybczyński: – Myślę, że niektórzy mają taki charakter: jak coś im nie wychodzi, to nie przestaną, dopóki im jednak nie wyjdzie. Batalia z golfem trwa całe życie. To jak uzależnienie, dążenie do perfekcji, która jest nieosiągalna. ●



FOT. ALAMY STOCK PHOTO

Tragiczny czyn

LEONA CZOLGOSZA

Nie wyrywał się.

Wyciągał jedynie szyję, żeby zobaczyć, co z prezydentem.
McKInney leżał na ziemi w koszuli nasiąkłej krwią.

Maciej Jarkowiec

N

Na oceanie. Parowiec napakowany ludźmi. Pod pokładem ciemne, kilkudziesięcioosobowe kajuty z wielopiętrowymi kojami, szczury, drewniane wiadra z fekaliami, kałuże wymiocin, smród. Na pokładzie wiatr i bezkres. Marianna Czołgosz, z domu Nowak, lat 28, patrzy w dal, trzymając dłonie na okrągłym brzuchu. Dzień szary, marcowy, rok 1872. Morze smutne jak zaorane pola na przednówku u nich, w Górze koło Żnina, dawna Rzeczpospolita, zabór pruski.

LEON

Nie mieli ziemi. Pracowali na cudzej, poza tym ona szyla, prała i gotowała dla bogatszych, a jej mąż Paweł chwytał się dorywczych prac w mieście. Być może w Poznaniu wpadł mu w ręce folder reklamowy jednej z linii transatlantyckich, które zwoziły miliony emigrantów do ziemi obiecanej. W folderach, docierających przez biura przewoźników do najdalszych zakątków świata, pisano, że ulice w Ameryce bywają brukowane złotem.

Paweł dotarł do Detroit w Nowy Rok 1872. Niewiele później wysłał do żony list. Kazał ruszać.

Więc Marianna płynie do Ameryki. Wokół niej trójka dzieci, a w łonie czwarte – syn, który urodzi się za dwa miesiące i dostanie imię Leon. To on rozsławi rodzinę.

KAMERA

W 1886 roku Thomas Edison, najsłynniejszy wynalazca ery postępu, zwany Czarodziejem, w niewielkim West Orange w New Jersey buduje potężny kompleks badawczy, w którym zamierza rozwijać wszystko – od zegarków po lokomotywy.

Dzisiaj jest tam muzeum. W jednej z hal wisi tablica: „Za tą ścianą, w 1888 roku, Thomas Edison i W.K.L. Dickson stworzyli pierwszą kamerę filmową”.

PAUL

Leon Czołgosz przychodzi na świat w Detroit w dzielnicy zwanej Polacktown. Miasto liczy wówczas 80 tysięcy mieszkańców i rozbudowuje się w zawrotnym tempie. Powstają tartaki, garbarnie, odlewnie, huty, stocznie, zakłady produkcji taboru kolejowego, silników parowych, rzeźnie, browary. W Ameryce trwa gilded age – pozłacany wiek – czas napływu milionów ludzi z całego świata, uprzedysłownienia, urbanizacji, rozwoju transportu, narodzin gigantycznych fortun. Tworzy się nowa amerykańska arystokracja – rodziny Astorów, Vanderbiltów, Fordów, Rockefellerów, Hearstów, Morganów czy Carnegich prowadzą styl życia rodem z przedrewolucyjnej Francji.

W Detroit ulice nie są brukowane złotem, jak pisano w folderach linii transatlantyckich, ale da się żyć. W Michigan nowi imigranci nie tłoczą się w zatęchłych czynszówkach jak na ciasnym Manhattanie, lecz mieszkają w nowych, prostych, ale wygodnych domach. Paweł Czołgosz – w amerykańskich dokumentach Paul – często zmienia pracę, bo ciągle napływał przybyszów do miasta sprawia, że rotacja w fabrykach jest duża. Nowi wypychają starych, przyjmując niższe stawki. Czołgoszowie każdy grosz odkładają na swój amerykański sen: własny kawałek ziemi.

Wiele lat później do Paula przyjedzie pewien psycholog z Bostonu zbierający materiały do książki o mordercach. Paul nadal będzie mówił tylko po polsku, psycholog zatrudni tłumacza. Po wywiadzie poprosi, aby Paul pozował do zdjęcia. Stary Czołgosz usiadłże prosto w garniturze. Łagodne oczy, bujne wąsy, bruzdy na policzkach, lewa dłoń – koścista,

spracowana – ułożona na piersi. W kłapie marynarki wpinka z fotografią ukochanego syna Leona.

ŚWIATŁO

Edison przeszedł do historii jako wynalazca żarówki. Opowieść jest ważniejsza od faktów, a nikt wtedy nie opowiadał tak dobrze jak Czarodziej. Lampy żarowe istniały przed jego urodzeniem. Ich największym problemem była jednak krótka żywotność włókna – świeciły tylko przez chwilę.

W laboratoriach Edisona powstaje włókno ze zwęglonego bambusa japońskiego. Świeci przez kilkanaście godzin. Edison łączył tysiące żarówek w sieć, wykorzystując infrastrukturę telegraficzną. Pierwsza stacja zasilania rusza 5 września 1882 roku na Pearl Street w Nowym Jorku.

Światło elektryczne odmienia świat – noc w mieście staje się rozrywką, metropolie zaczynają tętnić nocnym życiem.

Dzięki mocy z elektrowni pod wodospadem Niagara pierwszym w pełni zelektryfikowanym miastem Ameryki zostaje Buffalo w stanie Nowy Jork. Dostaje miano Miasta Światła. W 1901 roku na wielką wystawę panamerykańską w Buffalo zwabione jasnością jak ćmy przybędą miliony Amerykanów. Również prezydent Stanów Zjednoczonych William McKinley, a jego śladem – Leon Czołgosz. Ludzie Edisona wszystko sfilmują.



ANARCHISTKA

Wychylane szklanki, filiżanki, mięso krojone na talerzach, pełne usta, roześmiane twarze, pot na czołach, cygara, papierosy, fajki, zgiełk, rozmowy w jidysz, po rosyjsku, niemiecku, polsku, pokrzykiwania, rechoty, kelnerzy biegający między stolami, zapach piwa, smażonej cebuli, ludzkich ciał, zapach naddciągającej rewolucji.

Kawiarnia Sach's, Suffolk Street, imigrancka dzielnica Lower East Side, Nowy Jork, późne popołudnie, niedziela, 15 sierpnia 1889 roku. Przy jednym ze stołów w towarzystwie znajomych rozdyskutowana Emma Goldman, lat 20, okrągła buzia, kręcona blond grzywka, która nadaje dorosłej kobiecie uroku niewinnej dziewczynki. On patrzy na nią z drugiego końca sali.

W Sankt Petersburgu, skąd przybyła przed czterema laty, szantażowała ojca, że rzuci się do Newy, jeśli wyda ją na siłę za mąż. Ortodoksyjna rodzina żydowska. Niezamożna. Ciężka praca, próby interesów, plaży, przestrzeganie religijnych norm. Ojciec wychowuje przy pomocy pejsza, również córki. Nauczyciele w szkole biją linijką po dłoniach. Karana często Emma ma buntowniczą naturę. Czyta książki socjalisty Nikolaja Czernyszewskiego.

W wieku 16 lat ucieka do Ameryki. Mieszka u przyrodnich siostr w Rochester w stanie Nowy Jork, zatrudnia się w szwalni, poślubia kolegę z pracy. Rok po jej przyjeździe na Haymarket Square w Chicago wybucha bomba. Emma czyta o tym w gazetach.

Gdy arystokraci pozłacanego wieku ścigają się, który postawi bogatszy pałac w Newport w stanie Rhode Island, miliony robotników budujących nowy, wspaniały świat żyją z dnia na dzień, na granicy nędzy. Pracują po 12 godzin dziennie, zdarza się, że dłużej. Nie ma ochrony zdrowia, zasiłków, ubezpieczeń. Krachy na giełdzie uruchamiają domina bankructw i masowych zwolnień. Wykluwa się ruch robotniczy, wybuchają strajki. Rosną w siłę związki zawodowe. Na ich konwencji jesienią 1884 roku zostaje ogłoszona data wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy – 1 maja 1886.

◀ **Leon Czołgosz (1873-1901) na zdjęciu wykonanym tuż po aresztowaniu**

▲ **Zamachowiec strzela do prezydenta Williama McKinleya (1843-1901) w Świątyni Muzyki podczas wielkiej wystawy panamerykańskiej. Buffalo, 6 września 1901 roku. Rys. T. Dart Walker** FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Gdy ów dzień przychodzi, rozpoczyna się strajk generalny. 4 maja w czasie robotniczej demonstracji na Haymarket Square w Chicago ktoś rzuca bombę w kierunku nacierającej policji. Ginie siedmiu policjantów i czterech cywilów. W szybkim procesie siedmiu anarchistów dostaje wyrok śmierci, choć nie ma dowodów ich winy, a jedynie poszlaki wskazują, że jeden z nich mógł skonstruować bombę. Rok później wyroki dla dwóch skazanych zostają zamienione na więzienie, jeden popełnia samobójstwo w celi, a czterech zostaje powieszonych. Dla Emmy Goldman i tysięcy robotników są męczennikami.

Emma wsiąka w ruch anarchistyczny. 15 sierpnia 1889 o świcie wsiada na prom z Rochester do Nowego Jorku. Zostawia męża i dotychczasowe życie. Ma przy sobie cały dobytek: maszynę do szycia i pięć dolarów. W Nowym Jorku odnajduje znajomego anarchistę, a ten, jeszcze tego samego popołudnia, zabiera ją do Sach's Cafe – gdzie schodzą się młodzi radykalowie z Lower East Side. Pośród tłumu i dymu jej wzrok napotyka oczy wpatrzone w nią z drugiego końca sali. Należą do Alexandra (Sashy) Berkmana, lat 19, szczupła twarz, krótkie czarne włosy, duże usta, okulary w drucianej oprawie, marzenie, aby podpalić świat i wyzwolić wszystkich uciskanych. Od tej chwili Emma i Sasha będą walczyć razem.

STRAJK

Dymiące kominy, wieże kościołów, cerkiewne kopuły, dachy synagog, słupy telegraficzne, place budów, rosną wieże wysokościowców, nowe kamienice, stalowe mosty, Hotel Kolonialny, tramwaje przecinają aleje bez chodników, lecą w dół pełne blocka ulice domów szeregowych, biegają po nich dzieciaki w lachmanach, mężczyźni tysiącami maszerują ku ceglanyłm budynkom fabryk, ku kominom, torom i bocznicom, ku wagonom pełnym rudy. O poranku robotnicy nikną we mgłę zmieszanej z dymem, a o zmierzchu ich brudne kombinezony błyszczą w świetle ulicznych lamp.

Pośród nich Leon Czołgosz, lat 20, przystojna twarz, czarne brwi i włosy zaczesane na bok, duże usta, łagodne oczy. Gdyby dożył starości, nieuchronnie upodobniłby się do ojca. Czołgoszowie mieszkają w Cleveland, Ohio, od kilku lat. Leon pracuje w walcowni stali. Ma wzorową opinię – nie spóźnia się, nie pije. Oszczędza – rodzina planuje zakup farmy na prerii.

Po nocnych zmianach Leon przychodzi do saloonu przy Trzeciej Alei prowadzonego przez ojca. Odświeża się nad umywalką, poleruje buty, wypija szklankę mleka i czyta gazetę. Latem 1892 roku piszą o strajku w zakładach stalowych Homestead w Pittsburghu należących do Andrew Carnegiego, jednego z największych przemysłowców pozłacanego wieku. Henry Frick zarządzający imperium Carnegiego ma plan rozbicia strajku, stosowany z powodzeniem w dziesiątkach miejsc – wycofując fabrykę z dotychczasowych robotników i wyprowadzić na ich miejsce nowych, każdego dnia przybywających do Ameryki tysiącami. Ale związkowcy z Homestead są uzbrojeni. Dochodzi do bitwy między nimi a najemnikami z prywatnej agencji Pinkertona. Pada siedmiu robotników i trzech pinkertonowców. Wkracza stanowa milicja. Strajk zostaje zduszony.

Pod koniec lipca Leon czyta o nieudanej próbie zamachu na Henry'ego Fricka. Młody anarchista imieniem Alexander Berkman wtargnął do biura Fricka w Nowym Jorku, oddał do niego dwa strzały i dźgnął go nożem. Frick uszedł cało. Berkmana pojmano. Ponoć współdziałała z nim jego kochanka, anarchistka Emma Goldman.

W ostatniej dekadzie XIX wieku pozłacany wiek ma się ku końcowi. Pęka bańka napompowana przez kolonizację Zachodu – budowę kolei, miast, telegraficznej infrastruktury, przez gorączki złota i srebra, przez obsiewanie tysięcy akrów nowych ziem. W 1893 roku na giełdzie dochodzi do paniki. Ludzie wyprzedają akcje i podejmują z banków depozyty. Bankrutuje 15 tysięcy firm. W niektórych miastach bezrobocie dochodzi do 50 proc. Walcownia w Cleveland, gdzie pracują Leon i jego brat Waldek, utrzymuje się na powierzchni, ale ogłasza zwolnienia i obniżki płac. Wybuch strajk. Leon i Waldek modlą się wspólnie o jego powodzenie. Gdy zostają zwolnieni, idą porozmawiać z księdzem. Pytają, dlaczego Bóg nie wysłuchał ich prośb. Ksiądz radzi dalej się modlić. Czytają Biblię i dochodzą do przekonania, że Kościół ich oszukał. Nowy Testament jest pełen



opowieści o biednych i uciskanych, których nigdy nie słyszeli na mszach.

Leon przestaje chodzić do kościoła. Zaczyna czytać inne gazety. Nieraz publikują w nich teksty i fotografie dziewczyny o gładkiej, okrągłej buzi i kręconej grzywce, której nazwisko zobaczył rok wcześniej w relacji z zamachu na Henry’ego Fricka. Jej opowieści pochłaniają Leona bez reszty.

NIE CZŁOWIEK

Ciasne, zadymione salki, drewniane ławki, mężczyźni w wytartych marynarkach, przepoconych koszulach, z nieusuwalnym brudem pod paznokciami, policyjni tajniacy powciskani w rogi, zawsze rozpoznawalni – ciut za schludni, ciut zbyt pachnący – światło pojedynczej żarówki pod sufitem, zapach gruzliczych oddechów, a z przodu, za stołem, ona, jedyna kobieta.

Emma Goldman uniknęła kary za domniemany współudział w zorganizowaniu nieudanego zamachu na Fricka. Jej towarzysz i kochanek Sasha Berkman dostał 22 lata więzienia. Gdy on siedzi, ona walczy.

– Rząd jest nam niepotrzebny i musimy się go pozbyć! – krzyczy. – Idźcie tam, gdzie mieszkają bogaci. Uderzajcie w drzwi, żądajcie pracy. Jeśli nie dadzą wam pracy, żądajcie chleba. Jeśli nie dadzą wam chleba, weźcie go sobie sami!

Nawołuje, aby nadochodzić restauracje i piekarnie. Aby używać siły, jeśli jest to konieczne. Jedno z jej przemówień, zatytułowane „Nowoczesny rozdział anarchii”, traktuje m.in. o dopuszczalności zamachów politycznych. Rozbudza ekstatyczne emocje. Mężczyźni krzyczą, wiwatują, chcą jej dotykać, całować ją, nosić na rękach; wychodzą z wieców odmienieni.

W Cleveland słucha jej Leon Czolgosz. Jest rok 1895, Czolgoszowie mają już wtedy wymarzoną farmę w okolicach Warrensville, 10 mil na wschód od miasta. Leon wozi mleko do serowni, naprawia narzędzia i maszyny, poluje – świetnie posługuje się bronią. Ale pracuje na gospodarstwie mniej niż reszta rodziny. Czyta godzinami, najbardziej wytartą książką jest bestseller Edwarda Bellamy’ego „Looking Backward” (Patrząc wstecz). Jej bohater, Julian West, budzi się w roku 2000, po 113 latach śpiączki. Na świecie panuje socjalizm. Godziny pracy są krótkie, jada się w darmowych stołówkach, w wieku 45 lat przechodzi się na emeryturę. Ludzie, których spotyka West, tłumaczą mu, jak zbudowano utopię.

Od roboty na farmie Leon woli do-rywczce prace w mieście. Gdy zatrudnia się czasowo w fabryce, z której kilka lat wcześniej go zwolniono, przedstawia się jako Fred Nieman (polskie „nie”, angielskie „człowiek”). Od tej pory używa tylko tego nazwiska.

KINOMANIA

Jesienią 1891 roku z zakładów Edisona wychodzą pierwsze modele kinetografu – kamery filmowej – i kinetoskopu – maszyny do wyświetlania filmów.

Pierwsze salony filmowe powstają w Chicago, Atlantic City i Nowym Jorku. W każdym stoi po kilka drewnianych skrzyń, klient wrzuca pięciocentówkę do szczeliny i przez wizjer ogląda film wyświetlany w skrzyni. Powstają dziesiątki firm produkujących kilku- lub kilkunastosekundowe filmy, a konstruktorzy ścigają się w projektowaniu nowych modeli projektorów. Wkrótce rynek opanują takie, które umożliwiają rzucanie ruchomych obrazów na ścianę.

Wybucho kinomania. W ciągu kilku lat w USA powstaje niemal 10 tysięcy kin, zwanych nicleodeonami (nicle to pięciocentówka – tyle kosztuje bilet wstępu na 20-minutowy pokaz). Odwiedza je kilkanaście milionów Amerykanów tygodniowo (na początku XX

wieku liczba widzów dojdzie do 26 milionów tygodniowo). W największych miastach działa po kilkaset sal. Są ciasne i duszne, nabite po brzegi. Prasa nazywa nicleodeony „rozrywką nędzarzy” – prostą i taną w przeciwieństwie do opery, filharmonii czy broadwayowskiego teatru. Bogaci i wykształceni brzydzą się nią. W ratuszach powołuje się komisje obyczajności, które wzywają do zamykania salonów. Szerzy się w nich ponoć rozpusta – pośród widzów i na ekranie.

W marcu 1897 roku kamerzyści Thomasa Edisona wyprawiają się do Waszyngtonu. Inauguracja nowego prezydenta Williama McKinleya jest pierwszą sfilmowaną w dziejach, a on sam – pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych uwiecznionym na taśmie filmowej. Na filmie widać, że McKinley porusza się swobodnie pośród tłumów, bez ochrony. Wizyty w miejscach publicznych, kontakt z ludźmi, ściskanie dłoni staną się jego znakiem rozpoznawczym. George Cortelyou, sekretarz prezydenta, będzie go wielokrotnie ostrzegał przed anarchistami, którzy mogą być niebezpieczni.

ANARCHISTA

W maju 1901 roku Fred Nieman pierwszy raz spotyka się z Emilem Schillingiem, anarchistą, w siedzibie Klubu Wolności w Cleveland. Rozmawiają o męczennikach niesłusznie skazanych na śmierć za zamach w Chicago.

Gdy Leon i Waldek Czolgoszowie zostają zwolnieni z pracy, pytają księdza, dlaczego Bóg nie wysłuchał ich prośb. Ksiądz radzi dalej się modlić. Czytają Biblię i dochodzą do przekonania, że Kościół ich oszukał

Nieman pyta, czy anarchiści planują spiski.
– Nie – odpowiada Schilling. – Działamy jawnie i legalnie.
– Czytałem, że anarchiści spiskują – upiera się Nieman.
– Gdzie czytaliście, towarzyszu?
– W gazetach.
– Gazety należą do kapitalistów. Kłamią, żeby nam zaszkodzić.
– Jest coraz gorzej, towarzyszu – mówi Nieman. – Coraz więcej strajków. Policja coraz brutalniej je rozgania. Musimy coś z tym zrobić.
Nieman mówi, że chciałby poznać Em-mę Goldman.
– Pojedźcie do Chicago, towarzyszu – radzi mu Schilling.
11 lipca 1901 roku Leon wychodzi z domu, nie odezawszy się słowem do nikogo z rodziny. Nigdy nie wróci.

BUFFALO

W lipcu 1901 roku Fred Nieman wynajmuje pokój u rodziny Kaczmarków w West Seneca, niedaleko Buffalo. Gospodarze zapraszają do stołu, ale on zawsze grzeczenie odmawia i jada sam. Codziennie schodzi z góry przed siódmą rano, nienagannie ubrany, ogolony, przed lustrem poprawia kołnierzyk, włosy, strzepuje pyłki kurzu z marynarki. Wysyła chłopca po gazety. Wychodzi na spacer. Później cały dzień

czyta. Kilka razy w tygodniu gdzieś wyjeżdża, zdarza się, że nie wraca na noc.

W sierpniu 1901 roku Leon Czolgosz przeciska się przez tłum, który przybył na nabrzeże w Chicago pożegnać Emmę Goldman. Podchodzi do niej, przedstawia się jako Fred Nieman i powołuje na Emila Schillinga z Klubu Wolności w Cleveland. Zamieniają kilka zdań. Nieman zadaje dużo pytań. Chce wiedzieć, kiedy rozpocznie się rewolucja. Działacze towarzyszący Goldman nabierają podejrzeń. Kilka dni później w anarchistycznej prasie ukazuje się ogłoszenie: „Uwaga towarzysze! Strzeżcie się nowego szpiega. Jest dobrze ubrany, średniego wzrostu, o wąskich ramionach, w wieku około 25 lat. Widywano go w Cleveland i Chicago. Udawał żywe zainteresowanie sprawą. Wypytywał o nazwiska i informacje na temat aktów przemocy”. Ostrzeżenie zilustrowano portretem pamięciowym Niemana.

31 sierpnia rano Leon jak co dzień schodzi do kuchni w domu Kaczmarków, ale tym razem z workiem na ramieniu. Gdy gospodarze pytają, dokąd się wyprowadza, mówi:

– Być może do Detroit albo do Toledo, do Cleveland, Baltimore, albo do Pittsburgha.

Tego samego dnia melduje się – jako Fred Nieman – w pensjonacie dla Polaków u Johna Nowaka przy Broadwayu w Buffalo. Tam po aresztowaniu policja odnajdzie jego rzeczy.

CISZA

Morze kapeluszy pod słońcem. Tłum zbity w mrowie. Pośród kapeluszy policyjne helmy ze szpikulcem. Ludzie zadzierają głowy, żeby coś dostrzec. Świątynia Muzyki, wielka wystawa panamerykańska, Buffalo, 6 września 1901, godzina czwarta po południu.

Prezydent McKinley dotarł do miasta dzień wcześniej. Gdy jego pociąg zajeżdżał na peron, odpalono salwę z 21 dział. Witają go dziesiątki tysięcy ludzi. Kilka miesięcy wcześniej rozpoczął drugą kadencję po wyborach, które wygrał z ogromną przewagą. Jest najbardziej uwielbianym prezydentem od czasów Lincolna: odniósł zwycięstwo w wojnie z Hiszpanią, nałożył wysokie cła importowe, uratował kraj przed bankructwem. Wystawa w Buffalo ma być demonstracją nowej amerykańskiej potęgi. Dziesiątki budynków wystawienniczych na powierzchni prawie 140 hektarów. Najnowsze silniki i maszyny, pojazdy, lokomotywy, sprzęt rolniczy, taśmy produkcyjne. Repliki Partenonu, włoskich pałaców, arabskich minaretów. Wioska indiańska „z prawdziwymi Indianami” – jak zapewniał katalog. Plantacja „z prawdziwymi Murzynami sprowadzonymi z Południa w liczbie ponad 200, od niemowląt po starców, wyselekcjonowanych specjalnie na potrzeby wystawy”.

W samym sercu ekspozycji: mierząca 125 metrów wysokości Wieża Elektryczna.

Codziennie, gdy zapadnie zmrok, wieża i okalające ją budynki rozbłyskują światłem dzięki dwu milionom żarówek na ścianach. Pewien dziennikarz nazywa wieżę „osiągnięciem na miarę objawienia, arcydziełem ludzkiej umiejętności, pomnikiem ludzkiego geniuszu”.

350-tysięczne Buffalo na kilka miesięcy zostaje mekką Ameryki. Od maja do listopada wystawę odwiedza ponad 8 milionów ludzi. 5 września prezydent McKinley wygłasza tam przemówienie. Szef studia Thomasa Edisona Edwin Porter je filmuje.

Porter przyjeżdżał na wystawę kilka razy. W maju sfilmował otwarcie. We wrześniu zameldował się w Buffalo kilka dni przed przybyciem McKinleya. Nakręcił kilkanaście filmów: taniec hiszpański, wioskę Indian, osadę Eskimosów, popisy kowboja na koniu, widok na Wieżę Elektryczną z balonu, nocny pokaz świateł. Eksperymentował z nowym modelem statywu dającego możliwość tworzenia pełnej panoramy.

Słonecznym popołudniem 6 września ustawia go przed wejściem do Świątyni Muzyki, gdzie prezydent ma się przywitać z ponad 60-tysięcznym tłumem i swoim zwyczajem wejść między ludzi. Leon Czolgosz też tam jest. Przeciska się do przodu. 4 września w sklepie metalowym za cztery i pół dolara zakupił rewolwer. W następnych kilkudziesięciu godzinach śledził każdy krok Williama McKinleya. Był na peronie pośród tłumów witających prezydenta. Widział jego przemówienie. 6 września wstał przed świtem, odprasował garnitur i białą, jedwabną chusteczkę. Zawinął w nią rewolwer i włożył go do prawej kieszeni marynarki. Pojechał pod wodospad Niagara, gdzie prezydent oglądał elektrownię dającą prąd Miastu Światła. Wrócił w ślad za prezydentem i teraz toruje sobie drogę pod schody Pałacu Muzyki, gdzie największym szczęściarzem McKinley uściśnie dlonie.

Obok Leona do przodu pcha się niejaki Jim Parker. Gdy prezydent z ochroną wychodzą na schody, Parker od razu zwraca uwagę jednego z tajniaków. Jest najwyższy w tłumie i – jako jedyny w zasięgu wzroku – ma czarną skórę. Policjanci znajdujący się wokół McKinleya przekazują sobie rozkaz, aby obserwować Parkera. Nikt nie zwraca uwagi na Czolgosza. Prezydent czuje się swobodnie, ściska dłoni, wymienia kilka słów i delikatnie przesuwając lewą ręką położoną na jego ramieniu, tak aby zrobić miejsce następnej osobie. Leona dzieli od prezydenta już tylko jeden czarny człowiek. Prezydent wita się z Parkerem, przesuwając go i staje uśmiechnięty przed następnym mężczyzną. Z kieszeni marynarki Czolgosz wyjmując rewolwer w białej chusteczce. Strzela dwa razy.

Kamera Edwina Portera na panoramicznym statywie ruszyła kilka chwil po strzałach. Była ustawiona zbyt nisko i zbyt daleko, żeby uchwycić prezydenta – który leżał już na ziemi – i kotłowanie wokół niego. Na filmie widać jedynie morze kapeluszy, ludzie zadzierają głowy, żeby coś dostrzec. Film jest niemy, panuje cisza.

PREZYDENT BĘDZIE ŻYŁ

Kule weszły w pierś i brzuch. Prezydent wyprostował się nienaturalnie, zatoczył między ustawionymi na schodach palmami w donicach i upadł. Biała koszula nasiąkała krwią, ale McKinley był przytomny.

Pół godziny później leży już na stole operacyjnym w tymczasowej lecznicy na terenie targów. Choć wystawę oświetlają dwa miliony żarówek, żadnej nie ma w szpitalu – nie został zelektryfikowany. Asystenci stają w otwartych drzwiach z lustrem, aby odbijać światło popołudniowego słońca i kierować je na pacjenta. Chirurdzy oczyszczają brzuch, ale nie znajdują jednej z kul. Mają do dyspozycji aparat do prześwietleń produkcji Edisona, ale nie korzystają z niego, bojąc się skutków

ubocznych promieniowania, bo maszyna nie została wcześniej przetestowana.

Po operacji stan pacjenta jest stabilny. McKinley zostaje przewieziony do rezydencji dyrektora wystawy Johna Milburna. Nocą do Buffalo przyjeżdża wiceprezydent Theodore Roosevelt. Słyszysz od lekarzy, że sytuacja jest pod kontrolą – prezydent będzie żył.

ONA MNIE ROZPALIŁA

Agenci ochrony i ludzie z tłumu rzucili się na Czołgosza. Złapali za nogi i ręce. Ktoś chwycił go za szyję i zaczął dusić, ale został odepchnięty przez policjantów. Ci postawili Leona na nogi i przeszukali. Nie wyrwał się. Wyciągał jedynie szyję, żeby zobaczyć, co z prezydentem. Gdy ujrzał go leżącego na ziemi w koszuli nasiąkłej krwią, powiedział ze spokojem:

– Spełniłem mą powinność.

W czasie przesłuchania na komisariacie podał prawdziwe nazwisko – Leon Czołgosz. Opowiada historię życia. Mówi, że wszechobecna niesprawiedliwość pchnęła go w stronę anarchizmu. Wyznaje fascynację postacią Emmy Goldman.

– To ona mnie rozpaliła – stwierdza.

W raporcie psychiatrycznym lekarze piszą: „Produkt propagandy anarchistycznej. Poczytalny. Odpowiedzialny za swoje czyny”.

PARASOLE

Przez kilka dni po zamachu McKinley odzyskuje siły. Gdy w środę, 11 września, skarży się na ból brzucha, lekarze mówią, że to niestrawność. W czwartek serce zaczyna wolniej bić. W piątek, 13 września, o świcie traci przytomność. Obudzi go zastrzyk adrenaliny, ale później będzie słabł. Wieczorem szepcze: – Sprawa jest beznadziejna, panowie.

W nocy umiera. Sekcja zwłok wykaże rozległą gangrenę narządów wewnętrznych.

Trzy dni później kondukt żałobny podążający w deszczu ulicami Waszyngtonu obserwują dziesiątki tysięcy Amerykanów. Kamery Thomasa Edisona nakręciły morze parasoli.

IMIGRANT

Proces jest formalnością. Prokurator Thomas Penny ma narzędzie zbrodni, zeznania oskarżonego, naocznych świadków. Obrońca z urzędu próbuje dowieść niepoczytalności Czołgosza, ale jego wysiłki niweczą zeznania lekarzy. W mowie końcowej Penny wyraża potępienie dla przybyszów zalewających Amerykę i nieszanujących jej wartości. Nie wspomina, że Leon Czołgosz był Amerykaninem urodzonym w Detroit, a on sam – Penny – kilka lat wcześniej przybył do nowej ojczyzny z Anglii. Ława przysięgłych obraduje przez 25 minut. Czołgosz przyjmuje werdykt, stojąc z niezmiennie spokojną miną. Sędzia skazuje go na karę śmierci.

Dwa dni później Leon zostaje przewieziony do więzienia w Auburn, jedynego na terenie stanu Nowy Jork, w którym znajduje się przetestowany już na kilku skazańcach wynalazek skonstruowany w laboratoriach Thomasa Edisona: krzesło elektryczne.

Zanim Czołgosz tam dotrze, Edison porozmawia z naczelnikiem o warunkach sfilmowania egzekucji.

FILM

„Egzekucja Czołgosza z panoramą więzienia w Auburn”, trwający 3 minuty i 25 sekund film wyprodukowany w 1901 roku przez studio Thomasa Edisona pod kierownictwem Edwina Portera, jest pierwszym thrillerem w dziejach. Pierwszym horro-

rem, pierwszym dramatem więziennym, pierwszą dokudramą.

Panoramiczne ujęcie miasteczka Auburn: dymią kominy, przejeżdża skład towarowy, przechodzi ubrana na czarno kobieta, drzewa wzdłuż ulicy są już nagie – egzekucja odbyła się o poranku 29 października 1901 roku – wyłaniają się więzienne mury. Skazaniec stoi w celi, trzymając dłonie na kratkach. Jeden strażnik wyprowadza więźnia, trzech innych czeka przed celą. Skazaniec się nie wyrwa. Zostaje przeprowadzony do sali egzekucji. Potyka się o podest, na którym stoi krzesło elektryczne. Czterech mężczyzn przygląda się, jak strażnicy zapinają więźnia w krzesło. Kat sprawdza elektrody. Naczelnik daje sygnał do opuszczenia dźwigni. Morderca trzykrotnie sztywnieje i opada z powrotem na siedzenie. Naczelnik i lekarz sprawdzają puls, przykładają stetoskop do serca. Naczelnik kiwa twierdząco głową do kamery.

Film okazuje się sensacją. Żaden z milionów widzów nie widział wcześniej egzekucji na krześle elektrycznym. Obraz odpowiada na emocje społeczeństwa – Ameryka na własne oczy chce zobaczyć śmierć człowieka, który zabił jej ukochanego prezydenta.

Od Czołgosza odcina się większość anarchistów. Piszą, że zamach nie przysłużył się robotniczej sprawie. Rzeczywiście – nowy prezydent Theodore Roosevelt nazywa anarchizm największym wrogiem ludzkości i na walce z radykalizmem buduje popularność. Emma Goldman, która broni aktu Czołgosza, zostaje wyklęta przez towarzyszy i występuje z ruchu.

Po egzekucji Waldek Czołgosz przyjeżdża do więzienia w Auburn i prosi o wydanie ciała brata. Naczelnik odmawiał, pozwalając się na przepisy prawa, ale prawda jest prostsza: ciała nie ma. Wnętrze trumny Czołgosza nasączono kwasem siarkowym, tak aby zniechęcić do niego przez naród morderca zupełnie zniknął.

IMITACJA

Zanim został poprowadzony na śmierć, Leon Czołgosz odmówił widzenia z księdzem i przyjęcia ostatniego namaszczenia.

– Nie chcę ich przekłetej religii – powiedział.

Na filmie tego nie ma.

Prowadzony do celi szarpał się i powłóczył nogami. Na filmie tego nie ma.

Siedząc w krześle, dostał pozwolenie na wypowiedzenie ostatnich słów.

– Zabiłem prezydenta, ponieważ był wrogiem dobrych ludzi pracy – stwierdził. – Nie żałuję mojej zbrodni. Żałuję jedynie, że nie mogłem zobaczyć się z ojcem.

Na filmie tego nie ma.

W krześle został trzykrotnie rażony prądem o sile 1800 woltów, wstrząsy trwały łącznie 2,5 minuty. Na filmie trwają 30 sekund.

Dymiły jego włosy i oczodoły. Na filmie tego nie ma.

Edison nie dostał zgody na sfilmowanie egzekucji. Edwin Porter wymyślił, aby nakręcić panoramę więzienia w Auburn, a egzekucję odtworzyć w studiu. Czołgosza zagrał drugi operator George Fleming. Sprzedając film kiniarzom, Edison reklamował go jako „rzeczywistą imitację”. Ale miliony widzów nie miały o tym pojęcia. Amerykanie byli przekonani, że oglądają prawdziwą śmierć.

LEON

Pewnego dnia w 1902 roku do domu Czołgoszów przyjeżdża Vernon Briggs, psycholog z Bostonu zbierający materiał do książki o mordercach. Paul opowiada mu o Leonie. Po rozmowie Briggs prosi, aby stary Czołgosz pozował do zdjęcia. Paul siada prosto w garniturze. W kłapę wpina fotografię ukochanego syna Leona. ●

Wczoraj, czyli dziś

Najlepszy sezon ogórkowy w historii

Polacy uważają, że 55 lat temu jako jedyni w bloku komunistycznym oglądali transmisję z lądowania na Księżycu. Ale Czesi i Rumuni też się nią chwalą.

Maciejewska



O podróżach na Srebrny Glob marzyliśmy od wieków. Ludzi na księżyc wysyłał Juliusz Verne (jego książkę „Z Ziemi na Księżyc” z 1865 roku drukowały w odcinkach gazety na całym świecie), Herbert George Wells, Jerzy Żuławski i Isaac Asimov. Pierwszy w historii film science-fiction, nakręcony w 1902 r. przez Georges’a Mélièsa, też pokazał podróż na Księżyc, przynosząc swojemu twórcy sławę i miejsce w historii kina.

I wreszcie w nocy z 20 na 21 lipca 1969 roku literackie marzenia miały się ziścić. Wyprawę Apolla 11 porównywano do podróży Magellana i Kolumba, ale w ich czasach nie było radia i telewizji, więc takiej ekscytacji wywołać nie mogli.

Amerykanie zaoferowali bezpłatne prawa do telewizyjnej transmisji lądowania na Księżycu, jednak kraje bloku wschodniego musiały się liczyć z decyzją Związku Radzieckiego. A ten postanowił, że jego obywatele nie obejrzą na żywo imperialistycznego sukcesu w zimnowojennym wyścigu. Bo jak to wytłumaczyć: radzieccy uczeni wysłali na orbitę okołoziemską pierwszego człowieka, wymyślili sputniki, a przegrali rywalizację o lądowanie na Księżycu?

W polskich publikacjach poświęconych lądowaniu Amerykanów na Księżycu powtarza się informacja, że Polska była jedynym krajem komunistycznym, który postawił się Moskwie i na żywo pokazał historyczne wydarzenie.

„Ludzie na Księżycu! – donosił „Express Wieczorny” 21 lipca 1969 roku. – Widzieliśmy to na własne oczy na ekranach telewizorów, w domu, siedząc w wygodnych fotelach, pijąc kawę i paląc papierosy”.

Zgoda na transmisję miała zapaść na dwa dni przez pamiętną nocą. Decyzję podjął Władysław Gomułka.

Prof. Andrzej Werblan, wysoki funkcjonariusz partyjny, a potem biograf Gomułka, twierdził, że z Moskwy nacisków nie było, poza informacją, że oni nie zrobią transmisji, co mogło być testem „dobrego zachowania”.

Władza oczywiście miała problem. Ale można było przedstawić to wydarzenie nie jako triumf amerykańskiej myśli technicznej nad sowiecką, lecz jako osiągnięcie całej ludzkości, do którego drogę uTORował lot Gagarina oraz radziecka kosmonautyka.

Czesi twierdzą, że oni też zrobili transmisję na żywo, o czym można przeczytać na stronie czeskiej telewizji publicznej ČT24. W nocy z 20 na 21 lipca cała Czechosłowacja siedziała przed telewizorami (jeden odbiornik przypadła na czterech obywateli), lądowanie komentował Jan Kolář, późniejszy dyrektor Czeskiej Agencji Kosmicznej, cenzura nie interweniowała.

W NASA na czas startu Apollo 11 akredytowało się prawie 3,5 tys. reporterów (tylko 400 kobiet). Większość z USA, ale 812 pochodziło z 54 krajów na świecie. W tym gronie znalazło się pięciu Czechów, więc relacje w czeskosłowackiej prasie były obszerne.

Lądowanie transmitowała też Rumunia i akredytowała w NASA dwóch dziennikarzy.

W ZSRR nie było transmisji na żywo, ale nazajutrz gazety wspomniały o lądowaniu. Skąpo i bez entuzjazmu. Natomiast w Chinach zapadła głucha cisza.

Ale i bez Chińczyków ponad pół miliarda ludzi zobaczyło na żywo, jak Neil Armstrong schodzi po drabinie na spacer po Srebrnym Globie.

Jerzy Turowicz w „Tygodniku Powszechnym” pisał: „Setki milionów ludzi, siedząc w wygodnych fotelach, a przecież z zapiętym oddechem, śledziło na ekranach telewizorów kolejne etapy tej zdumiewającej przygody, oglądało — oczom własnym z trudem wierząc — jak po powierzchni globu odległego od Ziemi o 385 tys. km porusza się człowiek, krokiem świadczącym o innych niż ziemskie prawach ciążenia”.

Fraza „oczom własnym z trudem wierząc” jest bardzo trafna, bo do dziś dobrze mają się teorie o mistyfikacji Amerykanów, którzy lądowanie mieli nakręcić w Hollywood. Wielbiciele Bonda zapewne pamiętają scenę z filmu „Diamenty są wieczne”: Sean Connery włamuje się do obiektu NASA i natrafia na makietę Księżycza z manekinami kosmonautów. A Bondowi łatwiej uwierzyć niż dziennikarzom w sezonie ogórkowym. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

100 lat temu W PARYŻU

Z **DANIELEM LISEM**
ROZMAWIA **DOROTA KARAS**

DOROTA KARAS: Jak Pierre de Coubertin, twórca nowożytnego ruchu olimpijskiego, poczulby się na igrzyskach w Paryżu w 2024 roku?

DANIEL LIS: Mogłby dostać zawału. Przede wszystkim dlatego, że tegoroczne igrzyska w Paryżu mają być pierwszymi, na których liczba kobiet i mężczyzn ma być zrównana. Dla Coubertina to było niewyobrażalne.

W książce „Pierwsza drużyna” o polskim debiucie na igrzyskach olimpijskich cytujesz jego słowa: „Rola kobiet winna się ograniczyć – tak jak było to w starożytności – przede wszystkim do zakładania wienców na skronie championów”.

– Coubertin pod wieloma względami był wizjonerem i wyprzedzał swoje czasy. Igrzyska zmieniały się już za jego życia, sam te zmiany wprowadzał, a później obserwował. W pierwszych nowożytnych igrzyskach w Atenach w 1896 roku kobiety nie brały udziału. W kolejnych coraz częściej dopuszczano je do zawodów, grały na przykład w tenisa. W 1928 roku w Amsterdamie startowały już w dyscyplinach lekkoatletycznych uznawanych za najbardziej prestiżowe. Halina Konopacka w rzucie dyskiem wywalczyła tam dla Polski pierwszy złoty medal.

Coubertin nie zmienił jednak zdania. Do śmierci w 1937 roku, właśnie na atak serca, był przeciwnikiem udziału kobiet w igrzyskach. Jednocześnie był człowiekiem, którego idea olimpijska kosztowała rodzinny majątek. Dokładniej mówiąc – rodzinny majątek jego żony.

Tegoroczne otwarcie igrzysk ma się odbyć na Sekwanie i przyćmić wszystko, co widzieliśmy. Rozmach i komercjalizacja zrobiłaby na nim duże wrażenie?

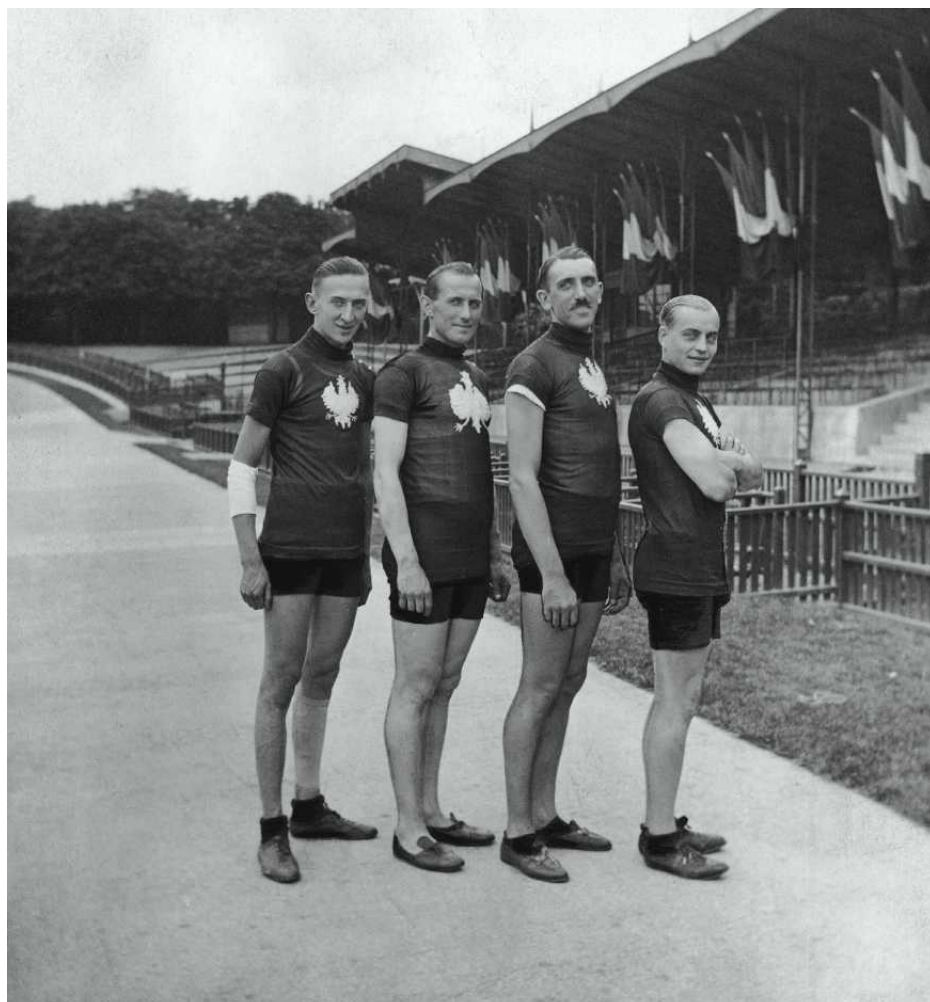
– Otwarcie na Sekwanie zamiast na stadionie ma umożliwić udział w nim większej liczbie ludzi, bo będzie je można oglądać z okien czy balkonów. Coubertin mógłby to docenić, ale komercjalizacją byłby oburzony. Gdy w 1925 roku ustępował ze stanowiska prezydenta MKOl, przypominał – z charakterystycznym patosem – że celem ruchu jest wznoszenie świątyni na wzgórzu, „podczas gdy na równinie rozłożył się wielki jarmark”. Przekonywał, że sportowcy będą musieli dokonać wyboru, w czym chcą uczestniczyć. To aktualne, bo jest przecież różnica między nawet skomercjalizowanymi igrzyskami olimpijskimi a walkami celebrytów w MMA. Jednak punkty odniesienia mamy zupełnie inne: Coubertina zaszokowałoby choćby zawodowstwo olimpijczyków. Na igrzyskach w Paryżu w 1924 roku występowali wyłącznie amatorzy. Zawodnicy za uprawianie sportu nie mogli dostawać wynagrodzenia.

Ta zasada była przestrzegana?

– Bardzo restrykcyjnie, dotyczyła również największych sportowców. Paavo Nurmi, legendarny fiński biegacz, który w Paryżu zdobył pięć złotych medali, na igrzyskach w Los Angeles w 1932 roku nie wystartował, bo uznano, że złamał przepisy o ama-



Baron Pierre de Coubertin dla idei olimpijskiej poświęcił rodzinny majątek. Dokładniej mówiąc – rodzinny majątek żony. Jednocześnie był przeciwnikiem udziału kobiet w igrzyskach.



• **Zdobywcy srebrnego medalu w Paryżu na dystansie 4000 m. Od lewej: Tomasz Staniewicz, Jan Łazarski, Franciszek Szymczyk, Józef Lange**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

torstwie. Choć dziś często mówi się, że ta decyzja miała też tło polityczne.

Mimo wszystko Coubertin pewnie byłby dumny z tego, na jaką skalę rozwinęła się jego idea. Nowożytne igrzyska zaczynały się od udziału kilkunastu państw. Do Paryża przyjechały reprezentacje już ponad 40 krajów i Francuz z satysfakcją odnotowywał, że do MKOl przystąpiło więcej państw niż do Ligi Narodów. W 2021 roku w Tokio wystąpiło ponad 200 ekip narodowych.

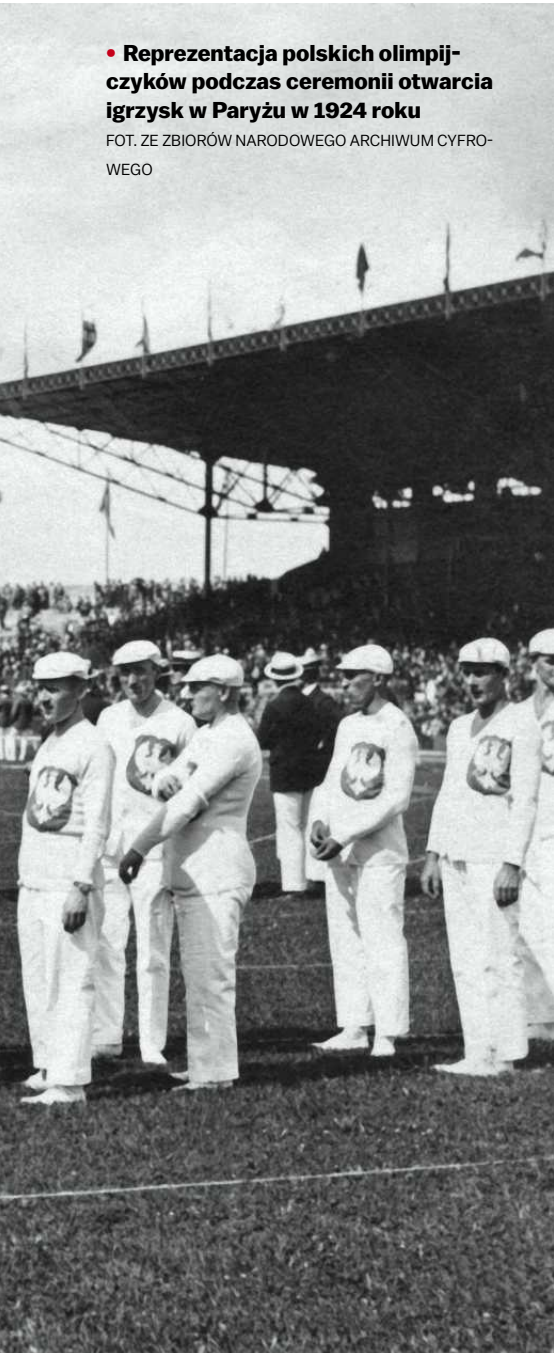
Ideą igrzysk była równość, startowali amatorzy, ale już sto lat temu dyscypliny dzieliły się na elitarne i plebejskie.

– To ma konsekwencje. Więcej wiemy dziś o polskich szermierzach, bo ten sport uprawiali często intelektualiści, niż na przykład o zapaśnikach. Gdy wykształceni zawodnicy wracali z igrzysk, pisali sprawozdania do gazet – barwne, zabawne i emocjonujące, również jako przykłady ówczesnego PR-u. Robotnicy nie mieli tego w zwyczaju. W tym kontekście charakterystyczna jest wypowiedź Stanisława Polakiewicza, wiceprezesa Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich. O turnieju zapaśniczym pisał: „Zdumiewająca rzecz! Ci silni, potężni zapaśnicy, o których, sądząc z ich prezentacji, można było przypuszczać, że pochodzą z warstw tzw. niższych, zachowywali się przez cały ciąg turnieju wzorowo”. Lwowski działacz był zszokowany tym, że mężczyźni „z nizin” odnosili się do siebie z szacunkiem, a atmosfera była rodzinna.

Za elitarny sport uważane było kolarstwo. Warszawskie Towarzystwo Cyklistów działało już niemal 40 lat, jego honoro-

• **Reprezentacja polskich olimpijczyków podczas ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu w 1924 roku**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO



wymi członkami byli wcześniej Sienkiewicz i Prus. To samo dotyczyło jeźdźców, w których pokładano największe nadzieje. Zawodnicy byli oficerami związanymi z I. Pułkiem Szwoleżerów i Józefem Piłsudskim. Ich udział w zawodach opłacało Ministerstwo Spraw Wojskowych, więc także ich status w Polsce był szczególny. Zmieniło się to po II wojnie światowej, o czym piszę w swojej poprzedniej książce – „Stulecie przeszkód”. Polacy na igrzyskach”. Gdy komuniści przejęli władzę, przedwojenni oficerowie, również ci, którzy odnosili sukcesy sportowe, popadli w nielaskę. Propagandowo wykorzystywano za to reprezentantów dyscyplin robotniczych. Gwiazdami sportu stali się bokserzy, zaczęto inwestować w zapasników czy w podnoszenie ciężarów, którego praktycznie w ogóle nie było wcześniej w Polsce.

Igrzyska w Paryżu w 1924 roku rozgrywały się sześć lat po zakończeniu I wojny światowej. Niemcy nie wzięły w nich udziału i nikogo to nie dziwiło. Jaki wpływ na atmosferę w Paryżu miały wydarzenia polityczne?
– Były i pomysły, by ukarać wykluczeniem z udziału w igrzyskach państwa neutralne, co nie mogło się udać, bo MKOl miał już wtedy siedzibę w Szwajcarii. W 1924 roku do Paryża nie pojechali też zawodnicy ze Związku Radzieckiego, gdzie uważano tę imprezę za „burżuazyjne święto sportu”. W latach 20. nadal silne było przekonanie, że sport odgrywa bardzo ważną rolę we wzmocnieniu armii. Na kongresie z okazji 30-lecia wskrzeszenia igrzysk zapewniano, że alianci zawdzięczają zwycięstwo właśnie przygotowaniu sportowemu, nie wojskowemu. Sto lat temu związek sportu i polityki był oczywisty. Nie apelowano, żeby ich nie mieszać, przeciwnie: zachęcano by wykorzystywać sport propagandowo. Również w Polsce: w 1921 roku przed plebiscytem na Śląsku wysyłano tam polskich piłkarzy, by na boisku pokonywali niemieckich i tak zy-

skiwali głosy młodych robotników dla polskiej sprawy. Jeśli celem ruchu olimpijskiego ma być łączenie zawodników z różnych krajów ponad podziałami politycznymi, to jest to również idea polityczna.

Polacy pojechali do Paryża bez pieniędzy, nieprzygotowani, bez potrzebnego sprzętu. Po co nam w ogóle były te igrzyska?
– Mówiono wtedy, że jedziemy do Paryża po naukę, co brzmi jak frazes, ale okazało się trafne. Jednak chodziło też o coś więcej: przez udział w igrzyskach Polska miała pokazać, że znów jest niepodległa, ale też zaznaczyć przynależność ideową – swoją obecność wśród państw cywilizowanych.

Opisujesz perypetie naszych sportowców: tłuką się po kilka dni pociągami trzeciej klasy, śpią w strasznych warunkach, jedzą byle co. Czy nie można było poczekać jeszcze cztery lata, lepiej się przygotować i wtedy zadebiutować?
– To tylko opóźniłoby tę konieczną lekcję.



W Paryżu nasi sportowcy mieli okazję zaobserwować, jak wygląda taka impreza, ale też na przykład, jak międzynarodowi sędziowie przeprowadzają zawody. Szermierze przekonali się dzięki temu, że sędziowie oceniający zawodników na mistrzostwach Polski we Lwowie robili to niezgodnie z obowiązującymi standardami. Między innymi dzięki temu na następne igrzyska w Amsterdamie szermierze pojechali już lepiej przygotowani i zdobyli medal.

W przypadku niektórych dyscyplin wyjazd objawił całą niemoc polskiego sportu. W prasie przypomniano, że nasi wioślarze nie są w stanie rozegrać miarodajnie nawet zawodów krajowych, bo transport łodzi kolejną jest zbyt kosztowny. Do Paryża Polacy też pojechali bez własnych łodzi i rzeczywiście nie mieli tam żadnych szans.

Trudno mieć pretensje o problemy ze sprzętem, Polska po odzyskaniu niepodległości była biedna i sportowcy trenowali w skromnych warunkach. Ale czy tak trudno było zorganizować zawodnikom podróż czy nocleg?
– Działacze też musieli się sporo nauczyć, między innymi tego, jak przygotowywać takie wyjazdy. Na igrzyskach w Paryżu zbudowano pierwszą w historii wioskę olimpijską. Nie było w niej luksusów, przypominała scenografię niskobudżetowego westernu.

Polacy i tak w niej nie mieszkali.
– Bo pobyt w niej był zbyt kosztowny. Naszych zawodników zakwaterowano w historycznej Szkole Polskiej Batignolles, w której panowały spartańskie warunki. Sportowcy spali na twardych łóżkach ze słomianymi wałkami pod głowami zamiast poduszek. Często narzekali na kuchnię, ale nie dlatego, że jedzenie im nie smakowało. Polacy we Francji w ogóle nie wiedzieli, co się je, gdzie się je i o jakich porach się je. Igrzyska w Amsterdamie wyglądały już zupełnie inaczej. Sukcesy nie przyszły z dnia na dzień, ale z lekcji w Paryżu wyciągnięto wnioski. Jeden z szermierzy apelował: „U nas w Polsce należy się do tego przyzwyczaić, aby z niczego coś stwarzać, budować na mokrądlach i mokradła te swym zapalem osuszać!”. To dotyczyło również działaczy.

Komu w Paryżu poszło najlepiej, komu najgorzej?

– Z Paryża przywieźliśmy dwa medale: brązowy dla jeźdźcy Adama Królikiewicza w konkursie skoków przez przeszkody i srebrny dla drużyny kolarzy torowych. Dziennikarz i pięściarz Wiktor Junosza pisał o kolarzach, że zdobyliśmy medal dzięki „tym, co najmniej hałasu robili przed wyjazdem, ale za to może najsumienniejszy i najsolidniejszy szykowali do walki”. Reszta wyników była, delikatnie mówiąc, niezadowalająca. W prestiżowej lekkoatletyce najlepiej wypadł Antoni Cejzik – w dziesięcioboju zajął 12. miejsce, ale on został wyszkolony jako sportowiec w Związku Radzieckim. Przyjechał z Moskwy do Warszawy kilka miesięcy przed igrzyskami. Wielkie nadzieje pokładano w jeźdźcach, którzy mieli już na koncie liczne zwycięstwa w zawodach międzynarodowych, ale na samych igrzyskach – poza medalem dla Królikiewicza – nie poszło im najlepiej.

Bo konie, na których jeździli, były wojennymi weteranami?

– Były przeznaczone do jazdy w taborze, nie umywały się do zwierząt z zachodnich hodowli. Polscy hodowcy w ogóle nie mieli koni tej klasy, również z tego względu, że armie przesuwające się z linią frontu podczas I wojny światowej zabierały ze sobą wszystkie konie nadające się do jazdy. Jeźdźcy z Polski pokonywali przeszkody na koniach, z których wiele powinno już być na emeryturze. Determinacja i umiejętność Polaków budziły zresztą uznanie publiczności i dziennikarzy zagranicznych.

Największe cięgi zebrali bokserzy, którzy odpadli po pierwszych walkach.
– Oberwało im się od dziennikarzy chyba niezasłużenie, biorąc pod uwagę ich stopień przygotowania. Tomasz Konarzewski wspominał po latach, że dopiero w Paryżu dowiedział się, co to jest lewy prosty, że była to jego czwarta walka w życiu, a jego sekundantem był kolarz Franciszek Szymczyk, który powtarzał jedyną radę, jaką był w stanie mu dać: „Bij mocno, koteczku”.

Dziennikarze sto lat temu, tak jak i dziś, nie oszczędzali też polskiej drużyny piłki nożnej, czyli jak wówczas mówiono – „reprezentatywki”. Zasłużenie?
– Polacy zagraли na igrzyskach tylko jeden mecz, z Węgrami, przegrali 0:5 i odpadli. Ale krytykowano ich w prasie, zanim jeszcze dojechali do Paryża. Kontrowersje dotyczyły ich umiejętności, ale też stopnia zaangażowania w treningi i samych powołań do „reprezentatywki”. Tak to już chyba jest ze sportem, że im większe budzi zainteresowanie, tym więcej ludzi uważa, że może mieć opinie na temat występu zawodników, i tę opinię głośno wyraża. Sto lat temu Polacy nie mogli się odwoływać do żadnych narodowych sukcesów piłkarskich, a mimo wszystko mieli wysokie wymagania wobec reprezentacji. Jednocześnie nie znano poziomu konkurentów. Jeden z piłkarzy wspominał, że żalowali, że w losowaniu trafili na mocnych Węgrów, a nie na przykład na drużynę Urugwaju. Nie mieli pojęcia, że to najlepsza drużyna świata.

W „Pierwszej drużynie” piszesz o zawodach, przygotowaniach, wynikach i publiczności, ale tak naprawdę najbardziej interesują cię sportowcy i ich

losy – zarówno przed igrzyskami, jak i po wydarzeniu.
– Gdy patrzymy na igrzyska i zawodników tylko przez perspektywę wyników i rekordów, umyka nam wiele ciekawych historii. Można spojrzeć na „reprezentatywkę” i zobaczyć wynik 0:5. Ale można też inaczej, bo w losach tych piłkarzy odbija się los Polski nie tylko w I, ale i w II wojnie światowej. Są tu i Auschwitz, i Katyń, jest ucieczka do Palestyny i śmierć we lwowskim getcie. Jeździec Adam Królikiewicz dzięki udziałowi w igrzyskach ocalił życie swoje i swojej córki w czasie II wojny światowej, bo Niemcy rozpoznali w nim medalistę olimpijskiego. Czasem też zbyt pochopna opinia o człowieku ujawnia brak wyobraźni. Lekkoatleta Stefan Szelestowski nie odniósł w Paryżu sukcesu. Dziennikarz, który oglądał jego występ w biegu drużynowym na 3000 m, pisał o nim, że prezentuje styl „umierającego maratończyka”. Kilka miesięcy później to właśnie Szelestowski wygrał pierwszy w Polsce bieg maratoński z czasem, który w Paryżu dałby mu miejsce wśród 20 najlepszych zawodników świata. A biegł bez przygotowania i w listopadowym deszczu.

Pierre de Coubertin, wskrzeszając igrzyska, miał nadzieję, że rywalizacja sportowa może zastąpić konflikty między państwami, tymczasem częściej wojny i polityka rzucają cień na zmagania olimpijczyków.
– Pisząc jeszcze „Stulecie przeszkód”, długo się zastanawiałem nad tym, czy igrzyska olimpijskie zmieniają świat, czy tylko obijają jak zwierciadło to, jaki on jest. Chyba w czasach pokoju łatwiej wierzyć w skuteczność takiej sportowej dyplomacji. Krótko po II wojnie światowej, w 1948 roku podczas igrzysk w Londynie, jeden z emigracyjnych dziennikarzy pisał gorzko: „Najlepszy skok w dal, najpiękniejszy rzut oszczepem nie odrodzą nigdy wojny nawet o sekundę”. Z drugiej strony Gad Tsabari, izraelski zapasnik, który uciekł terrorystom podczas igrzysk w Monachium, powiedział mi 50 lat po zamachu, że wciąż uważa, że igrzyska to „radość zobaczenia całego świata jak na dłoni”.

Gdy chłodno popatrzymy na zimnowojenne bojkoty igrzysk z lat 1980 i 1984, trudno uwierzyć, że bojkot nazistowskich igrzysk w Berlinie w 1936 roku mógłby faktycznie zmienić bieg historii. Ale gdy tylko Rosja zaatakowała Ukrainę, zacząłem myśleć o tym, że przecież nawet jeśli by nie zmienił, to jednak haniebnie, że nie próbowano. Gdy towarzyszą nam emocje, inaczej oceniamy też rywalizację w sporcie. Często zdarzało się to podczas zimnej wojny. Jednym z najsłynniejszych przykładów jest mecz waterpolo w Melbourne w 1956 roku między Węgrami a Związkiem Radzieckim, niecały miesiąc po stłumieniu węgierskiego powstania przez armię radziecką. Zawodnicy grali tak agresywnie, że woda mieszała się z krwią. ●

Rozmawiała Dorota Karaś



Daniel Lis – redaktor książek non-fiction, absolwent Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor książki „Stulecie przeszkód. Polacy na igrzyskach” i „Pierwsza drużyna. Paryż 1924. Polski debiut na igrzyskach olimpijskich” (wydawnictwo Agora).

Przyszła pora

Z **PATRYCJĄ DOŁOWY**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „PEKNIĘTE LUSTRO. PRÓBA PORTRETU ADAMA CZERNIAKOWA”, ROZMAWIA **MARTA GRZYWACZ**

MARTA GRZYWACZ: Kiedy Adam Czerniaków nabrał przekonania, że musi umrzeć?

PATRYCJA DOŁOWY: Wcale nie tak wcześnie. Dopiero w maju, może w czerwcu 1942 roku. To wtedy rozmawiają z Felicją, że pora przygotować się na śmierć. W opowieściach świadków pojawiają się informacje, że miał już pochowane po domu w różnych miejscach cyjankali. W łazience, w jakiejś szafce, w biurze. W kieszeni stałe nosił fiolkę. Mimo uporu, siły życia i przeżycia miał potrzebę zabezpieczenia się, przypuszczalnie na wypadek aresztowania.

Ale chwycił się nadziei do końca. Kiedy już było wiadomo, że podczas akcji, która się właśnie zaczęła, Niemcy mają zamiar wywozić z getta dzieci, to chodził i pytał, czy rzeczywiście, czy to przypadkiem nie są pogłoski. Jednak nie – na „wschód” mają jechać nie tylko dorośli, dzieci też. I to jest ta kropla, która przepelnia czarę.

23 lipca, dzień po rozpoczęciu wielkiej akcji, czyli wywózek do Treblinki, skorzystał ze swojego zapasu cyjanku. Jeszcze rano, przed wyjściem do biura powiedział żonie, że jeśli każą mu podpisać wyrok na dzieci, to odbierze sobie życie. Zrobił to kilka godzin później, zamknięty w swoim gabinecie w gminie.

W tym momencie niewielu mu współczuło. Przeciwnie – odezwały się głosy, że był słaby, że jeśli już chciał się zabić, to powinien to wymyślić tak, żeby był z tego jakiś pożytek dla społeczności getta.

– Emanuel Ringelblum, twórca podziemnego Archiwum Getta, mówił, że to była słabość z jego strony, że mógł ostrzegać ludzi przed wywózkami. Tylko co ci ludzie mieliby zrobić z tą wiedzą? Icchak Cukierman i Marek Edelman, działacze Żydowskiej Organizacji Bojowej, uważali, że powinien być w ostatnim słowie wezwać do walki. Bo co komu po takim „prywatnym samobójstwie”. Ale do jakiej walki? Przecież byłby to stracerczy bój, ludzie byli kompletnie nieprzygotowani.

Mało tego, Edelman mówił to już po wojnie, a więc z perspektywy czasu, gdy wiadomo było, jak zakończyło się powstanie w getcie. Wiedział przecież, że tuż po jego stłumieniu niektórzy bojowcy ostrzegali Żydów w Będzinie, aby nie szli tą samą drogą.

– Nie jest też prawdą, że śmierć Czerniakowa była wyłącznie „prywatna”. Bardzo wielu ludziom dała do myślenia. Adolf Berman, jeden z szefów Żydowskiego Komitetu Narodowego, mówił, że akt ten uświadomił wszystkim

rozmiary niebezpieczeństwa. Helena Merenholt, psychołożka dziecięca, współpracownica Janusza Korczaka, w tamtym momencie podjęła decyzję o ucieczce z getta. To, co zrobił Czerniaków, odbiło się szerokim echem, dla wielu było szokiem i ostrzeżeniem.

Wygląda to tak, że większość gettowej społeczności przyzwyczaiła się obwiniać za wszystko Czerniakowa.

– Zarzucano mu, że się zasymilował, że nie mówił w jidysz, że faworyzował asymilatorów, że był snobistyczny, że tolerował korupcję i złodziejstwo, że w zasadzie służył nazistom, bo sprawy żydowskie były mu obce, że jeździł prywatnym samochodem, że uwielbiał pompę i celebry.

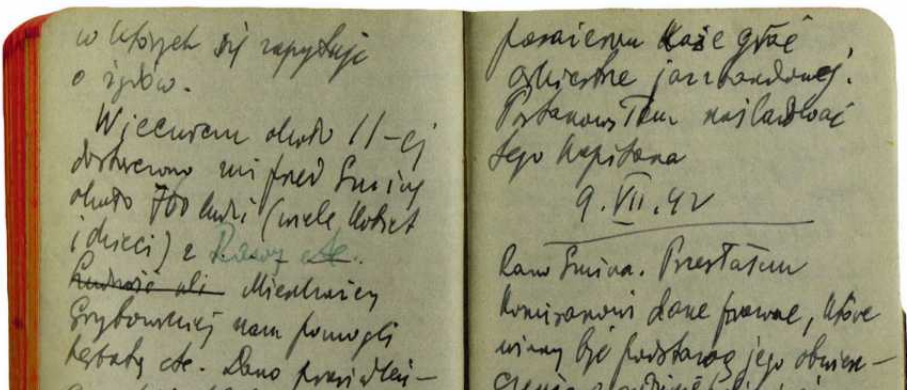
Natomiast ja im bardziej zagłębiałam się w archiwa, w świadectwa osób, które go znały, im bardziej wczytywałam się w jego dziennik, tym bardziej rozumiałam, jak bardzo został skrzywdzony. Nie tylko za życia, ale także po śmierci. Dlatego chciałam go wziąć w obronę.

No i na początek odkrywa pani przed czytelnikami, że Czerniaków jednak mó-

NWAŚWIE



Gdy rano Adam Czerniaków szedł do biura, powiedział żonie, że jeśli każą mu podpisać wyrok na dzieci, to odbierze sobie życie.



• Adam Czerniaków (1880-1942), prezes Rady Żydowskiej w getcie Warszawskim. Obok fragment jego dziennika FOT. WIKIPEDIA

wi w jidysz i że nigdy kultury żydowskiej nie porzucił.

– Dziadek, wuj i ojciec Czerniakowa byli bardzo zaangażowani w sprawy żydowskie, dlatego w tej rodzinie mówiło się w jidysz, choć w jego domu pierwszym językiem był polski, bo matka Czerniakowa pochodziła ze zasymilowanej rodziny. Adam mówił także po rosyjsku, bo wychował się przecież jeszcze pod zaborem rosyjskim, a także po niemiecku, bo studiował w Niemczech. A w jidysz nie tylko mówił, ale także publikował – podczas poszukiwania materiałów do książki trafiłam na wiele jego tekstów w jidyszowej prasie. On uważał się za polsko-żydowskiego patriotę, za Żyda-Polaka, któremu obie narodowości są bliskie.

Choć sam przyznawał, że niełatwo mu było stworzyć konglomerat z tych pierwiastków. – No i doszedł do wniosku, że asymilacja to nie jest najlepsza droga, bo nie umożliwia autonomii kulturowej. Jego poglądy zaczęły wówczas ewoluować w stronę ruchu „dumy żydowskiej” – można się integrować ze społeczeństwem większościowym, ale nie zapominać o własnych korzeniach.



FOT. FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

był osadzony w obu kulturach – polskiej inteligencji i żydowskiej diaspory. Paradoksalnie to sprawiło, że dla Żydów w getcie był zbyt polski, zbyt zasymilowany, a dla Polaków zbyt żydowski, więc został odrzucony i przez jednych, i przez drugich.

Gdy w czasie wojny został mianowany przez prezydenta Stefana Sarzyńskiego szefem Gminy Wyznaniowej Żydowskiej, pisał w dzienniku, że przyjął tę funkcję z dumą.

– Czuł się odpowiedzialny za los swoich ludzi. Nie rozumiał tych, którzy po apelu płk. Romana Umiańskiego, szefa propagandy naczelnego wodza, z 6 września 1939 roku wyszli z Warszawy. Żonie w trochę patetyczny sposób tłumaczył, że on swoich ludzi nie zostawi, że kapitan nie opuszcza statku. A dwa tygodnie później, niedługo po tym, jak Niemcy weszli do Warszawy, został wezwany na Szucho i oznajmiono mu, że ma przejąć funkcję przewodniczącego Judenratu.

Mógł odmówić?

– Trudno powiedzieć. Może mógł, choć pewnie zostałby aresztowany, ale on chyba sobie tego nie wyobrażał. Nie przyszło mu do głowy, że sprawowanie tej funkcji może zostać uznane za akt współpracy z nazistami. Dla niego był to kolejny krok, żeby wziąć odpowiedzialność za swoich ludzi.

Początkowo chyba sądził, że z Niemcami da się jakoś dogadać.

– Znał Niemców albo tak mu się wydawało, bo na początku wieku studiował w Dreźnie. W tym czasie w Warszawie wprowadzono już numerus clausus, studencką społeczność spotykały liczne represje, ale on w Niemczech tego nie odczuwał. W Dreźnie czuł się pełnoprawnym studentem. Był tam dowartościowany. Niemcy nie kojarzyli mu się z mordercami. Więc kiedy objął funkcję w Judenracie, sądził, że będzie po prostu pośrednikiem pomiędzy okupantem, którego język dobrze poznał, a swoim ludem.

Ale od razu widać było, że to nie są ci sami Niemcy, których pamiętał. Od pierwszych chwil miał do czynienia z ich brutalnością. W dzienniku pisał lakonicznie, że po wizycie na gestapo wraca do domu i wymiotuje z nerwów.

– Oczywiście, od razu były egzekucje, nagonki, łapanki, represje. Szczególnie wobec Żydów, ale mimo wszystko on brnął dalej. Ciągłe uważał, że może coś dla swoich ludzi załatwić. Kiedy wprowadzono nakaz noszenia opasek, to, choć z ciężkim sercem, ale założył swoją i poszedł na miasto, żeby dać ludziom przykład. Kiedy się okazało, że będzie getto, starał się walczyć o poszczególne ulice i o to, żeby w granicach getta pozostał Ogród Krasieńskich, gdzie ludzie będą mogli spędzać czas wśród zieleni.

Potem musiał za pieniądze gminy wybudować mury, więc kolejne starania. Walka trwała bez końca, a on wciąż liczył na to, że jak będzie umiejętnie negocjować z okupantem, to da się normalnie żyć. Że dzięki jego działaniom ludzie będą mniej represjonowani. I może tak na samym początku tak było, ale wkrótce do getta zaczęli napływać uchodźcy wysiedlani z Kraju Warty, panowała coraz większa bieda i głód, było coraz więcej restrykcji i coraz mniej pieniędzy. No i oczywiście wszyscy zaczęli mieć pretensje do niego.

Czy momentem, w którym zdał sobie sprawę z tego, że dogadywanie się z Niemcami jest mrzonką, były wydarzenia na ulicy Nalewki 9?

– Tak, ja myślę, że mogła to być jedna z pierwszych chwil, gdy Czerniaków zaczął rozumieć, że nic nie może. I że rozmowy, które prowadzi z Niemcami, nie są normalne. Kiedy w listopadzie 1939 roku aresztowani zostali wszyscy mężczyźni z Nalewek 9 w odwecie za to, że wypuszczony z więzienia złodziej Pinkus Żylberryng zabił na terenie tej posesji polskiego policjanta, Czerniaków interweniował na gestapo. A jednocześnie wysłuchiwał skarg kobiet, których

mężów i synów aresztowano. I tak codziennie. One go przeklinały, on chodził i starał się o uwolnienie mężczyzn. Musiał zebrać ogromną kontrybucję na ich wykup, a kiedy mu się to wreszcie udało, dowiedział się, że wszyscy mężczyźni zostali już rozstrzelani. I znowu to on musi wyjść do zrozpaczonych kobiet i przekazać im wiadomość. Oczywiście został obwiniony o to, co się stało.

Wpłynęło to jakoś na sposób jego działania?

– Nie, on bez przerwy interweniował w jakichś sprawach, słał pisma, wnioski, chodził na rozmowy do kolejnych urzędów. Starał się pracować nawet wtedy, gdy widać było, że nie ma już szans. Swoim ludziom powtarzał, że „trzeba machnąć rękoma i pływać do końca, może dopłynie się do jakiegoś brzegu”.

Ciągle upadał i wstawał. Chorował, miał gorączkę, wymioty, bywało, że wracał z gestapo pobity i przez parę dni leżał w łóżku, ale nie poddawał się. Kiedy się czyta jego dzienniki, człowiek zaczyna się zastanawiać, jakim cudem on mógł tyle znieść.

Udało mu się cokolwiek załatwić u Niemców? Użyć jakoś mieszkańcom getta?

– Niewiele, ale tak. Długo walczył o zgodę władz na zakładanie w getcie ogródków dla dzieci. Choć istniały wcześniej oddolnie zakładane ogródki, większość dzieci nie miała pojęcia, jak wyglądają nie tylko parki, ale nawet klomby. Zgoda przyszła dopiero w maju 1942 roku. Otwarcie pierwszego ogródka przy Grzybowskiej 21 nastąpiło 7 czerwca. Grała orkiestra, śpiewały chóry, dzieci tańczyły. Uroczystość obserwowały tłumy.

Czerniakowa cieszyły te drobne sukcesy – obietnica, że robotnicy przymusowi w obozach pracy będą otrzymywać lepsze wyżywienie i pomoc lekarską (pozostanie tylko obietnicą, ale on tego nie wie), zgoda na to, żeby sprowadzić do getta więcej zboża, oraz na otwarcie szkół i bożnic po wielu miesiącach jego interwencji, no i zwolnienie z więzienia skazanych na śmierć szmuglerów. Wszystkie te drobne zwycięstwa były dla niego bardzo ważne, dawały mu siłę do pracy.

W gminie, którą kierował, panowała korupcja. Nawet jeśli on był uczciwy, to spadała na niego odpowiedzialność za urzędników. Korczak śmiał się, że jeśli Czerniaków będzie musiał się przeprowadzić, to on może mu wskazać osobę w gminie, która za łapówkę załatwi mu dobre mieszkanie.

– Czerniaków nie był w stanie zapanować nad wszystkimi urzędnikami. A poza tym wierzył w demokrację. Decyzje były głosowane większością głosów, nawet jeśli z czymś się nie zgadzał, a został przegłosowany, musiał się temu podporządkować. I brał na siebie odpowiedzialność.

Tymczasem wiele zarzutów wobec niego było bezpodstawnych. Jak choćby ten o faworyzowaniu „asymilatorów”. Faktycznie wśród jego współpracowników na wyższych stanowiskach było wielu zasymilowanych. Ale tym ludziom blisko było do środowisk nieżydowskich, mogli przez to więcej zdziałać, jak dyrektor szpitala czy szef Służby Porządkowej. A poza tym dlaczego miał potępiać zasymilowanych – to byłaby dyskryminacja. Nie chciał do niej dopuścić.

Zarzucano mu, że wydawał niepotrzebnie pieniądze na plakaty promujące akcje charytatywne „Miesiąc Dziecka”, a nikt nie widział, że podczas kwest udało mu się zebrać na pomoc dzieciom milion złotych, że jeździ samochodem służbowym, gdy tymczasem jeździli nim wszyscy urzędnicy gminy, żeby załatwiać sprawy itd.

Ciekawe, że ta opinia o Czerniakowie mimo upływu lat wciąż jest obecna w narracji historycznej.

– Niezwykłe, prawda? Moją pierwszą rozmówczynią, dawno temu, była synowa Czerniakowa. Zapytałam ją o niego. Słucham teraz tych starych nagrań i nie mogę uwierzyć, że kiedy ona mówi: „No przecież wiadomo, co on robił w getcie”, to ja zostawiam to bez komentarza. Nie ciągnę tematu, nie pytam: a co robił? Wszyscy szliśmy tym

samym utartym szlakiem. Dopiero praca nad tą książką i wczytanie się w dziennik Czerniakowa powodują, że zaczynam postrzegać tę postać zupełnie inaczej.

Długo nie było wiadomo, co się stało z dziennikiem Czerniakowa, po wojnie mówiło się, że zaginał.

– A tymczasem w 1947 roku Felicja Czerniaków, która uciekla z getta i przetrwała wojnę po „aryjskiej” stronie, przyniosła go do Żydowskiego Instytutu Historycznego. Tylko że tam nikt go nie chciał. Na początku tworzenia się nowego, socjalistycznego państwa Czerniaków był niechciany kolaborantem. Opowiadało się o szlachetnej walce stoczonej przez bojowników getta i to jest właściwa narracja, dlatego dyrektor ŻIH Nachman Blumental i jego zastępca Józef Kermisz nie byli zainteresowani ofertą Felicji.

W latach 50. następca Blumentala Bernard Mark twierdził, że zapiski Czerniakowa zaginęły. Tymczasem Felicja przekazała dziennik kuzynowi, który wywiózł go do Paryża, skąd następnie trafił do Kanady, a przez Kanadę do rąk badaczy izraelskich. Oni pierwsi go opracowali. I to też dopiero na fali procesu Adolfa Eichmanna.

Dlaczego dopiero wtedy?

– Bo kiedy powstawał Izrael, kwestia Holocaustu nie istniała. Panowało kompletne milczenie. Jeśli się o czymś mówiło, to o bojownikach z getta. Ale osoby ocalałe to były po prostu ludzkie wraki, nie należało o nich mówić, skoro dali się poprowadzić jak barany na rzeź. Bo przecież my tutaj jesteśmy silni i stworzymy nowe państwo. Dopiero przygotowania do procesu Eichmanna, który miał być wielkim, historycznym sądem kreślącym cały obraz Zagłady, spowodowały, że potrzeba było wielu dowodów.

Józef Kermisz, były wicedyrektor ŻIH, już wówczas mieszkający w Izraelu, jako dyrektor Yad Vashem był odpowiedzialny za zbieranie dokumentów o Holocauście. Jeździł po świecie, prowadził poszukiwania świadectw i tak trafił do niego dziennik Czerniakowa.

Opracował go – o ironio – razem z dawnym kolegą, byłym szefem ŻIH Blumentalem, który też wyemigrował. Ot, paradoks. A mogli to zrobić kilkanaście lat wcześniej. Mieli w rękach skarb, który wypuścili.

My w Polsce czekaliśmy na opracowanie dziennika Czerniakowa do lat 80.

– To, że w końcu do nas trafił, zawdzięczamy Marianowi Fuksowi, ówczesnemu szefowi ŻIH, któremu Kermisz i Blumental przekazali jego kopię. Fuks opracował go ponownie. Spojrzał na zapiski Czerniakowa, często lakoniczne, bardziej wnikliwie, rozszyfrował wiele skrótów, rozmawiał z dużo większą grupą świadków niż badacze w Izraelu i dzięki temu powstała bardzo rzetelna praca, którą opatrzył wstępem. Tylko że był to początek lat 70. Zaraz po 1968 roku, gdy atmosfery do wydania tej książki nie było, więc Fuks opublikował ją w Biuletynie ŻIH. Praca została przetłumaczona na angielski i niemiecki, ale warunki, żeby wydać ją w Polsce w formie książkowej, pojawiły się dopiero na początku lat 80.

A jakie były powojenne losy Felicji Czerniaków?

– Żyła w potwornej biedzie, pracowała jako bibliotekarka i wypatrywała syna, który razem z synową na początku wojny przedostał się do Lwowa. Wróciła tylko synowa, która utrzymywała, że rozstali się z mężem. Prawda była taka, że Jan Czerniaków nie żył, umarł na tyfus, ale jego żona nie miała serca powiedzieć o tym matce. Felicja Czerniaków umarła w 1950 roku i do tego czasu wciąż czekała, aż syn wróci z wojny. ●
Rozmawiała Marta Grzywacz

Dr Patrycja Dołowy – pisarka, artystka multimedialna, popularyzatorka nauki i sztuki. Członkini zarządu BioCentrum Edukacji Naukowej, wykłada na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Ukazała się właśnie jej książka „Pęknięte lustro. Próba portretu Adama Czerniakowa” (Wydawnictwo Filtry).



64-polowa szachownica, złożona z czarnych i białych kwadratów, dwa zestawy bierek, w takich samych kolorach – po jednym królu i hetmanie (niekiedy określanym królową), po dwa gońce (zwane czasem laufram), skoczki (konie) i wieże oraz osiem pionów. Szachy. Królewska gra.

Ludzkość gra w nie od niepamiętnych czasów – w Persji znano je już w VI w. n.e. Blisko półtora tysiąca lat. Ale powołanie międzynarodowej organizacji, która dbałaby o wszelkie najistotniejsze szachowe sprawy: prowadzenie rankingu graczy, skodyfikowanie i ujednolicenie zasad, organizację turniejów i mistrzostw wreszcie zajęło trochę czasu.

Z pomysłem wyszli w 1904 roku Francuzi, skupieni we własnym szachowym związku. Światową organizację próbowano ustanowić 10 lat później, w kwietniu w St. Petersburgu, potem w lipcu tegoż roku, podczas turnieju w Mannheim, ale dalsze próby przerwał wybuch I wojny światowej.

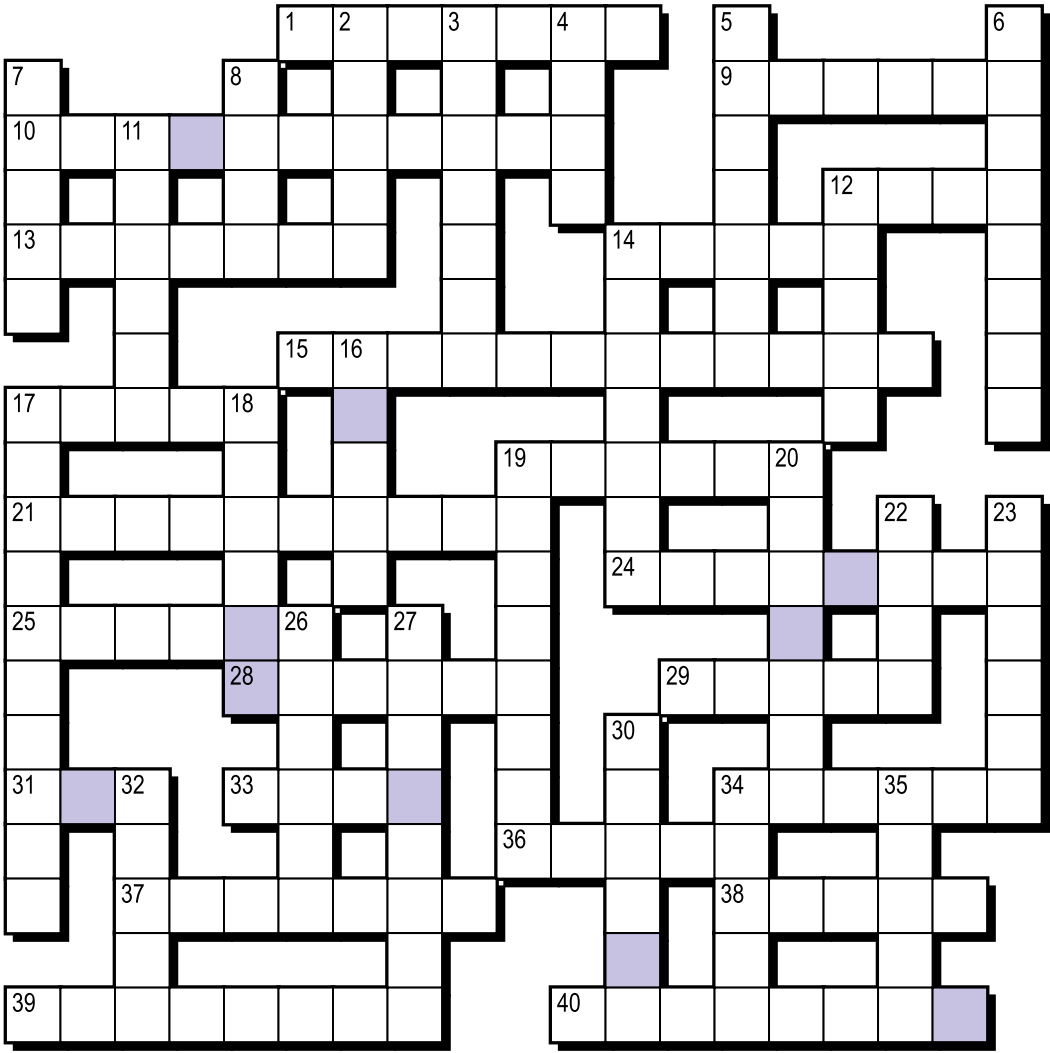
Po wojnie temat podjęto w Goeteborgu, w 1920 roku, także przy okazji turnieju, ale ostatecznie Międzynarodowa Federacja Szachowa, czyli FIDE (Fédération Internationale des Échecs) powstała 20 lipca 1924 roku w Paryżu, na wniosek Pierre’a Vincenta, sekretarza federacji francuskiej. Wśród 15 państw-założycieli FIDE była też i Polska (reprezentował ją Izaak Towbin), a pierwszym prezydentem FIDE został Holender Alexander Rueb.

Początkowo FIDE funkcjonowała bardziej jako unia graczy, nie miała zbyt wielkiej mocy sprawczej - choćby takiej, by zmusić aktualnego mistrza świata, Kubańczyka Jose Raula Capablancę, do przyjęcia wyzwań od pretendentów (mistrz nie miał tego w obowiązku, jeśli pretendent nie zebrał 10 tys. dol. wpisowego). Dopiero później urosła w siłę. I pieniądze.

W 1966 roku UNESCO zaproponowała, by ustanowić Międzynarodowy Dzień Szachów. FIDE wybrała na to święto datę swego powołania do życia – 24 lipca. Święto obchodzone jest w blisko 180 krajach świata, a z tej okazji odbywają się liczne imprezy, szachowe turnieje oraz spotkania.

Tak się akurat składa, że w tym roku Międzynarodowy Dzień Szachów przypadnie w stulecie istnienia FIDE. A „Weekendówka” postanowiła się do obchodów przyłączyć i z tej okazji, w wypadające właśnie 20 lipca krzyżówkę nr 112 zaprosić Państwa do szachowej partyjki. Zatem – gracze białymi, więc Wasz ruch!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 110 z 6.07:

Poziomo: 4) kryzys, 7) Sacramento, 8) Pasadena, 10) California, 11) ocean, 13) most, 15) San Diego, 16) wino, 18) Arnold, 21) Angeles, 24) musical, 25) Ana, 26) Aleja Gwiazd, 28) Doors, 31) San Francisco, 32) McKenzie, 34) Galaxy, 36) Keaton, 37) noir, 41) rola, 42) Andreas, 43) drzewa, 44) Lakersi, 45) Marlowe

Pionowo: 1) Mamas, 2) Orbison, 3) Perry, 4) kopalnie, 5) Yosemite, 6) plaża, 9) droga, 12) Corona, 13) miasto, 14) Soccer, 17) gala, 19) osadnicy, 20) drapacze, 22) Grease, 23) skwar, 27) Anna, 28) Demokraci, 29) Oakland, 30) San Jose, 33) kondor, 34) grizli, 35) Azjata, 38) Zorro, 39) Gable, 40) ssak

HASŁO:
MODA NA SUKCES

KRZYŻÓWKA SZACHOWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

1) Aleksander (zm. 1946), był czwartym mistrzem świata w szachach
9) ... Pérez-Reverte, autor powieści „Szachownica flamandzka”
10) wykonanie jednoczesnego ruchu królem i wieżą
12) każdy może stono kosztować szachistę
13) nazwisko Norwega, który zdominował szachy w XXI w.
14) mogą być bezpardonowe
15) ... partii, czyli zdobycie 0,5 pkt w turnieju
17) Viswanathan, szachista z Indii, kilkakrotny mistrz świata
19) „... strachów”, tom przygód Pana Samochodzika, w którym ważną rolę odgrywają szachownice

21) José Raúl, Kubańczyk, 3. mistrz świata w szachach
24) Hikaru, amerykański szachista
25) imię arcymistrza z określenia 13 poziomo
28) topowi szachiści mają ją doskonale opanowaną
29) ... Rubinstein, czołowy polski szachista z początku XX w.
31) Michaił, szachista nazywany czarodziejem z Rygi
33) szeregowiec, który może dotrzeć do pola przemiany
34) Emanuel, 2. mistrz świata w szachach (anagram wyrazu „relaks”)
36) strażniczkę narożników szachownicy
37) szachownica cesarska
38) wroga armia kontra wroga armia
39) zestawienia najlepszych graczy
40) „Szach i mat” Zbigniewa Wodeckiego lub „Szachy” Kubańczyka

Pionowo:

2) imię szachisty z określenia 14 pionowo
3) ta część szachownicy, którą szczególnie warto mieć pod kontrolą
4) myśl, taktyka przyświecająca danemu ruchowi
5) Fabiano, utytułowany włoski szachista (obecnie reprezentant USA)
6) ... partii (może mu towarzyszyć przewrócenie własnego króla)
7) król w opałach!
8) nieubłagane upływa, o czym wiedzą zwłaszcza szachiści turniejowi
11) sycylijska, słowiańska lub Caro-Kann
12) ... w przelocie
14) nazwisko utytułowanego szachisty pochodzenia ormiańskiego
16) niestety, on również chce wygrać...

17) topowy gracz
18) otwarcie szachowe
19) Garri, stoczył pojedynek z komputerem Deep Blue
20) szczegółowa ... partii, obecnie wspomagana komputerami (np. programem Stockfish)
22) Jan-Krzysztof, zdobywca pucharu świata FIDE w 2021 r.
23) rzadszy synonim gorńca
26) „Gambit królowej”
27) intensywne przed zawodami
30) 32 szachowe ...
32) Ding, chiński szachista, w 2023 r. został mistrzem świata
34) szachy z ..., średniowieczny zestaw figur i pionów znaleziony na szkockiej wyspie
35) tylko on porusza się nieliniowo; skoczek

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wysokieobcasy
SPRZEDAŻY
wysokieobcasy
extra



TEMAT NUMERU:

Co nas fascynuje w Japonii, a co zaskakuje

TAYLOR SWIFT jako genialna strateżka



Kraj/34310976